

# Między ustami a brzegiem pucharu



MARIA RODZIEWICZÓWNA

## Między ustami a brzegiem pucharu

### I

Berlin spał. Pogasły światła po magazynach, po teatrach, po mieszkaniach filistrów, po suterynach i strychach.

Gaz tylko migotał w ulicznych latarniach i świeciły jeszcze okna klubów karciarzy, restauracji podrzędnych, sal tańca i aptek.

Długa linia pałaców Pod Lipami<sup>1</sup> spała też — drzemały kariatydy<sup>2</sup> balkonowe, zapadały i ginęły w mroku ornamentacje okien i drzwi. Ruch tej pierwszorzędnej arterii ustawał. Z rzadka zaturkotał spóźniony powóz lub przechodzień przesunął się pośpiesznie, wracając z zabawy do domu: Berlin spał.

Tylko w pałacu hrabiny Aurory Carolath czuвано jeszcze. Dwa okna pierwszego piętra rzucały stłumiony blask zza ciężkich firanek, a za tymi oknami w prywatnym buduarze hrabiny, wyłożonym jak bombonierka, nie myślano o spoczynku. Młoda, cudownie piękna kobieta leżała na wpół na fotelu w koronkowym negliżu, obnażonymi rączkami rozplatając od niechcenia złote, przepyszne warkocze.

U jej nóg prawie, na taborecie, rozparty wygodnie, z głową na jej kolanach, młody jak ona i jak ona piękny mężczyzna przypatrywał się tej złotej fali, co mu chwilami muskała twarz i nucił półgłosem *Lorelei*<sup>3</sup>.

Para ta była na model dla malarza: ona — smukła, ślicznie zbudowana, o twarzy z greckiego posągu, ale żywej, zalotnej, a śmiejącej się całym urokiem białych ząbków, koralowych ust i zmrużonych, sfinksowych oczu; on — wybujały jak topola, silny, dumny, ciemnowłosy, zapatrzoney w kobietę całym ogniem wyrazistych ciemnoszafirowych źrenic.

Był w nim pierwiastek germański wielkiej siły i twardego wyrazu, a obok tego jakiś inny typ delikatniejszy, ognisty, zuchwały a wesoły. W spojrzeniu była dziwna mieszanina — pożądania i cynizmu, swawoli i przesytu: musiał to być człowiek bardzo szczęśliwy, bardzo bogaty i bardzo pieszczony przez życie.

— Wszak odesłałeś konie, Wentzel? — zaczęła po małej przerwie piękna pani.

— Naturalnie.

— Lubię cię za to!

— Za co? — spytał, biorąc pierścień jej włosów i bawiąc się nim.

— Za to, że mną się nie afiszujesz.

Młody człowiek się zaśmiał.

— Nie uznaję tego za pochwałę. Afiszują się tylko błazny i parweniusze. Czyż mnie zaliczasz do jednej z tych kategorii?

<sup>1</sup>linia pałaców Pod Lipami — chodzi o zabudowania wzdłuż alei Unter den Linden (dosł. „pod lipami”), głównego bulwaru starego Berlina, obsadzonego lipami jeszcze w XVII w.; wzdłuż alei tej, prowadzącej od siedziby elektorów do bramy miasta (tzw. bramy brandenburskiej) mieściły się najważniejsze budowle reprezentacyjne i najbardziej okazałe pałace oraz np. Ogród Zoologiczny (*Tiergarten*). [przypis edytorski]

<sup>2</sup>kariatyda — podpora architektoniczna w kształcie postaci kobiecej dźwigającej na głowie np. balkon. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*Lorelei* — tu: tytuł pieśni skomponowanej przez Franciszka Liszta (1811–1886) do słów poematu Heinricha Heinego (1797–1856) opowiadającego tradycyjną legendę niem. o złotowłosej, pięknej dziewczynie imieniem Lorelei (a. Loreley), która z powodu zdrady swego kochanka rzuciła się w rozpacz w nurt Renu z nadbrzeżnej skały, po czym została zamieniona w syrenę i odtąd zwodziła rybaków i doprowadzała ich łodzie do rozbicia; wysmukła skała nosić miała na pamiątkę tego zdarzenia imię dziewczyny, a u jej podnóża miał zostać ukryty skarb Nibelungów. [przypis redakcyjny]



— Ejże, bohaterze! Zdarza się to i tobie!  
— Może być. Jeżeli kogo nie cenię lub nie Kocham.  
— Więc mnie cenisz i Kochasz niby?  
— Tak, ciebie jedynie, teraz i podobno zawsze!  
— A jednak dla mnie nie poświęciłbyś tysiąca owych stosunków, gdzie nie cenisz i nie Kochasz?

— Nie, jutrzeńko. Ani jednego!  
— Pfe! Prawisz impertynencje.  
— Pfe! Jesteś zazdrosna jak subretka<sup>4</sup>! — odrzucił wesoło, całując białą rączkę.  
— Wiesz, stanowczo zrywam z tobą! Nie chcę być jedną z wielu.  
— Ja jednak cierpliwie znoszę takie stanowisko.  
— Ty szkaradna istoto! Powiedz choć jedno.  
— Dziesięć, Auroro! *Primo*<sup>5</sup>: twój mąż...  
— Ech, admirał to amfibia, którego już dwa lata nie widziałam, i żeby nie portret w sali, to bym nie poznała bez rekomendacji.  
— *Secundo*<sup>6</sup>: księżę Herbert.  
— Ach, nonsens! Zaśmiałam się może parę razy.  
— *Tertio*<sup>7</sup>: ten kuzynek z Harcu!  
— Musiałeś dzisiaj pić za wiele przy kolacji... bredzisz! — rzuciła z dąsem, a potem nagle przechyliła się ku niemu i, skubiąc zalotnie jego kędzierzawą czuprynę, spytała z przymileniem:

— Ale ty mnie Kochasz, szkaradniku... nie rzuciłbyś dla nikogo!  
— Dla nikogo, nigdy, Auroro! — odparł bez namysłu.  
— Słowo hrabiego Croy-Dülmen?  
— Słowo twojego Wentzla.  
— Masz, pocałuj mnie za to.

Chwilę milczeli oboje w namiętym uścisku i pozostali przytuleni do siebie, szepcząc stłumionym głosem.

— Wiesz — mówiła kobieta — czemu dziś takam niespokojna<sup>8</sup>? Cały świat cię swata, żeni na gwałt! Zastawiają na ciebie sieci, spiskują, intrygują! Ach, po coś ty taki bogaty, wielki pan, pierwsza partia, i taki piękny!

— Ciekawym<sup>9</sup>, czybym tu siedział, gdyby mnie los stworzył chromym, zezowatym, rudym i lampucерem<sup>10</sup> na przykład? Któż to mnie pożąda?

— Wszystkie panny, wdowy, rozwódki i mężatki! Wszyscy ojcowie, opiekunowie, matki, ciotki itd. Imię ich: legion!

— Włosy mi się jeżą ze zgrozy.  
— I nic więcej?  
— Nic!

Kobieta złote swe włosy okręciła mu około głowy i szyi i, zaciskając te czarodziejskie, jedwabiste pęta, szeptała w pocałunkach:

— Och, a ja cię tak Kocham... ubóstwiam... nie dam nikomu, nigdy!

Mógł być dumny i próżny ten człowiek — i nie dziw, że do gruntu popsuty był swym szczęściem.

Tymczasem zegar w sąsiednim pokoju wybił powoli drugą godzinę.

Metaliczny dźwięk zbudził oboje. Hrabina drgnęła przerażona, hrabia wstał opieszale.

— Będziesz mi zlorzeczyła, moja jutrzeńko! Nabawię cię złej cery i migreny, a jutro u książąt Hohenlohe! Dobranoc!

Uściskał ją raz jeszcze, ucałował rękę i wyszedł dobrze sobie znanym bocznym przejściem. W bramie zapalił cygaro, podniósł kołnierz paltota, bo go chłód owiał — i z rękami w kieszeniach ruszył ku domowi.

<sup>4</sup>subretka (z fr. *soubrette*) — pokojówka; także: typ postaci sprytnej służącej występującej w komedii. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>primo (łac.) — po pierwsze. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>secundo (łac.) — po drugie. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>tertio (łac.) — po trzecie. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>takam niespokojna — skrócone od: taka jestem niespokojna. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>ciekawym — skrócone od: ciekawy jestem. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>lampucер (z niem. *Lampenputzer*) — latarnik, oprawiający i zapalający uliczne lampy. [przypis redakcyjny]

Pałac jego leżał niedaleko, ale go nie nęcił spoczynek; skręcił w boczną ulicę i poszedł bez celu, ot tak, żeby rozprostować nogi, może opędzić się od chwilowego rozdenerwowania.

Półgłosem nucił znowu *Lorelei*.

Nagle, o kilkanaście kroków przed sobą, ujrzał dwie postacie — kobietą i mężczyznę; doleciał go głos niecierpliwy, a drugi natrętny; potem kobieta przyśpieszyła kroku — szukała widocznie obrony w ucieczce — mężczyzna nie ustępował.

— Daj buzi, panienczko! — posłyszał hrabia głos swego znajomego, sławnego birbanta<sup>11</sup> i awanturnika. — Znak nie będzie na ustach, a jak mi dasz, to ci oddam! Po nocy wszystko wolno. Ejże, nie uciekniesz! Po woli czy po niewoli!

Kilku skokami dopędził uciekającą, ujął ją za ramię — był widocznie tego podchmielony.

Kobieta szarpnęła się gwałtownie i dostrzegając hrabiego rzuciła się ku niemu.

— Proszę mnie odprowadzić do domu! — rzekła zdyszana, wsuwając rękę pod jego ramię.

Napastnik poskoczył — znalazł się oko w oko z hrabią — zdumiał się.

— A, to ty, Wentzel! No, nie przeszkadzaj! Albo pomóż dać rady tej złąkanej turkawce. Widziałeś, ładna!

— Tę panią ja, mój drogi, odprowadzę do domu, bo mnie o to prosiła! Odegrałeś swoją rolę, idź za kulisy i odeśpij chmiel należycie.

— A to co znowu? Idź swoją drogą! Jak dostanę buziaka, to ci pozwolę o drugi się postarać! Marsz, panie eks-kapitanie, do koszar!

Postąpił o krok, wyciągnął rękę do kobiety, ale hrabia ją zasłonił sobą, zmarszczył brwi.

— No, dosyć tego! Przegrałeś bitwę, panie baronie Wertheim, bierz się do odwrotu. Ze mną sobie nie pozwalaj, bo możesz pożałować. Dama ta jest i zostanie pod moją opieką, dopóki zechce, a panu, jeśli się to nie podoba, zostaje wolna droga rozmówienia się ze mną jutro, w moim mieszkaniu. Marsz!

— Rozmówimy się na szpady, panie hrabio Croy-Dülmen! — krzyknął podпиты panicz.

— A choćby na szydła! Jak się panu podoba! — odparł swobodnie hrabia. — Tymczasem żegnam!

Minął napastnika i spytał kobietę o adres. Baron włożył ręce w kieszenie i roześmiał się lekceważąco:

— Wylazło szydło z worka, Metysie<sup>12</sup>! Warcholska krew twych przodków po kądzieli<sup>13</sup> nie ginie. Jako Niemiec, ja burd nie lubię. Ustępuję z placu.

Po pięknej twarzy hrabiego przeszedł gorący rumieniec: uwolnił rękę kobiety, obrócił się jak ruszony sprężyną.

— Powtórz, błaznie! — krzyknął zdławionym od wściekłości głosem.

— Powtórzę! — odparł tamten zuchwale. — Jesteś mieszańcem; o tym wiesz sam dobrze i nie ja pierwszy ci to mówię.

— I nie pierwszy odpowiesz za obelgę. Przodkowie moi walczyli pod Barbarosą, byli tak rdzennie Germanami jak góry Schwarzwald i Sprewy; każdy z nas służył krajowi dłonią, głową, mieniem, wszystkim. Mam krew mieszaną... ha! Za to ci jutro twoją czystą wytoczę, jakem Prusak!

Głos mu świstał przez zaciśnięte zęby; wziął ramię przeciwnika i wstrząsnął nim. Przewyższał go o głowę, a uścisk był żelazny.

— Ruszaj pan swoją drogą, bo dalej nie ręczę za siebie. Mogę zapomnieć, żeśmy obaj szlachtą.

Wyraz jego twarzy i ton zmieszały barona i oprzytomniły; usunął się na bok i zginął w bocznej ulicy.

Młody człowiek zwrócił się do swej damy i uchylił kapelusza.

— Pani daruje zwłokę. Służę.

<sup>11</sup>*birbant* — pijak. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*Metys* — osoba, której jedno z rodziców jest Indianinem/Indianką, a drugie rasy białej; tu przen.: mieszaniec (rasowy). [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*po kądzieli* — ze strony rodziny matki. [przypis edytorski]

Rozdrażnienie drgało mu jeszcze w głosie, a twarz przed chwilą niefrasobliwa i uśmiechnięta, zachowała wyraz dzikiej zaciętości i ledwie hamowanego wybuchu.

Kobieta przez ciąg tej sceny stała opodal i słuchała uważnie, z brwią ściągniętą i widoczną przykrością. Twarz jej, delikatna, blada, mieniła się tysiącem wrażeń. Wielkie, piwne oczy patrzyły ostro na hrabiego. Widniał w nich gniew i obraza. Niecierpliwie zagryzła usta.

Gdy jej podał ramię, usunęła się na bok i ruszyła naprzód w milczeniu.

Piękny panicz czuł się w obowiązku zagaic rozmowę.

— Co za mgła! — rzekł już swobodniej, równając się z nią. — I ani jednej dorożki. Nie śmiem proponować pani zwrócenia się do mego pałacu. Karetą byłaby za pięć minut.

— O, dziękuję. Mgła mi nic nie szkodzi... Żeby nie przykre spotkanie... Droga moja zaraz się kończy!

Mówiła po francusku bardzo poprawnie, więc i on zaczął w tym języku.

— Może mi pani pozwoli nieść pakiecik — rzekł, wyciągając rękę po flaszeczkę, którą trzymała.

— Dziękuję. To lekarstwo, tak trudno zdobyte, doniosę sama — odparła.

— Pani ma kogo chorego?

Skinęła tylko głową.

Obserwował ją spod oka. Była istotnie uderzająco piękna — piękną poważną, klasyczną, nakazującą szacunek i względy. Trzeba było być bardzo pijanym lub zuchwałym, by ją zaczepić jak pierwszą lepszą.

Głos miała głęboki, trochę ponury; rysy spokojne i chłodne; oczy zamyślane, głębokie, okryte rzęsami — podnosiła je rzadko; usta dumne, małe, musiały się bardzo niewiele uśmiechać.

Typ to był niepospolity — zwróciłby i w tłumie uwagę, patrząc na nią, uczuwał<sup>14</sup> gwałtowną chęć zbudzenia życia w tych poważnych rysach, rozjaśnienia śmiechem ust zaciętych, rozświecenia blaskiem mrocznych źrenic.

Byłaby wtedy porywającym czarem.

Hrabia był znawcą i bałamutem z zawodu. Wspomnienie barona zbladło mu w pamięci, postanowił — on, niezwalczony Antinous<sup>15</sup> — spróbować swej siły i zręczności, pobawić się jak tamten. Noc i tak miała się ku schyłkowi.

— Pani jest cudzoziemką? — spytał.

— O, najzupełniej!

— Sądząc z tonu, nie lubi pani Niemców.

— Jak mało czego na świecie — odparła szczerze.

— Pani ma do tego jakie powody? Jesteśmy przecie pierwszym narodem w Europie.

— Pod względem zarozumiałości, niezawodnie.

— Nie, pani. Szanujemy się tylko. Chęć przodowania i duma jest godłem siły, energii i rozumu. Wielkość swoją cenimy, bośmy ją ciężko zdobyli.

— O, pan ją ceni niesłychanie. Słyszałam to przed chwilą.

— I pani by nie zniosła, gdyby zarzucono wam pochodzenie... żydowskie na przykład.

— Jeżeli matka pana była Żydówką, powinien pan Żydów szanować przez pamięć na nią.

— W tym się najzupełniej z panią nie zgadzam. Jeżeli matka nasza była straganiarką, nie czujemy się przecie w obowiązku zachwyty dla przekupek, ani nam to chwały przysparza. Matka moja była Polką z Poznania; ojciec mój zrobił mezalians, za który ja pokutuję! Jest to plama na tarczy herbowej Croy-Dülmen. Polaków nie cierpię. Stosunków z nimi nie miałem i mieć nie będę, a jednak nazwa mieszaniec przywarła do mnie, choć już trzech śmiałków za nią odpokutowało, a jutro czwarty odpowie!

Zapalił się i uniósł. Słowa mu płynęły gniewne, burzliwe, pełne wzgardy i lekceważenia. Kobieta podniosła nań wzrok poważny, zatrzymała chwilę na jego twarzy przejmujące spojrzenie, zmarszczyła ciemne brwi.

<sup>14</sup>uczuać — dziś raczej: czuć, odczuwać. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>Antinous a. Antinoos — piękny młodzieniec pochodzący z Grecji, wychowanek i kochanek cesarza Hadriana (76–138; władca Rzymu od 117 r.n.e.), który w miejscu, gdzie chłopiec, mając niespełna 20 lat, utonął w Nilu w 130 r. założył miasto Antinoopolis, ogłosił też Antinoosa herosem, wznosił mu świątynie i uczcił go licznymi rzeźbami, portretami itp.; tu przen.: ideał męskiej młodzieńczej urody. [przypis edytorski]

— Człowiek, który się wstydzi swego pochodzenia jest albo nikczemny, albo słaby!  
— rzuciła przez zęby.

— Pani jest bardzo surowa dla mnie, nieznanego.

— Owszem, znam pana. Ma pan pałac Pod Lipami, dobra nad Renem, kapitały w banku. Posiada pan nadto: starego opiekuna, majora Koop, ciotkę, Dorę von Eschenbach, i wiele, wiele serc sentymentalnych Niemek na własność. Jest pan próżniak, hulaka i pyszałek, sławny z piękności, salonowych manier, wielkiej odwagi i dyskrecji. Czy się pan poznaje z tego portretu?

— Z tej karykatury, pozwoli pani dodać? — zaśmiał się swobodnie. — Sława moja musi daleko sięgać, jeśli doścignęła aż obcych, za granicami Prus. Pani Francuzka?

— Jestem z Rzeczypospolitej San Marino — odparła z lekkim uśmiechem.

— Jeżeli damy w owej republice są do pani podobne, to ubolewam nad dolą tamtejszych obywateli. Biedacy muszą być jak Bayard<sup>16</sup>, *sans peur ni reproche*<sup>17</sup>.

— Bayard nie uważał się wcale za biedaka, o ile pamiętam z historii, a nasi obywatele, chwala Bogu, nie są w niczym do Prusaków podobni. Mamy dla nich należne względy.

— Muszą to być bardzo lodowate względy.

— Kto co lubi. Nasze mężatki nie przyjmują paniczów po buduarach; nasze panny nie noszą serc na dłoni i na ustach; nasze matrony nie kupczą krasą swych córek! Jesteśmy jednak kochane stokroć silniej niż wasze *Fraülein*<sup>18</sup> i *Madame*<sup>19</sup>.

— Syzyfowa praca być musi dla zdobycia owych serc ukrytych.

— Nasi mężczyźni do tego przywykli.

— Winszuję, ale nie zazdrozczę. Nie lubię z zasady trudnych rzeczy.

— Wszakżem panu mówiła, żeś próżniak. Toteż serca nasze nie dla pruskich knechtów<sup>20</sup>, ani dla rycerzy Barbarossy<sup>21</sup>! My i wy... to antypody<sup>22</sup>!

Stała nagle i zwróciła się do niego.

— Oto i koniec pana poświęceń i mojej wędrówki. Dziękuję za grzeczność i obronę.

— Czy w San Marino za usługę nie płacą? — spytał z uśmiechem.

— Owszem, jeśli wymagania słuszne. Mogę panu dać za kurs posłańca.

— To za wiele! Nie chodzi tu o kurs, ale o życie moje, które jutro narażę za panią.

— Za mnie! — zaśmiała się ironicznie. — Sprzeczkę o kobietę zapilibyście jutro szampanem. Pan będzie walczył o swój honor pruski, niecierpiący skazy mezaliansu z Polką czy Żydówką. Za to... ja nie płacę.

— Będę miał dwa pojedynki, jeśli nie padnę. Szampanem nie łagodzę sprzeczek. Otóż za ów pierwszy pani powinna płacić, a raczej dać coś od siebie, żebym wiedział, za co się biję.

— Na przykład co?

— Ach, drobiazg! Pamiątkę... jeden pocałunek...

Cofnęła się o krok, zarumieniła jak maki polne i, rzucając mu spojrzenie obrażonej królowej, odparła z niesłychaną dumą:

— Na ten drobiazg nie starczyłoby panu milionów. U nas się nie sprzedaje pocałunków. Daje się je darmo albo nie daje wcale!

— A żeby dostać?

<sup>16</sup>*Bayard* (1473–1524) — właśc. Pierre du Terrail de Bayard, dowódca wojsk fr. okresu wojen wł., zw. rycerzem bez trwogi i skazy (fr. *chevalier sans peur et sans reproche*); ideał rycerza. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*sans peur ni reproche* (fr.) — bez trwogi ani skazy. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*Fraülein* (niem.) — panna. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*Madame* (fr.) — pani. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*knecht* (z niem. *Knecht*: parobek) — żołnierz pieszy w daw. wojsku niem. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*Fryderyk I Barbarossa* (ok. 1125–1190) — książę z dynastii Hohenstaufów, cesarz niem. Św. Cesarstwa Rzymskiego (od 1155 r.); wiąże się z nim mit potęgi Rzeszy Niemieckiej jako kontynuatorki tradycji staroż. Rzymu; odnowił spór o inwestyturę (tj. stosunek lenny cesarza względem papieża), zakończony jego ukorzeniem przed papieżem Aleksandrem III; prowadził wojny z miastami na północy Włoch (przerwane po klęsce pod Legano 1176); zorganizował III krucjatę (1189), podczas której utonął przepływając się przez rzekę Salef, na ziemiach Seldżuków (dzisiejsza płd. Turcja); według legendy Fryderyk nie utonął, lecz śpi wraz ze swymi rycerzami w jaskini w górach Kyffhäuser w Turynii, by kiedyś powrócić i przywołać znów Niemcy do świetności, zapewniając im naczelną pozycję wśród państw europejskich. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*antypody* — przeciwne bieguny; tu: w znaczeniu przenośnym w odniesieniu do charakterów ludzi. [przypis edytorski]

— Żeby dostać, trzeba być obywatelem republiki San Marino i szlachetnym człowiekiem... wówczas można proponować!

— Więc dla mnie droga zamknięta?

— I owszem! Gdy pan przyjmie jako obrazę, jeśli cię kto nazwie Prusakiem, wówczas, przed takim pojedynkiem, ja panu zapłacę!

Hrabia uklonił się głęboko.

— Pani raczy żartować! Ha, trudno! Miałem w swym życiu wiele niedorzecznych pojedynków, przybędzie jeszcze jeden! To mi jest pociechą, że będę się bił za kobietę bardzo piękną, bardzo wykształconą... i bardzo niedostępną.

— Za komplement dziękuję i żegnam! — rzekła szydlerczo.

— I ja dziękuję za kilka moralnych nauk i... do zobaczenia. Postaram się zobaczyć jeszcze panią.

— Jeśli mnie pan odszuka, o czym wątpię. Do San Marino bardzo daleko, a pan próżniak.

— Mogę się założyć, że panią znajdę za tydzień, choćby w antypodach. Umieć być wytrwały, a co postanowię, tego dotrzymam!

— Zakład przyjmuję. Żal mi daremnej pana fatygi, ale trochę upokorzenia zarozumiałości pójdzie panu na zdrowie. Zatem, do wiedzenia!

Przesunęła się jak cień obok niego i wsunęła w bramę. Rozejrzał się na prawo i lewo, zanotował numer domu, nazwę ulicy, ziewnął i zawrócił.

— Ciekawym<sup>23</sup>, czy ja zobaczę dom dzisiejszej nocy i czy dopalę cygara? Pyszna dziewczyna! Hm! Aurora lepiej zbudowana, Lidia jeszcze sprytniejsza, a jednak ta coś ma. Pewnie ktoś z Alzacji czy Lotaryngii. Narobiliśmy sobie tam przyjaciół... aż miło, jak nas lubią. Hu! Żeby z taką mieć romans! Byłoby to coś nowego i niepospolitego! Jutro będę wiedział, co za jedna. Pyszna dziewczyna! Aaaa! Jak mi się spać chce!

Przyśpieszył kroku. Po chwili czarny kontur pałacu Croy-Dülmen zastąpił mu drogę. Minął główną bramę, w rogu budynku przystanął, dobył klucz z kieszeni i otworzył niepozorną, w korniszach ukrytą furtkę.

Klucz obrócił się lekko — snadź<sup>24</sup> był często w użyciu — drzwi się otworzyły bez szelestu, tajemniczo i wpuściły pana w galerię oświetloną gazem, wysłaną dywanami. Wzdłuż ścian kwitły cieplarniane rośliny, po niszach uśmiechały się posągi nimf i bachantek.

Na krześle u wnijścia<sup>25</sup> drzemał młody lokaj, na którego twarzy bez zarostu malowało się znużenie i niepokój. Był on uosobieniem służbistości gotowej na wszystko, wytrwałej na stanowisku. Na szelest drzwi porwał się, wyprostował jak struna, zamknął tajemniczą furtkę i ruszył za panem o trzy kroki, nie odzywając się pierwszy.

Z galerią łączyło się prawe skrzydło pałacu, mieszczące w sobie kawalerskie pokoje hrabiego; we frontowym gmachu były recepcyjne salony i apartamenty panny Doroty von Eschenbach; lewą stronę zajmowała służba.

Dopiero w swym gabinecie młody pan się zatrzymał, usiadł w fotelu i ziewnął po raz setny.

— Aaaa... szklankę kseresu<sup>26</sup>, Urbanie!

Nim skończył ziewnięcie, rozkaz był spełniony. Wypił wino, otarł wąsy i sięgnął opieszale po stos listów na stole.

— Że też tym ludziom nigdy nie zabraknie konceptu i atramentu! — mruzczał niecierpliwie. — Prawda, że te wszystkie miłe misywy<sup>27</sup> śpiewają dwa psalmy: pieniędzy i miłości! Aaaa... Herbert się zgrał... Lidia chce brylantowych kolczyków. Idiotyczne istoty!

— Daj mi tu papieru i pióra<sup>28</sup>, Urbanie!

<sup>23</sup>*ciekawym* — skrócone od: ciekaw jestem (przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*snadź* (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*wnijście* (daw.) — wejście. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*kseres* (ang. *sherry*) — hiszp. wino wzmacniane destylatem, zawierające 16–20% alkoholu, pochodzące z Andaluzji, z rejonu Jerez de la Frontera. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*misywa* — pismo, odezwa, orędzie; szczególnie: pismo poselskie, dyplomatyczne, oficjalne oświadczenie. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>*Daj mi tu papieru i pióra* — dziś popr. z B.: daj mi tu papier i pióro. [przypis edytorski]

Przez zielone story gabinetu brzask się wdzierał — hrabia wyglądał haniebnie zmęczony.

Nagryzmoilił śpiesznie dwa bileciki, położył adres i skinieniem wezwał bliżej lokaja.

— Listy te odeślesz zaraz, a tamte spalisz, oprócz tego jednego. Przygotuj pistolety i szpadę... Będę się bił... Ale milczeć o tym! Nie budź mnie pod żadnym pozorem, choćby się paliło, chyba gdy ci panowie przyjdą. Nikogo zresztą nie przyjmować, zwłaszcza kobiet. Rozumiesz?

Lokaj skłonił się w milczeniu. Odzywał się tylko w nadzwyczajnej potrzebie z konieczności. Hrabia ledwie się rozebrał, już spał. Uleciały mu z myśli piękne panie, niemiecki honor, pojedynki; odpoczynku tego nie oddałby za uścisk hrabiny Aurory.

## II

Wentzel Croy-Dülmen od dzieciństwa był panem swej woli i czynów. Wprawdzie ojciec nazначzył mu opiekuna, starego towarzysza broni i sąsiada, majora Koop, i opiekunkę, ciotkę Dorę, ale opieka to była — pożał się Boże.

Że fundusz nie zginął — zawdzięczał to tylko swemu ogromowi; że wyrostek się nie zmarnował zupełnie — to było cudem opatrności niebieskiej.

Major Koop i ciotka Dora zjeżdżali się niekiedy, opowiadali sobie okropne wybryki wychowańca, wznosili oczy i ręce do nieba, wzdychali, radzili i rozjeżdżali się do swych zajęć: major do swych dóbr nad Renem, ciotka do modłów i ofiar nabożnych. Rady nie było żadnej. Wentzel dbał o nich tyle, co o popiół z cygara. Od dziecka położenie społeczne popchnęło go w sfery arystokracji; kolegował z synami najwyższych rodów, bawił się po salonach. Młodzieniaszka, pięknego jak Apollo, porwały kobiety — zepsuły go do gruntu.

Nie był nigdy dzieckiem, a młodym duszą może ledwie parę miesięcy.

Cudem olbrzymich zdolności odbył szkoły i uniwersytet, wstąpił do wojska, z wojny francuskiej<sup>29</sup> wyniósł żelazny krzyż i parę blizn — i wystąpił z czynnej służby.

Nudziło go wszystko po pewnym czasie; kariery nie szukał, celu nie miał w życiu, nie rozumiał potrzeby pracy.

Był hulaką wielkoświatowym, pełnym form i delikatności: pod maską króla salonów krył się cynik bez żadnych zasad, nieszanujący nikogo i niczego, lekceważący świat cały, dumny swą potęgą i magnetycznym urokiem.

Należał do kilku klubów, miał przyjaciół, ile było młodzieży w stolicy; kochały go wszystkie kobiety.

Był najzupełniej z losu zadowolony.

Major Koop i ciocia Dora byli dlań nudną miksturą, jak się wyrażał.

Słuchał ich rad i perswazji, jak się słucha brzęku owadów podczas sjeisty poobiedniej.

Majora Koop zagadywał pytaniem o owcach i winie<sup>30</sup>, ciotce znosił cukierki i płacił bez liku na misje jezuickie.

Staruszkę jednak było trudniej ułagodzić. Żyjąc w stolicy, słyszała więcej niż major, widziała mnóstwo podejrzanych osób i stosunków; stare damy z arystokracji składały w jej łaskawe uszy wszystkie plotki i skandale obiegające Berlin z winy jej siostrzeńca. Ultramontańska jej dusza<sup>31</sup> wezbrała zgrozą, patrzyła na Wentzla jak na lokatora piekiel, mieszkanie jego obchodziła z daleka niby Sodomę, suszyła piątki<sup>32</sup>, odprawiała dewocje, składała ofiary — wszystko bezskutecznie.

Hrabia nie miałby nigdy spokoju w domu, gdyby nie to, że ciotka, przy całym zgorzzeniu i zgrozie, miała słabość dla swego „chłopaka”, jak go zawsze zwała.

<sup>29</sup>wojna francuska — zapewne chodzi o wojnę francusko-pruską 1870–1871. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>pytaniem o owcach i winie — dziś z B.: pytaniem o owce i wino. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>ultramontanizm (z łac. *ultramontanus*: znajdujący się za górami) — pogląd głoszący, że polityka lokalnych kościołów rzymskokatolickich powinna być podporządkowana decyzjom papieża (którego siedziba znajduje się stale w Watykanie, a więc „za górami”; stąd nazwa); ultramontanizm jest więc stanowiskiem oznaczającym usztywnienie doktryny kościoła katolickiego oraz centralizację władzy kościelnej; jego powstanie jako prądu myślowego wiąże się z wystąpieniem papieża Piusa VI potępiającym rewolucyjną Francję w 1791 r., a głównym teoretykiem ultramontanizmu był Joseph de Maistre (1753–1821); *ultramontańska dusza* przen.: dusza niezwykle religijna, dusza dewotki. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>suszyć piątki — pościć w piątki. [przypis edytorski]



Za oczami była silna, w oczy oburzenie jej topniało, gniew nikał — piękny panicz ogarnął i ją swym urokiem.

Zresztą Croy-Dülmen w życiu swym hulaszczym mało miał czasu i ochoty na stosunki z ciotką. Bytność jego we frontowym domu należała do wypadków nadzwyczajnych, witanych z zachwytem, wspomnianych bardzo długo. Robił swą obecnością łaskę staruszce.

Był to więc dla niej radosny ranek, gdy lokaj oznajmił, że hrabia zaprasza się do niej na kawę. Zakrzętnęła się żywo, by go ugościć, rozpędziła całą służbę — nie mogła dobrać ciast i zakąsek. Nie przeczuwała, że jej „chłopaka” zbudzili tak wczesnie dwaj sekundanci z warunkami pojedynku. Urban przygotowywał broń. Wentzel po odejściu kolegów coś pisał przy biurku, gwizdząc wojskową pobudkę. Czuł się w obowiązku pożegnania opiekunki.

Na odchodnym zawołał lokaja.

— Idź na Friedrichstrasse numer 5, koło skweru, weź listę lokatorów, wywiedz się u stróża o młodą damę, która dzisiejszej nocy wychodziła na miasto. Rozumiesz? Każ przy tym założyć konie, a list ten oddaj hrabiemu Michałowi Schöneich. Jeżeli kto się zjawi, uwiadomisz mnie u pani. *Verstanden*<sup>33</sup>?

— *Zu Befehl, Herr Graf*<sup>34</sup>!

Wentzel się ubrał i zszedł do ciotki. Pojedynek był naznaczony na poobiedzie, w lasku o parę stacji za stolicą. Było zaledwie czasu na śniadanie i parę wizyt.

Ciotka Dorota przyjęła swego jawnogrzesznika w swym saloniku, ucałowała go w głowę i oczy, posadziła u zastawionego stołu.

Położył przed nią list.

— Przez pomyłkę znalazł się u mnie. Poznają pismo majora. Ta częsta korespondencja, ciociu, mocno się wydaje podejrzana! — rzekł śmiejąc się.

— Żartuj zdrów! Pisujemy o tobie, chłopaku! Jedz tymczasem. Bardzom ci rada<sup>35</sup>.

— Co to ciocia haftuje tak zawzięcie? Oczy trzeba stracić nad taką dhubaniną.

— To Panu Bogu na chwałę... stuła na twój ślub, chłopaku.

— Po cóż ten pośpiech gorączkowy? Zbutwieje cioci roboty. Szkoda!

Panna Dora von Eschenbach wzniosła do sufitu spiczasty nos i szklę okularów i westchnęła żałośnie.

Wentzel popił ten srogi wyrok na stulę lykiem kawy i zaśmiał się.

— To westchnienie, ciociu, było brzemienne krytyką i potępieniem. Czego cioci się chce? Towarzystwa jakiej książęcej peroneli<sup>36</sup> niby mojej żony? Niech ciocia sobie wypisze tuzin dam próżniaczek do kompanii. A może ciocia lubi dzieci? Możemy z misji sprowadzić parę chińskich bachorów. Obejdzie się to wszystko bez współudziału mej osoby!

— Wentzel, Wentzel! Żartujesz ze świętych rzeczy. Każdy porządny człowiek musi się ożenić!

— Każdy porządny człowiek powinien unikać poufałości z kobietami! Nieprawdaż, ciociu?

— No, tak, zapewne... są grzechy...

— Z tego wynikające. Słyszałem o tym. Otóż ja nie chcę mieć grzesznych stosunków. Nie chcę się starać, oświadczać, bo to, widzi ciocia, doprowadza do uścisku dłoni, do gorących spojrzeń, do pocałunków. Ergo<sup>37</sup>, ja się boję żenić, bo to... niemoralne!

Miał minę mistyčno-zgorszoną.

Ciotka Dorota pokręciła głową.

— Ach! Boże! — westchnęła znowu.

— Zamiast wzdychać, proszę zajrzeć do listu majora. O żeniacze nie warto myśleć, bo ja się pojedyńkuję za parę godzin... i może być... *caput*<sup>38</sup>!

<sup>33</sup>*verstanden* (niem.) — (czy) zrozumiano. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*zu Befehl, Herr Graf* (niem.) — rozkaz, panie hrabio. [przypis redakcyjny]

<sup>35</sup>*bardzom ci rada* — skrócone: bardzo [jestem] ci rada. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*peronela* (z fr. *pérónelle*) — osoba głupia. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*ergo* (łac.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*caput* (łac. *caput*: głowa) — tu: koniec. [przypis edytorski]

— Co ty?!... Jezusie, Mario! Znowu?!... Co miesiąc się bijesz... Ach, ja nieszczęśliwa! Co to będzie, co to będzie!

— Nic nie będzie! Na co ciocia wzywa imienia boskiego nadaremno! Wszakżem nie baran na rzeź. Czy mogę zapalić papierosa?

Nic nie odrzekła, bo zanosiła się od płaczu, lamentując przerywanym głosem.

Hrabia pokiwał głową.

— Otóż macie kobiety! I ciocia chce, żebym jeszcze drugą sprowadził do duetu! Jedna po siostrzeńcu, druga po mężu... ładny koncert!

Staruszka z żalości rozgniewała się.

— Tak, tak, kobiety! Gadaj to komu innemu. Masz mnie za tak naiwną! Wiem wszystko! Może to nie o jedną z tych bezecnic stawiasz życie na kartę! Gdzie gromy niebieskie na te szkaradnice, Magdaleny, Samarytanki! Czemu ich nie pławią i nie palą, nie piętnują żelazem! Sodoma, Gomora!

— Gwałtu! Z cioci byłby istny Torquemada<sup>39</sup>! Aż mnie dreszcz chwyta!

Hrabia się śmiał z całego serca, ale panna Dorota puściła wodze swej boleści i oburzenia.

— Zginiesz przez nie, jeśli się nie upamiętasz<sup>40</sup>, nie ożenisz, nie będziesz domu pilnował! Okropność! Zabiją cię!

— Ciocia mnie ma za niepospolitego gamonia! Nie myślę ginąć za byle co! Ale kiedy ciocia mi wymyśla, to zmykam. Sądziłem, że znajdę pochwałę i zachętę, a tu łzy! Fe, ciociu, *c'est mauvais genre*<sup>41</sup>!

Wstał i pochylił się nad jej ręką.

— No, zgoda! Proszę się rozchmurzyć. Biję się nie o żadną Samarytankę, jak to ciocia nazywa, ale o to, że Wilhelm Wertheim nazwał mnie Metyseem i polskim warcholem! Co, jest racja? Za to go rozplątam jak szczupaka, dam słowo honoru! Niech ciocia spyta kapitana Assenberg, jak się fechtuję! To zabawka dla mnie.

Staruszka otarła łzy i spojrzała mu w oczy.

— Gdy twój ojciec... świeć, Panie, jego duszy... powziął ten szalony projekt, jam go błagała na klęczkach, by zaniechał. Nic nie pomogło. Oczarowali go w Polsce. To kraj wół dziki. Mają tam guśla, rzucają uroki, dają pić ziola jakies! Słyszałam o tym od poważnych ludzi. Czarna magia, szatańskie sprawy! Szatan opętał biednego Ralfa! Przeczuwałam nieszczęście! Spełniło się! Ty pokutujesz! Ach, te Polki! Major Koop zawsze mi powtarza: „Wentzłowi nikt nie ufa, boją się sprzeniewierzenia i odstępstwa. Dlatego nie wzywają go na żadną posadę, obserwują go i czekają”. Ach, żebyś się ożenił z córką księcia H., nieufność by znikła!

Ciocia Dora, jak zając po wielu kluczach<sup>42</sup>, wróciła do punktu, skąd wyszła.

— Nie boję się polskich czarów! — odparł hrabia, marszcząc brwi. — Nie pójdę śladem ojca! Co zaś do posad, jeśli mi przyjdzie ochota, nie ja, ale rząd będzie mnie prosił. O to może ciocia być spokojna.

— Więc pojedynkę nieodwołałny? — szepnęła.

— Obydwa nie należymy do tchórzów.

W tej chwili otworzyły się drzwi salonu; zajrzała posępna twarz Urbana.

— Konie podane!

— Co, już jedziesz? Ach, Boże, jakże mi straszno! Weź szkaplerzyk na piersi, chłopaku. Będę się dzień cały modliła za ciebie.

— Dziękuję! Nic mi nie będzie. Dziś wieczorem przyjdę do cioci na herbatę. Do widzenia!

Za drzwiami roześmiał się jak szalony.

— Co prawda, wolę pożegnanie z Aurorą; ta mi dopiero da szkaplerzyk!

Zamruczał, potem zbiegł szybko na dół, zatrzymał się, zwrócił się do lokaja i spytał lakonicznie:

<sup>39</sup>*Torquemada, Tomás* (1420–1498) — dominikanin, w latach 1483–1498 generalny inkwizytor w Hiszpanii, królewski spowiednik; jako najbardziej rozpoznawalny urzędnik świętej inkwizycji, stał się synonimem bezwzględności, z jaką działała ta instytucja kościelna. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*upamiętać się* — dziś: opamiętać się. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*c'est mauvais genre* (fr.) — to w złym stylu. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*po wielu kluczach* — tu: po wielu uskokach na boki; po kluczeniu. [przypis edytorski]

— *Nun*<sup>43</sup>?

Urban się wyprostował jak we froncie.

— Kamienica przechodnia na dwie ulice, stróż spał noc całą, nikogo nie widział. Oto spis lokatorów.

— *Zum Teufel*<sup>44</sup>! Co dalej?

— Baron Schöneich czeka na pana hrabiego.

— Weź szpadę i ruszaj na kolej; bierz bilety na stację Kirschmühl i czekaj na mnie.

— Słucham!

Baron Schöneich, kolega i przyjaciel Wentzla, przybył dość zdziwiony nagłym wezwaniem.

— Pewnie się bijesz? — zawołał na wstępie.

— Jakbyś zgadł.

— O co?

— O moją piętę achillesową *vel*<sup>45</sup> polską.

— Z kim?

— Z Wilhelmem.

— Głupstwo! Will pewnie był pijany, a ty, wiadomo, szukasz wrażeń. Czemuś mnie ominął na sekundanta? Wiesz, to obraza!

— Ty, poważny dyplomata! Dostałbyś jeszcze nosa od kanclerza. Zresztą, taki pojedynek... Jakbym z tą szafą wojował! Ech!

Schöneich pokręcił głową.

— Co prawda, tych pojedynków trochę za gęsto. Jesteś strasznie drażliwy, Wentzel. Na twoim miejscu ja bym, dla zatkania gęby natrętom, wszedł do izby<sup>46</sup> i urządził co dzień ruladę z Polaków. Masz porywającą wymowę.

— Ba, przy śpiewie, winie i kobietach, ale nie w waszym sejmie. Brr! Co tam za nudy!

— Ha, to urządzi krucjatę na Poznań.

— Do diabła z conceptami! Powiedz choć raz co rozsądnego.

— Wstąp do służby.

— Na przykład do jakiej?

— Do dyplomacji. Jesteś na to stworzony.

— Skąd ten pewnik? — zaśmiał się Croy-Dülmen.

— Wyznaję, że to nie moje spostrzeżenie, ale Herberta. Wczoraj była mowa o ambasadorach u ministra W. Stary, jak go znasz, facecista<sup>47</sup>. „Poseł — powiada — powinien grać zawsze rolę kochanka. Kto się zna na galanterii i miłości, ten będzie doskonałym ambasadorem”. A na to Herbert: „Poślijcie do Francji Wentzla Croy-Dülmen: nie będzie strachu o Alzację i miliardy! On wam Galię w różę uwieńczoną przyprowadzi do stóp! Dacie mu za to, zamiast pensji i orderu, kotylion<sup>48</sup> z paryżanek”. Śmiano się z tego cały wieczór.

— Herbert rad by mnie się pozbyć z Berlina.

— No, sądzę, iż przede wszystkim z jednego pałacu Berlina. Biedaczysko schnie z za wiści.

Croy-Dülmen ruszył ramionami.

— On zawsze ma gust na cudze. Póki wolne i nieogłaskane, milczy; gdy kto wyróżni i zdobędzie, wydziera włosy i szaleje. Z taką taktyką niedaleko zajędzie. On mnie ambasadorem, a ja jego zrobiłbym wielkorażąca australijskich kolonii. Niech obdziera ludożerców!

Spojrzał na zegarek i poruszył się niespokojnie.

— Otóż, Michel, chciałem cię prosić, abyś na wypadek jakiej katastrofy ze mną popalił papiery w tym biurku co do jednego, bo widzisz...

<sup>43</sup>*nun* (niem.) — więc; cóż więc. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*zum Teufel* (niem.) — do diabła [przypis edytorski]

<sup>45</sup>*vel* (łac.) — albo. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>*wejść do izby* — tu: zostać posłem w parlamencie. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>*facecista* (daw.) — żartowniś; por. *facecja*. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>*kotylion* — rozetka ze wstążki przypinana do stroju; tu: wianuszek. [przypis edytorski]

— Widzę, że ci bardzo pilno mnie się pozbyć! *Zum Henker*<sup>49</sup>! Te pamiątki nie zginą, i ty także, bądź spokojny! Cha! Cha! Kręcisz się jak fryga.

— Cóż chcesz, boję się spóźnić na pojedynek.

— Uhm, pojedynek, ale bez sekundantów. No, no, ambasadorze, ruszaj, ruszaj! Przyjdę wieczorem powitać cię jako zwycięzcę. Bywaj zdrów!

Po chwili sławne na cały Berlin taranty<sup>50</sup> hrabiego stały u bramy hrabiny Aurory.

Ciocia Dorota odprawiała koronkę, a piękna pani mówiła cała wzburzona.

— Wiesz, jeżeli ten błazen cię zadraśnię, to ja mu zrobię coś okropnego... ja, ja...

— Wypowiesz mu swój dom! — podchwycił hrabia.

— Wypowiem! — potwierdziła energicznie, jakby mówiła: poćwiartuję go żywcem.

Szyderczy grymas przeszedł twarz Wentzla.

— Za taką ofiarę, mój skarbie, zachowam dla ciebie dogonną wdzięczność — rzekł z całym przejęciem.

Dopiero w drodze do Kirschmühl pozwolił sobie w myśli na krytyczną uwagę:

— Ciekawym, co by Lidia zrobiła okropnego Wilhelmowi w razie mego zadraśnięcia. Pewnie pokazałaby mu język. No, no, już to te damy nie bywają rozrzućne w pamięci o pokonanych! Trzeba imponować albo nie istnieć! Imponujemy!

Nie udało mu się tak, jak sobie tego życzył.

Obu przeciwników rannych odwieziono do domu. Baron miał przebite ramię i rozcięty szpetnie prawy bok, Wentzel dostał cięcie przez głowę: bił się jeszcze, ale krew mu zalała oczy, a przeciwnik omdlał. Obwołano hrabiego zwycięzcą.

Nędzny to był triumf. Szpada rozplatała mu głowę i czoło do czaszki. Schöneich zastał go w szponach trzech chirurgów. Klócili się po łacinie.

— Musi być znak — wołał jeden.

— Nie będzie przy zimnych okładach — przeczyli dwaj drudzy.

Tu pacjent wmieszał się do rozmowy.

— Albo będzie, albo nie będzie. To się zobaczy przy końcu. Tymczasem róbcie początek, panowie.

— Rozsądne zdanie — potwierdził najstarszy medyk, przyjaciel domu hrabiego, zabierając się do roboty.

Schöneich powitał bohatera uśmiechem.

— Przyszedłem palić owe dokumenty — rzekł wesoło. — Czy ci nie wstyd dać się opiętnować?

— Odbiję się na Assenbergu. Nie nauczył mnie jednego pchnięcia, osioł.

— Przy twym amatorstwie ufam, że się z czasem wykształcisz! Hu! Co to za szczerba! Będzie miał szramę na całe życie.

— Nie będzie przy użyciu zimnej wody! — poczęli wołać medycy.

Staremu doktorowi Voss drgnęła ręka z irytacji. Wentzel skrzywił się z bólu.

— Czego się gapisz! — krzyknął na Urbana. — Idź i uspokój panią we frontowym domu.

— Jaką panią? — zagadnął udając naiwnego Schöneich.

Ciocia Dora spędziła dzień we łzach i modlitwie. Gdy karetka wróciła z dworca i zatrzymała się u lewego skrzydła, a do niej nikt nie przychodził, przemogła wstręt, jaki czuła do tej części domu, i zbiegła sama po nowiny. Wszystkie drzwi zastała otworem. Służba była w ruchu. Dotarła niepostrzeżona aż do sypialni. Ujrzała swego chłopaka w pokrowianej koszuli, wokoło krwawe szmaty, nad nim trzech rzeźników i Urbana bladego jak ściana. Tylko Schöneich rozparty w fotelu kiwał się tu i tam, gwiżdżąc — a sam ranny dowcipkował po swojemu.

Staruszka już miała wejść, już podniosła nogę, gdy ją przykuł do podłogi żartobliwy głos barona.

— Doktorze, zacerujcie gładko, żeby piękne usta nie obrażyły się na szramach.

Ciocia Dora zatuliła uszy dłońmi i uciekła z tego piekła. W takiej chwili — taka mowa! O, czasy! O, młodzieży!

<sup>49</sup>*zum Henker* (niem.) — a niech to; tam do kata. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>*tarant* — nazwa umaszczenia konia; konie tarantowane charakteryzują się kontrastowo ciemnymi (karymi a kasztanowatymi) plamkami występującymi na białej skórze lub odwrotnie: białymi plamkami na ciemnej sierści. [przypis edytorski]

W chwilę potem Urban ją uspokoił ze strony hrabiego, ale ona nie zdecydowała się na powtórne odwiedziny. Miała dosyć próby.

Stary doktor postawił na swoim. Szrama została pomimo zimnej wody i innych sposobów; rozcinała czoło wyraźną poprzeczną bruzdą.

Honor swój niemiecki opłacił Wentzel, a może piękne oczy nieznanomiej dziewczyny odjęły mu zęczność i siłę.

Miał pamiętkę po owej burzliwej nocy. Klął ją w duchu, gdy wreszcie wygojony stroił się pewnego wieczora do teatru.

Doktor Voss zjawiał się właśnie na zły humor, a nie wiedząc o tym, począł burczeć na wybryki. W rezultacie pokłócili się okropnie: medyk z całą flegmą, Wentzel z ogniem wcale nie germańskim.

Voss potarł swą górną wargę, co robił zawsze, gdy miał wygłosić ważne zdanie, i rzekł:

— Pan hrabia jest niecierpliwy, nierozsądny, i nielogiczny... Typowy Słowianin.

Tego było za wiele. Croy-Dülmen skoczył, jakby skorpion nadeptał.

— *Kreutzdonnerwetter*<sup>51</sup>! — zaklął jak dragon. — Jak mi pan jeszcze piśniesz słowo...

— To co? — prawil spokojnie medyk. — Ja się bić nie umiem, a spostrzeżenie fizjologiczne nie jest przecież obrazą. Pan hrabia rodzi się z Polki, to pewnik; że ród matki wpływa bardzo silnie na dzieci, to drugi pewnik; a że pan bardzo do matki podobny, to trzeci! *Dixi*<sup>52</sup>.

— A ja *dixi*, że wasze fizjologie to brednie, a wy sami stado wariatów! Jestem Niemiec i basta!

— Po ojcu prawdopodobnie!

— Jak to prawdopodobnie? — krzyknął młody człowiek, czerwieniejąc z pasji. — Śmiesz o mojej matce mówić podobny frazes!

— Mówię: prawdopodobnie, bo pani hrabina była Polką, a tamte kobiety są do prawdy podobne. Nasze damy — to co innego. Żeby na przykład hrabina Carolath miała syna, powiedziałbym...

— Daj mi spokój z hrabiną Carolath! Nie ciekawym tego, co powiesz! — przerwał niecierpliwie hrabia. — Idę do teatru. Zeszpecileś mnie na wieki, a teraz prawisz brednie, które ci tylko dlatego darowuję, żeś stary! Niech piekło pochłonie chirurga! Z wami razem, naturalnie! Urban, konie!

W teatrze piękny panicz w krzesłach i piękna pani w łoży zamienili krótkie, ale wymowne spojrzenia. Nie było na nic więcej czasu; ale koledzy wzięli w swój środek Wentzla; układano kolację z aktorkami.

Dopiero w antrakcie hrabina Aurora zwróciła swój śliczny profil do drzwi łoży i powitała wchodzącego uśmiechem syreny.

Tysiące oczu patrzyło na nich, więc on się uklonił głęboko i usiadł naprzeciw niej.

— Wyglądamy tak niewinnie jak stary radca z sędziwą ochmistrzynią dworu — zrobił półgłosem uwagę Wentzel.

— *Mauvais sujet*<sup>53</sup>! — upomniała go za koncept. — Czy wiesz, że ci ładnie z tą blizną, *heros balafre*<sup>54</sup>. Ale bić się nie było o co, doprawdy! Wiesz, ja bardzo lubię Polaków.

— Jakbyś znała choć jednego.

— No, chociażby ty, przez pół.

Rzucił się niecierpliwie.

— Znowu! Ja się dziś wścieknę chyba! Ja nie jestem, nie będę, nie chcę być Polakiem! Co się ludziom dzieje! Sprzysięgli się mnie torturować!

— A to się nie broń, jeśli chcesz, żeby ci dali pokój! *Le grand malheur*<sup>55</sup>! Pogadają i ucichną. A jak będziesz się afiszował niemczyzną, to ci na złość będą dowodzili, żeś Polak z krwi i kości.

Pierwszy raz i zapewne jedyny zrobiła hrabina Aurora tak trafną uwagę, ale to nie rozmarszczyło czoła młodego człowieka.

Nie znalazł dla niej uśmiechu, gryzł niecierpliwie wąsy i kręcił brodę.

<sup>51</sup>*Kreutzdonnerwetter* (niem.) — do stu piorunów; a niech mnie kule biją. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*dixi* (łac.) — rzekłem. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*mauvais sujet* (fr.) — nic dobrego; urwis. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*heros balafre* (fr.) — bohater z blizną. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*le grand malheur* (fr.) — wielkie nieszczęście. [przypis edytorski]



Trąciła go nieznacznie pantofelkiem.

— Powiem ci coś niemilego, jeśli mnie nie będziesz bawił. Patrz, ty specjalisto od ładnych twarzątek, kto to nowy w łoży naprzeciw? Co za pyszne opale! Mówią, że to kamienie, *qui portent malheur*<sup>56</sup>! Znasz tę damę?

Hrabia machinalnie podniósł oczy, spojrział we wskazanym kierunku i aż się cofnął z podziwu. Dama w opalach nie był to nikt inny, tylko jego nieznajoma.

Ruch nie uszedł oka hrabiny.

— Ach, *comme tu prends feu*<sup>57</sup>! — rzekła z dąsem.

— Nie wiedziałaś o tym? — spytał z lekką ironią.

— *Monstre*<sup>58</sup>! — trąciła go znowu pantofelkiem. — Znasz tę damę?... Skąd ona?

— Z San Marino.

— Gdzie to jest? Na prowincji? We Włoszech?

— A gdzieś tam blisko! Nie pamiętam.

Opędział się od pytań, a oczu nie spuszczał z łoży naprzeciw.

Nieznajoma nie była sama. Towarzyszyło jej dwóch mężczyzn; jeden stary, siwy — drugi młody, blondynek, z jeżowatą czupryną i swawolą w oczach. Rozmawiali z sobą poufale i, o dziwo, obywatelka spartańskiej republiki uśmiechała się lekko niekiedy, a chłopcu iskrzyły się do niej źrenice i co chwila błyskały białe zęby w serdecznej, obojętnej wesołości.

Wentzel Croy-Dülmen wciąż patrzył, znosząc obojętnie impertynencje obrażonej hrabiny. Tupiała nóżkami z wściekłości.

— *Tu es d'une grossièreté horrible*<sup>59</sup>! Idź, przynieś mi cukierków! Nie polykaj jej oczami. Nie puszczę cię! Nie masz prawa tam iść, rozumiesz? Nie pozwalam! Tam nie ma miejsca dla ciebie. Ten blondynek...

— Auroro! — szepnął z wyrzutem.

— Gdzieś ją poznał? Mów! Że też tobie żadna nie ujdzie! Ach, wpakowałabym cię z przyjemnością na statek admirałski z zakazem odwiedzania portów! Co to za jedna?

— Obywatelka Rzeczypospolitej San Marino.

— *Tu es stupide*<sup>60</sup>... z tą twoją Rzeczpospolitą!

— Cóż robić! Nie mogę cię lepiej objaśnić, bo sam więcej nie wiem!

— A ja ci mówię, że to nie żadne San Marino. To jest niezawodnie ktoś z Polski. *Ces Slaves ont leur type à part*<sup>61</sup>. Wiesz, że ona nawet do ciebie podobna.

Nareszcie znalazła hrabina sposób na swego kochanka.

Spojrział na nią piorunującym wzrokiem, wziął kapelusz, ukłonił się i wyszedł. Była pewna, że już nie spojrzy na łożę.

Po chwili ujrzała go w krzesłach. Istotnie, nie patrzył ani na prawo, ani na lewo, ale na scenę. Zdawał się zajęty jedynie sztuką. W drugim antrakcie przysłał jej stopy cukrów, sam poszedł na cygaro z kolegami. Nie wspomniał o damie w opalach, ale inni już ją spostrzegli.

— Alzatka! — zdecydował Herbert.

— Mniejsza skąd, ale piękna. Co za szyk królewski!

Wertheima nie było. Leczył się jeszcze. Więc Wentzel ze swą znajomością się nie pochwalił. Co prawda, nie było tak bardzo czym.

Przypuszczenie Herberta uderzyło go.

— Byłeś w Alzacji? — zagadnął.

— Dwa miesiące, z komisją rewizyjną.

— Uhm, rewidowałaś! — wtrącił po swojemu półgębkiem Michel von Schöneich.

<sup>56</sup>*qui portent malheur* (fr.) — które przynoszą nieszczęście. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*comme tu prends feu* (fr.) — jak ty się zapalasz. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*monstre* (fr.) — potwór. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*tu es d'une grossièreté horrible* (fr.) — okropny z ciebie grubianin. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>*tu es stupide* (fr.) — jesteś głupi. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*ces Slaves ont leur type à part* (fr.) — ci Słowianie mają swój odrębny typ (tj. są rozpoznawalni). [przypis edytorski]

W głowie Wentzla tworzył się awanturniczy projekt. Odszukać ją, poznać się i rzucić w oczy kolegów Cezarowym: *veni, vidi, vici!*<sup>62</sup>! Znad Renu do Alzacji był krok jeden, a reszta fraszki!

— Za pół roku ona będzie moja! — rzekł lekceważąco.

Herbert natychmiast nadstawił uszu. Chwytał w lot każdą inicjatywę.

— Albo moja! — zawołał.

— Nie! — poprawił Wentzel. — Moja albo niczyja!

— *Pari*<sup>63</sup>?

— Zgoda! O co?

— O twego „Scherza”!

— I o twego „Fingala”!

— A ja trzymam, że obydwaj zjecie po mydełku — ozwał się Schöneich. — Stawiam swoją czwórkę, zabiorę waszego „Scherza” i Osjanowego bohatera<sup>64</sup>; każe jutro zacząć rozszerzać stajnię.

— Skąd ta pewność, Michel?

— Popatrzcie jej w oczy, to się dowiecie! No, idę do hrabiny Aurory z wizytą. Będę pocieszał.

— Albo jej trzeba pociechy? — zagadnął łakomie Herbert, jak zawsze gotów korzystać z cudzego projektu.

— I bardzo. Wielka burza opadła fregatę admiralską koło Ziemi Ognistej.

— To i ja pójdę z tobą!

Po skończonej sztuce Wentzel z Herbertem spotkali się na chodniku przed teatrem.

— Widziałeś dokąd pojechała? — zagadnął Croy-Dülmen.

— Wiesz, nie; byłem zajęty. Nie uważałem.

Obydwaj okłamywali się bezczelnie. Śledzili piękną nieznajomą, ale im uszła w tłumie i znikła. Była to dla Herberta pierwsza, dla naszego bohatera druga porażka. Nie zwątpił jednak o sobie, ruszając z dobrą miną do restauracji.

Bankiet przeciągnął się do rana.

### III

Ciotka Dora von Eschenbach po raz pierwszy w życiu zgodziła się ze zdaniem siostrzeńca.

Było to nazajutrz. Hrabia zjawił się o południu, zhulany, blady, ziewający pomimo wiosennego słońca. Wyglądał jak uosobienie swawoli i nadużycia.

— Co ciocia zamierza robić latem? — spytał. — Bo przecież na bruku tutaj siedzieć nie podobna<sup>65</sup>. Kto żyje, wyjeżdża.

— Wybieram się w odwiedzinę do majora.

— Czemuż nie do Dülmen? Po cóż egzystuje to zamczysko? Wydaję rokrocznie parę tysięcy marek na reparację. Niechby ciocia obejrzała z bliska gospodarstwo pana rządcy.

— A ty się tam nie wybierasz?

— Ja, ciociu, mam na to lato wyżej głowy zobowiązań, ale dla cioci poświęciłbym chętnie wiosenne wyścigi. Mogę towarzyszyć do Dülmen.

— Mój nieoszacowany, kochany chłopaku! Za tę przyjemność, zrobioną starej, spotka cię wielkie szczęście. Zobaczysz!

<sup>62</sup>*veni, vidi, vici* (łac.) — przyszedłem, zobaczyłem, zwyciężyłem; tymi słowami miał Gajusz Juliusz Cezar zawiadomić o swoim zwycięstwie nad Farnakesem II, królem Pontu, po bitwie pod Zelą w 47 r. p.n.e.; lakoniczna fraza przekazuje informację zarówno o wyniku wyprawy, jak również o łatwości i szybkości pomyślnego wykonania zadania. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*pari* (fr.) — zakład. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*Osjanowy bohater* — Fingal, jeden z bohaterów występujących w tzw. *Pieśniach Osjana*, wydanych w 1760 r. przez Jamesa Macphersona jako tłumaczenie z języka gaelickiego utworów celtyckiego barda imieniem Osjan; mimo że szybko (w 1805 r.) starożytny epos okazał się falsyfikatem, a rzekomy tłumacz autorem, tekst zyskał ogromną popularność w dobie romantyzmu i był tłumaczony na liczne języki w całej Europie; najpopularniejsze tłumaczenie fr. Pierre’a Le Tourneura z 1777 r. nosiło tytuł *Osian, fils de Fingal, barde du troisième siècle: Poésies gaulloises (Osjan, syn Fingala, bard z trzeciego wieku: Poezje gaelickie)*. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>*nie podobna* — nie sposób, nie można. [przypis edytorski]

„Bodajem tylko<sup>66</sup> zobaczyli! — pomyślał hrabia, nie przeczuwając, że w głowie ciotki owo szczęście miało już określony wiek, postać, imię i nazwisko, co wszystko razem składało nadobną Emilię Koop, jedyną córkę majora”.

Od dawna upatrzyła ją sobie ciocia Dora na anioła stróża dla swojego jawnochrześnika; projekt był gotów, opracowany w najdrobniejszych szczegółach; brakowało jednej małej rzeczy — zgody Wentzla, ale ciocia Dora wierzyła w cuda. Każda rzecz wydawała jej się możliwa.

A ofiara szła nieopatrznie na zastawioną wędkę.

Po tygodniu pałac Pod Lipami opustoszał. Konie odprawiono do dóbr, służba w części pojechała nad Ren, pozostali włóczyli się po bawariach<sup>67</sup>, franki były spuszczone, szwajcar drzemał w swej łoży.

Za to Dülmen zawrzało ruchem. Na baszcie, co spoglądała w sine wody Renu, wiatr rozwiewał herbową chorągiew, po dziedzińcach rżały konie, skomlały ogary, biegali tu i tam masztalerze i lokaje. Rządca zaprzestał wieczorów w miasteczku przy piwie, nie chodził podśpiewując z fajką w zębach i nosem zadartym. Zmalał, skurczył się, schudł; z oczu pana zgadywał myśli.

Do kaplicy ciocia Dora sprowadziła kapelana i śpieszyła, ile mocy, z wykończeniem swej złotej stuły na ślub wychowańca.

Intryga szła jak po maśle. Wentzel sumiennie odwiedzał opiekuna, major urządzał na jego cześć polowania i pikniki; wesołe życie stolicy i ogólne uwielbienie szło w ślad pięknego panicza. Wiejskie piękności nie umiały ukryć swego zachwyty; panowie okrzykli go pierwszym dżentelmenem i wzorowym kolegą.

Gdzie się pokazał, zwracał wszystkie oczy. W walcu czy na koniu, przy bankiecie czy na łowach — był niezrównany.

Do doskonałości brakło mu, wedle majora i ciotki, tylko żony.

Po dwóch tygodniach wiejskich wakacji panna Dorota von Eschenbach uznała, że wpływ przyrody i wiosny musiał dostatecznie podziałać na umysł hrabiego; wyobrażała go sobie sielankowo rozmarzonym — i pewnego wieczora zaprosiła się z robótką na gawędę do mieszkania młodego człowieka.

Wieczór był istotnie romantyczny. U stóp zamczyska Ren szumiał, przez otwarte okna wdierał się pachnący powiew wiatru i zaglądał sierp nowiu. Wentzel leżał na kanapie, palił cygaro i gwizdał *Lorelei*; o kim myślał przy owym śpiewie, można się domyślić.

Panna Dora odchrząknąwszy zagała rozmowę:

— Czy nie myślisz posłać jutro bukietu Mili Koop? Są przecież cudne azalie.

Hrabia się ocknął jak ze snu.

— Bukiet majorównie? Czy ona się jutro potwierdza? — zapytał.

— Ale co ty gadasz! Wszakże to dorosła panienska!

— Przerosła! — mruknął.

— Jak to? Sam kwiat!

— Nie uważałem. One tu wszystkie dziwnie do siebie podobne. Różowe, białe...

— To ładnie!

— Uhm! Czy ciocia stuły jeszcze nie skończyła?

— Będzie na czas, chłopaku, będzie! — zaśmiała się kiwając głową.

— To mnie najwięcej obchodzi. Ale nie rozumiem ochoty ślęczenia nad podobnym głupstwem. Czemu ciocia lepiej nie strzela do celu?

— Fi! — strzepnęła rękami staruszka. — Więc bukietu nie zanieziesz Mili?

— A to po co?

— No, przecież major twój opiekun!

— A, no to jemu się należy bukiet.

— Rodzicom najlepiej odśłużymy się w dzieciach. Przez pamięć na staranie majora warto zająć się córką. Ty tak umiesz być miłym, gdy chcesz.

Ciocia Dora osładzała pigułkę tysiącem pieszczotliwych uśmiechów i spojrzeń.

— Co ciocię tak zajmuje major i jego familia?

<sup>66</sup>*bodajem tylko* — żeby tylko. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>*bawaria* — tu: piwiarnia. [przypis edytorski]

— Mój Wentzel, to są ludzie rzadkich przymiotów. Miła jest wzorową córką, gospodynią, wykształconą, ładną, czułą...

— O, i bardzo! — wtrącił hrabia.

— W jej ręce może każdy złożyć z ufnością honor domu. Potrafi stworzyć ognisko, zająć się porządkiem, nie zhańbi nazwiska, a mężowi da szczęście, spokój, dzieci uczyni dobrymi chrześcijanami i patriotami...

— Ciociu, proszę tchu nabrać! Ta tyrada grozi zapaleniem płuc. Wierzę ślepo w doskonałości panny Koop, obowiązuję się przez wdzięczność dla majora wystawić jej pomnik na rynku w Dülmen i wypisać to wszystko na marmurowej płycie.

— Możesz zrobić coś lepszego, co uszczęśliwi ją, ciebie, mnie i majora: ożeń się z nią!

— Tylko tyle! Odrobina! — zaśmiał się szydyczko.

— Pewnie, że to nic wielkiego. Major przyjmie cię z otwartymi ramionami<sup>68</sup>, a Miła...

— Panna także ramion nie odmówi.

— Miła cię pokocha.

— O tym nie wątpię!

— Więc cóż, zgoda? — spytała ciocia Dora, wstając na wpół.

Hrabia się przeciągnął, ulokował wygodniej na kanapie i ziewnął nieznacznie.

— Proszę mi powiedzieć, ciociu, skąd ten gust do swatania? Ojciec mój nie był szczęśliwy w małżeństwie.

— Źle wybrał, źle wybrał! Nie słuchał mnie! — wołała żywo.

— Ciocia sama nigdy nie była zamężna...

— Ach, co tam mnie wspominać!

— Bo ciocia jest dla mnie ideałem. Ożenię się z ciocią albo z nikim. To moje ostatnie słowo!

Na to niespodziewane zakończenie staruszka podskoczyła w fotelu, poczerwieniała i zbladła, upuściła z rąk robotę.

— Wentzel! — zawołała zgorzozna.

— Tak jest, ciociu! *Tod oder Turandot*<sup>69</sup>! Bezkarnie się nie obcuje z ideałem. Przy sięgałem sobie ciocię zbałamucić: to mój cel i marzenie.

Panna Dora poczęła dygotać jak w febrze. Trzęsły się jej siwe loki i bezzębne usta, i ręce obciagnięte<sup>70</sup>.

— Fi, fi, fi! — zawołała zdyszana. — Oto za moje starania i poświęcenia! Wstyż się, takie słowa do mnie... Żaden mężczyzna nie śmiał! Fe, obraza boska! Jesteś doprawdy zuchwalec, lekkomyślny młodzik! Umywam ręce. Bóg świadkiem, chciałam cię ratować, zatrzymać na drodze do zatracenia. Pozwalasz sobie na nieprzystojne rozmowy... fi, szkaradne! I ty mówisz o marzeniu! Kłamstwo! Ty nie wiesz, co to marzenie!

Podczas tego wybuchu panna Dorota cofała się do drzwi. Przy ostatnich słowach znikła za portierą, zegnając zuchwałca ruchem pełnym wzdrygi. Pozostał sam.

Pusty śmiech, który hamował całą siłą, rozrywał mu piersi. Wychylił się za okno i puścił wodze wesołości.

— A to mi się udało! Ciocia wyperswaduje sobie matrymonialne zaczepki. Cha, cha, cha! Przebiła się własnym ostrzem! Przysięgnę, że uwierzyła w połowie i będzie mnie unikała jak złego ducha. Drzwi zatarasuje! Co za oburzenie niebotyczne! A ten gest ostatni: „Ty nie wiesz, co to marzenie!”. Spojrzysz, już ją masz! Kto mnie miał czułości i sentymentalizmu nauczyć?

Rozejrzał się po niebie i ziemi. Błyszczące w księżycu fale rzeki wzbudziły obraz jaśnowłosej czarodziejki.

— Pięknie by mnie Aurora przyjęła, gdybym jej marzenie zaproponował; albo Lidia czy baronowa Liza! Miałbym się z pyszna! Cha, cha! No, spaliłem mosty za sobą. Nie pokazywać mi się przed oczy cioci! Cóż robić teraz?

<sup>68</sup>z *otwartymi ramionami* — dziś popr. forma N.Im: (...) ramionami. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*Tod oder Turandot* (niem.) — śmierć albo Turandot; nawiązanie do imienia tytułowej bohaterki sztuki Carla Gozziego *Turandot* opowiadająca o okrutnej księżniczce chińskiej, która swoim kandydatom na męża zadawała niczym Sfinks trudne zagadki, a tych, którzy nie odgadli czekała śmierć; na podstawie dramatu powstała opera wł. kompozytora Giacomina Pucciniego (1858–1924), dokończona (przez Franco Alfano) i wystawiona dopiero po jego śmierci, w 1926 r. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*ręce obciagnięte* — tu zapewne: wyprostowane, wyciągnięte wzdłuż ciała. [przypis edytorski]

Znowu spojrzął w nocny krajobraz i półgłosem nucić począł:

*Zum Rhein, zum Rhein, zum deutschen Rhein,  
Wer will des Stromes Hüter sein!  
Lieb Vaterland, magst ruhig sein,  
Fest steht und treu die Wacht am Rhein*<sup>71</sup>!

— Istotnie, siedzę tu jak szyldwach w tym zamczysku! Do diabła patriotyzm! Zostawię posterunek cioci w wierne ręce! A żeby też spróbować szczęścia na tamtym brzegu. Hm... piękna nieznajoma, kto wie, czy nie sprzeniewierzy się swej nienawiści. Byle ją odszukać. Urban!

*Factotum*<sup>72</sup> wyrosło<sup>73</sup> jak spod ziemi.

— Pakować! Jutro jedziemy do Kolonii.

Wentzla czyn od myśli był bardzo niedaleko.

Nazajutrz ciocia Dora otrzymała przez lokaja wonny opoponaksem<sup>74</sup> bilecik hrabiego:

„Ze skrwawionym sercem i rozdartą duszą odjeżdżam! Tak srogiego wyroku znieść nie jestem w stanie. Słowa cioci były płomieniem, co mi duszę oczyścił. Będę się uczył marzyć, działać i pokutować. Jeżeli nie wrócę więcej, to proszę mnie w swych modłach nie omijać. Odjeżdżam złamany, z rozpaczą w sercu.

*Biedny Wentzel*”.

— Co to jest? — wrzasnęła staruszka. — Gdzie hrabia?

— Wyjechał dziś rano — oznajmił sługa.

— W którą stronę?

— Na stację kolei. Konie już wróciły.

— *Oh, Herr Jesu!* Okropność! Gdzie Urban?...

— I Urbana nie ma.

— Niech Fryc siodła! Pojedzie do majora. Dam mu list.

Goniec poleciał cwałem. Pod wieczór major się zjawił, cały wzburzony.

— *Alle Wetter*<sup>75</sup>! — kłął na wstępie. — Cóż to znowu przystąpiło do tego junkra!

— Ach, majorze, straszny cios nas dotknął...

— Do rzeczy, do rzeczy! Krótko i węzłowato! Pani pewnie coś zmalowała nie w porę?

— Ale gdzież tam! — panna Dorota załamała ręce. — Przemówiłam do jego rozsądku i serca o naszej Emilci.

— No, a on co na to? Uciekł, *der Schurke*<sup>76</sup>.

— Uciekł dzisiaj, a wczoraj... a wczoraj...

— Cóż wczoraj?

— Wczoraj oświadczył się o mnie!

— *Potztausend*<sup>77</sup>! Zwariował! — huknął major, wytrzeszczając oczy.

— Zwariował — potwierdziła cicho jak tchnienie skonfundowana panna Dorota.

— A to nam się udało! Gdzież pojechał?

— Nie wiem! Straciłam głowę!

<sup>71</sup>*Zum Rhein (...)* *die Wacht am Rhein* — słowa niem. pieśni patriotycznej *Die Wacht am Rhein* (*Straż na Renie*) autorstwa Maximiliana Schneckenburgera (1819–1849), która wykonywana do muzyki Karla Wilhelma zyskała ogromną popularność, szczególnie podczas wojny prusko-francuskiej; odczytywano ją wtedy (i wielokrotnie później w historii) jako przeciwstawienie się francuskim pretensjom do Alzacji i Lotaryngii oraz uznawaniu Renu za naturalną granicę Francji. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>*factotum* (łac.) — totumfacki; osoba zaufana, spełniająca usługi wszelkiego rodzaju. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*factotum wyrosło* — w odniesieniu do zaczerpniętego z łaciny rzeczownika rodzaju nijakiego *factotum* (totumfacki) autorka konsekwentnie stosuje czasowniki również w formie nijakiej. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>*oponaks* — słodka mirra; wonna żywica używana do wyrobu perfum, kadzideł itp. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>*alle Wetter* (niem.) — przekleństwo: do stu piorunów. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>*der Schurke* (niem.) — łotr, łajdak, szuja. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>*potztausend* (niem. przekręcone *Gotts tausend Sakrament*) — przekleństwo: do stu diabłów itp. [przypis redakcyjny]



— W to wierzę, *schwere Not*<sup>78</sup>! A to kawał wisielca! Zostawił list może? Cóż tam stoi?  
— Przeprasza, obiecuje poprawę i zmianę. Prosi o modły.  
— Tfu! Może obiecuje do klasztoru wstąpić? Będzie się biczował w Biarritz przy hrabinie Aurorze! *Halunke*<sup>79</sup>!

— Majorze! Co za mowa nieprzystojna! Kto wie, kiedy dobre natchnienie ogarnie człowieka?

— Co mi pani bredzi! Wentzel urodził się na wisielca i będzie wisiał. Natchnienie... to mi się podoba. No, teraz go straciliśmy na wieki! Taki piękny projekt diabli wzięli. Miła się rozkochała, majątki graniczą, królewska fortuna! Czy ten błazen się kiedy nad czym zastanowi, porachuje, pomyśli sekundę porządnie! Wiatr i koniec. Traci zdrowie, młodość, fundusz! Kpi ze starych! Hej tam, lokaje! Posłać kogo na stację, niech spyta, dokąd hrabia brał bilet!...

Po godzinie masztalerz wrócił. Hrabia wziął bilet do Francji.

— A co! Oto i natchnienie! Poleciał hulać do Paryża — huczał w pasji bas majora.

— Dlaczego zawsze złe posądzenia? — przeczył dyszkancik cioci Dory.

— Bo są fakty.

— Może się zmienić.

W rezultacie rozjechali się w gniewie i zerwali stosunki.

Panna Dorota odczytywała co dzień list grzesznika i pracowała fantazją. Po miesiącu wypisała sobie klerykalną francuską gazetę i szukała pilnie, czy gdzie nie znajdzie wiadomości o kartuzach<sup>80</sup> i nazwiska Wentzla w nowicjacie.

Z tego wynika, że wyobraźnia cioci Dory pracowała i za rozum, i za logikę, i za zdrowy sens. Umiała robić sto mil na godzinę. Ale o pięknym paniczu zaginęły wieści.

#### IV

W jednym z najszykowniejszych klubów berlińskich zebrało się pewnego wieczora na obiad grono wesołej młodzieży.

Była to jesień. Panicze zbierali się zaledwie — jeden z dóbr, drugi z wyścigów w Baden, trzeci z morskich kąpielei, inny z ferii parlamentu. Więc i rozmowa skakała z przedmiotu na przedmiot: wyścigowce, psy, ostatnia komedia, modna śpiewka, anegdota zakulisowa, scenka miłosna z podróży, *trente et quarante*<sup>81</sup>, głośna sprawa kryminalna. Każdy dorzucił słowo, dwuznacznik, żart; kielichy krążyły gęsto, po deserze zapalono cygara i papierosy. Michel von Schöneich, rozparty w rogu stołu, kręcąc wąsiki i uśmiechając się z dyskretną ironią, studiował kolegów przez szkła swych impertynenckich binokli. Przy uczcie grał zawsze rolę tureckiego pieprzu. Nazywano go nawet „Papryką”. Tego dnia był wyjątkowo lakoniczny — co zwróciło uwagę Herberta, który koncepty młodego dyplomaty zbierał starannie i nazajutrz produkował za własne.

Schöneich wiedział o tym i każdy swój żart zaczynał od słowa: „Herbert mówił...”, zwiększając jeszcze owym wstępem wesołość towarzystwa.

Herbert siedział naprzeciw, a obok niego średnich lat mężczyzna w marynarskim mundurze.

Był to szczęśliwy małżonek hrabiny Aurory Carolath, przybyły na krótki urlop z archipelagu Ladrónów.

Małżeńska wizyta udała się niefortunnie. Żona dotąd bawiła w Biarritz: admiralski list i codzienne depesze nie robiły na niej żadnego wrażenia. Nie raczyła nawet odpisać.

Owych dwóch naprzeciw siebie oglądał Schöneich z miną amatora inwentarza. Nosili niezawodnie w jego myśli zoologiczne określenie.

— Czy ci braknie konceptu, Michel? — zagadnął ktoś z boku.

— Słucham, czy nie posłyszę wieści o Wentzlu. Przecie go ktoś z was musiał spotkać.

— Nie było go w Baden. Konie jego wzięły tam trzy nagrody.

— Zapraszałem go na polowanie... Żadnej odpowiedzi.

— Nie spotkałem go w Ostendzie.

<sup>78</sup>*schwere Not* (niem.) — ciężka bieda; wielki kłopot. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>*Halunke* (niem.) — łajdak, łotr. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*kartuzowie* — zakon kontemplacyjny o surowej regule, zał. w XI w. we Francji. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>*trente et quarante* (fr.) — dosł. trzydzieści i czterdzieści; nazwa hazardowej gry w karty (inaczej *Rouge et Noir*, tj. czerwone i czarne) spopularyzowanej w XVII w. we Francji. [przypis edytorski]

Podniósł się chór głosów.

— Szczególne! Poleciał chyba na księżyc, bo i w domu panna Dorota go oplakuje.

— Jesteśmy obydwaj poszkodowani, panie baronie — wtrącił markotnie admirał. — Pan szuka przyjaciela, a ja się nie mogę żony doczekać...

„Uhm... te obie zguby pewnie się znalazły” — pomyślał Schöneich.

— To jednak osobliwość! — zawołał Herbert. — Przez cztery miesiące Wentzel nie zrobił głośnej awantury. Ani jednego pojedynku.

— Nikt go nie zaczął z polskiej strony jak ja! — zaśmiał się Wilhelm Wertheim.

— Może się ożenił i święci miodowy miesiąc.

— To ostatnie nadzwyczaj prawdopodobne! — potwierdził szydlerczo Schöneich.

Wszyscy wybuchnęli homerycznym śmiechem<sup>82</sup>.

— Może umarł?

— Pewnie pojechał do Konstantynopola!

— A może go pan, hrabio, spotkał na Ladronach?

Robiono coraz dziwniejsze przypuszczenia.

— A ja wiem, co się z nim stało! — ozwał się Herbert wydymając się jak paw.

— No, no, że też ty coś wiesz nowego! — szydził Schöneich.

— Przegrał zakład ze mną. Wstydzi się pokazać i żałuje „Scherza”.

— Jaki zakład?

— O piękną damę, kiedyś w teatrze.

— Aha, na wiosnę... Ta w opalach! Wiemy, wiemy. Znalazłeś ją? Słuchamy!

Herbert uśmiechnął się triumfująco. Wypił kieliszek wina, rozparł się jak basza i odchrząknął do narracji. Schöneich odchrząknął także.

— Było to w Ems...

W tej chwili za drzwiami rozległo się szastanie lokajów i głos rozkazujący.

— To dobrze. Otwieraj!

Herbert zamilkł. Na progu stał Wentzel Croy-Dülmen we własnej osobie.

— *Prosit*<sup>83</sup> — *Mahlzeit*<sup>84</sup>! — powitał wesoło.

— Aaaa! — rozległo się na wszystkie tony.

Porwano się gromadnie z powitaniem. Dobry kwadrans krzyżowały się wykrzykniki, pytania, śmiechy, koncepty; potem usadowiono ulubienca na honorowym miejscu i zaczął się formalny szturm ciekawości.

Schöneich rzucił binokle, oparł łokcie na stole, oglądał przyjaciela od stóp do głowy; sam nie badał, ale słuchał, obserwował, kiedy Wentzel kłamał czy prawdę mówił. Podrzucał co chwila nieznacznie jakiś dowcip.

Admirał pierwszy przyszedł do słowa.

— Czy nie spotkał pan przypadkiem mojej żony? — zagadnął naiwnie.

— I owszem. Miałem przyjemność podróżowania jednym pociągiem — odparł spokojnie.

— Czyż tylko jednym pociągiem? — zamruczał Schöneich.

— Jak to! Kiedyż pan wrócił?

— Przed godziną. Ledwie się przebrał i rozmówił ze Sperlingiem, i oto jestem.

— Więc Aurora już jest?

— Jest i czeka na pana niecierpliwie.

— Uhm, niezawodnie! — burczał gdzieś w pobliżu niemłosierny dowcipniś.

Admirał rzucił cygaro na obrus, zapomniał rękawiczek, nie wziął reszty z pieniędzy i wyleciał, ubierając się na schodach.

Za nim pogonił grad dowcipów.

— Pośpiech wart szczęśliwych rezultatów. Fregata zawija do portu w archipelagu Wysp Złodziejskich, po hiszpańsku Ladrony! — objaśniał serio baron.

Wentzel z miną niewiniątka spożywał obiad. Opadnięto go znowu na wyścigi.

— Coś porabiał tyle czasu? Można było podbić Europę!

— Objechać kraj cały! Napisać strategiczne dzieło!

<sup>82</sup>homeryczny śmiech — niepohamowany, głośny, szczerzy, serdeczny śmiech; Homer w *Iliadzie* wspomina o „nieugaszonym śmiechu” bogów. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*prosit* (niem.) — na zdrowie (forma toastu). [przypis edytorski]

<sup>84</sup>*Mahlzeit* (niem.) — pora posiłku. [przypis edytorski]

— Posądżają, żeś się ożenił, żeś się sturczył, żeś umarł nawet!  
 — Lidia lada dzień...  
 — Co lada dzień? — przerwał niespokojnie.  
 — Lada dzień wypowie ci służbę. Urlop jej się sprzykrzył! — krzyczał Herbert.  
 — Czemuś nie przyjechał na polowanie?  
 — Znalazłem dziś zaproszenie na biurku.  
 — Gdzież cię szatan nosił?  
 Wentzel zaspokoił głód i pragnienie — zabrał głos.  
 — Byłem, koledzy, w srogich opalach. O mało mnie nie ożeniono.  
 — A to gdzie?  
 — Nad Renem.  
 — Pewno z Emilią Koop! — zawołał Schöneich.  
 — Naturalnie. Czy cię ciotka wtajemniczyła?  
 — Jakżeś się obronił?  
 — Uciekłem i schowałem się we Francji.  
 — Aha, żeglowałeś po admirałskim morzu!  
 — Broń Boże! Studiowałem naszych sąsiadów.  
 — Kierujesz się na ambasadora, wedle mojej rady. Winszuję.  
 — Nie, mam zamiar wydać dzieło statystyczne!  
 — O pięknych damach! No, no, te sąsiedzkie studia musiały cię słono kosztować.  
 — Ani grosza. Jeździłem od miasta do miasta, od domu do domu prywatnymi ekwi-  
 pażami.  
 — W roli sąsiada?  
 — W roli stroiciela fortepianów. Czegóż się śmiejecie? *Mein Wort*<sup>85</sup>! Miałem ka-  
 merton i klucz.  
 — Cha, cha, cha! A toś im urządził instrumenty! Pyszny koncept! — śmiał się Her-  
 bert.  
 — Zostawiam ci go do dyspozycji w razie potrzeby.  
 — I twój Urban stroił fortepiany?  
 — Urban udawał, że ma niezawodny sposób wypędzania szczurów. Ladaco, jeszcze się  
 obłowił. A ja przywiozłem trzysta franków cioci Dorze jako trofea mych trudów. Żebyście  
 ją widzieli w tej chwili! Radziłem za ten kapitał nabyć chińskie dziecko!  
 — Gdzież się zjechałeś z admirałową?  
 — Po drodze, wypadkiem<sup>86</sup>. *Mein Ehrenwort*<sup>87</sup>!  
 — Chcemy wierzyć, chcemy! — kiwał głową Schöneich. — A wiesz, co się tymczasem  
 stało z twym „Scherzem”?  
 — Pochwalił mi się dżokej, ledwiem wysiadł w domu. Wygrał 25 000 w Baden.  
 — Uhm?... To i koniec. Herbert dowodzi, że koń już jego.  
 — Jego? A to jakim sposobem?  
 — Znalazł piękną nieznajomą.  
 — Cooo?... Herbert! *Potz Blitz*<sup>88</sup>! Gdzie? Jak?  
 — Było to w Ems... — zaczął dumnie triumfator.  
 — W Ems?... Ty tam jeździłeś?...  
 — A tak. Towarzyszyłem pani...  
 — Mniejsza, komu towarzyszyłeś. Więc ta dama była w Ems na kuracji? Kto ona?  
 Włoszka?..  
 — Ale gdzież tam! Poddana pruska z Poznania.  
 — Taak? Nie może być!  
 — Ależ niezawodnie. Czytałem w spisie gości...  
 — No, no, do rzeczy! Nie kłóćcie się. Polka czy Hotentotka, dość że kaducznie piękna!  
 Wygrałeś zakład? Posiadłeś jej serce?  
 — Tak prędko?! Za wiele wymagasz!  
 — Dostałeś pocałunek?

<sup>85</sup>*mein Wort* (niem.) — dosł. moje słowo; słowo daję. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>*wypadkiem* — dziś: przypadkiem. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>*mein Ehrenwort* (niem.) — moje słowo honoru. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>*potz Blitz* (niem.) — przekleństwo: do pioruna, a niech to itp. [przypis edytorski]

— Nie, tak dalece...

— Uścisk dłoni, spojrzenie, obietnicę?

— Nie.

— Cóż pleciesz o wygranej?

— Bo jestem na drodze do wygranej. Znalazłem ją, wiem, jak się nazywa, gdzie mieszka; posłałem jej bukiet z cyklamienów...

— Który przyjęła?

— No, nie... odesłała...

— A to dopiero droga szczególna do wygranej! Jesteście obydwaj fryce<sup>89</sup>. Zabieram sobie „Scherza” i „Fingala”. Wentzel stroił fortepiany, a ty posyłałeś bukiety... nieprzyjęte. Istotnie, rezultat zdumiewający!

— Powoli, powoli, powoli Michel! — zawołał Croy-Dülmen. — Jeszcze termin nie upłynął. Niech Herbert powie, co zdziałał.

— Przecie już słyszałeś. Dostał figę.

— Dostałem fotografię! — pochwalił się właściciel „Fingala”.

— Pokaż, pokaż! — zawołali wszyscy.

Herbert dobył z pugilaresu ozdobną kartkę. Tak, była to ona, ta sama cudownie piękna dziewczyna o dumnych ustach i poważnych, głębokich oczach.

Schöneich z kolei wziął fotografię, obejrzał i ruszył ramionami.

— I takiej ty posyłasz bukiety? Przyznaj się, że i tę podobiznę kupiłeś u fotografa.

— A, no, prawda! Przecie nie mogłem prosić, bo...

— Boś jej głosu nie słyszał.

— Owszem, ale mówiła do swej towarzyszki.

— Więc była i eskorta?

— A jakże. Stara, okropna megiera w przeraźliwej żalobie. I panienka ubierała się czarno. Chodziłem za nimi jak cień i może wreszcie znalazłbym sposobność poznajomienia się, choć z trudem, bo ci Polacy trzymają się klanem, gdyby nie to...

— Że usłyszałeś impertynencje...

— A gdzież tam! Na domiar nieszczęścia pod koniec sezonu przyjechał do nich jakiś facet, jak siarka chłop, i nie odstąpił na krok.

— Pewnie narzeczony.

— Nie, krewny. Nazywali się po imieniu.

— No, więc ty go wyzwaleś i zabiłeś...

— Jakże, bez powodu? Dałem za wygraną i wyjechałem, ale mam plan obmyślony, niezawodny.

— Ciekawym usłyszeć ten twój plan pierworodny! — szydził Schöneich

Croy-Dülmen zrazu słuchał zawstydzony.

Herbert okazał się rozumniejszy od niego.

Była to hańba, skaza na opinii.

Ale w miarę opowiadania uspokoił się zupełnie. Przeciwnik, wedle wyrażenia barona Michała, zjadł mydło. Więc hrabia uśmiechnął się lekceważąco, sięgnął po ananas i począł go krajać na wety<sup>90</sup>. A Herbert roztaczał swój plan.

— Jadę do Poznania, kupuję w sąsiedztwie majątek i zaczynam starać według wszelkich form. W ostateczności gotówem<sup>91</sup> się ożenić.

— Jeżeli cię zechcą! — mruknął Schöneich.

— Mnie?! — oburzył się magnat.

— Żebym był panną, to bym odmówił.

— Kto by tam tobie proponował!

— Możem nieładny, nieszykowny?

— Śliczny! — parsknął śmiechem Wentzel. — Jakże się wabi ta piękna Polka, Herbercie?

— Jadwiga.

— One wszystkie widocznie Jadwigi.

<sup>89</sup>fryc (daw.) — nowicjusz, początkujący, debiutant, gapa; por. frycowe (płacić). [przypis edytorski]

<sup>90</sup>wety (daw.) — deser. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>gotówem — skrócone od: gotów jestem (przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

- Albo znasz więcej tego imienia?
- Moja matka była Jadwiga — mruknął niewyraźnie, spuszcżając oczy nad talerzem.
- Nazwisko dzikie, trzeba się zakrzusić: Chrzęstkowska...
- Jak? Co?

Hrabia upuścił nóż na stół: twarz jego wyrażała okropne zdumienie i komiczny przestach.

— Chrzęstkowska! — powtórzył Herbert, kalecząc niemiłosiernie wyraz i krzywiąc się, jakby jadł cytrynę.

— A ten młody, co jej towarzyszył, także Chrzęstkowski?

— Zdaje mi się.

— Jan?

— Skądże mogę wiedzieć? Co tobie?

— *Verflucht, verdammt*<sup>92</sup> — krzyknął hrabia, zrywając się na równe nogi. — Bywajcie zdrowi!

— Sfiksował! — wołał Schöneich.

Jak admirał, Wentzel nie wziął reszty; z paltotem dogonił go lokaj na schodach; kapelusza zapomniał. Jak szalony wyleciał na ulicę.

Taranty stały przed bramą. Skoczył do karety.

— Do pana Sperligna! Galopem!

Konie pognały jak wicher, krzesząc iskry z kamieni; latarnie migwały jak błędne ogniki, stangret bezustannie krzyczał: „bacność!” — policjanci daremnie wołali — konie niosły aż na drugi koniec miasta, gdzie mieszkał plenipotent hrabiego, młody jurysta<sup>93</sup>, kolega z uniwersytetu.

Wentzel wyskoczył w biegu, zginął w bramie.

— Jest pan Sperling? — spytał szwajcara.

— Nie wychodził, a może nie wrócił.

— Cóżś robił, słomiana lalko? — zawołał panicz groźnie i ruszył na schody, skacząc po cztery stopnie.

Od urodzenia tak się nie zmęczył i od urodzenia nie odwiedzał plenipotentów — dawał audiencje u siebie w pałacu. Toteż, gdy zadzwonił — Sperling, otwierający zamiast lokaja, aż się cofnął z podziwu.

— Pan hrabia? Co się stało?

— Gdzie listy, któreś ode mnie zabrał?

— Są u mnie.

— Pokaż ten z dzikim podpisem, z Poznania, gdzie pytają o metrykę mej matki.

— Zaraz, proszę do gabinetu.

Weszli do izdebki, zawalonej foliałami<sup>94</sup>; przy biurku pisała młoda kobieta.

— Moja żona, hrabia Croy-Dülmen — przedstawił adwokat, a potem, zwracając się do niej, spytał:

— Gdzie są listy hrabiego, Lili?

Kobieta w milczeniu podała pakiet, skłoniła się i wyszła.

Sperling przerzucił zwitek, Wentzel targał wąsy. Nareszcie znaleziono kwestionowany<sup>95</sup> list. Nosił adres pałacu Pod Lipami i pisany był złą niemczyzną. Hrabia go znalazł w stosie innych na biurku, odczytał, a ponieważ był w interesie prawnym, polecił odpowiedzieć Sperlingowi. Teraz porwał go gorączkowo i przeczytał raz, drugi; zawierał, co następuje:

„Szanowny Panie! W imieniu pani Tekli Ostrowskiej udaję się do niego w następującym interesie. Po zgonie śp. Wacława Ostrowskiego, w maju bieżącego roku, potrzebne są dla formalności prawnych spadkowych: metryka i świadectwo ślubu i zgonu śp. Jadwigi Ostrowskiej hrabiny Croy-Dülmen, o które to papiery w kopii ośmielam się upraszać. Na kosztą stemplowe

<sup>92</sup>*verflucht, verdammt* (niem.) — przekleństwo: cholerny, przeklęty itp. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>*jurysta* (daw.) — prawnik. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>*foliał* (z łac.) — księga wielkich rozmiarów. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>*kwestionowany* — tu: ten, o który pytano. [przypis edytorski]



i pocztowe załączam 25 marek ufając, że Szanowny Pan drobnej tej prośbie nie odmówi.

Przy czym pozostaję z należnym szacunkiem

*Jan Chrząstkowski.*

Adres mój następujący: *Provinz Posen*, poczta Braniszczce, majątek Mariampol”.

Wentzel przetarł oczy i powtórzył półgłosem:

— Chrząstkowski, Chrząstkowski! — potem spojrział na Sperlinga i spytał — Aleś jeszcze nie odpisał, sądzę?

— Owszem. Nie odkładam nigdy do jutra.

— Człowieku! I cóżś odpisał?

— Co pan hrabia polecił: że nie ma ani czasu, ani ochoty na szperanie w dokumentach, a papierów po matce nie wie nawet gdzie szukać; dawno je darował szczerom.

— *Donner und Blitz*<sup>96</sup> Czarno na białym... Taka monstrualna obraza! Czyś zwariował?

— Nie ja, panie hrabio — rzekł z ukłonem jurysta.

— I list poszedł?

— Przed godziną.

Wentzel garściami wziął się za włosy.

— Trzeba go wycofać!

— Poczta nie wydaje.

— *Zum Kuckuck*<sup>97</sup> poczta! Ja ją własnymi rękami podpale, byle ten nieszczęśny list zatrzymać. Prędszej, bierz kapelusz, jedźmy.

I stała się rzecz niesłychana: Wentzel, patriota i zapaleniec pruski, kłął tego wieczora zarząd niemiecki, złażał od „lumpów” urzędników pocztowych, groził pobiciem starszemu, proponował łapówki — i nareszcie około północy znalazł się w kancelarii cyrkułu<sup>98</sup>, oskarżony o naruszenie porządku, o gwałt, o nieposzanowanie przepisów, o obraźliwe słowa i ruchy.

Sperling dawno był uciekł. Bojąc się awantury i rozgłosu młody człowiek uznał się winnym, zapłacił sto marek kary i został przez żandarmów odprowadzony do karety.

Postawił jednak na swoim: list Sperlinga miał w kieszeni — okazał się mocniejszym nad rygor pruski.

Nazajutrz ciocia Dora wracała wcześniej z rannej mszy rozpromieniona powrotem wychowańca. Radość przy spotkaniu z nim zagłuszyła dawny żal, zawód i słuszne oburzenie. Przyjęła go zgodnie z parabolą<sup>99</sup> o synu marnotrawnym.

Powóz jej wyminął przy bramie inny. Był to wolant hrabiego — a dalej dorożka, przy której krzątał się Urban, ładując walizy.

Cioci Dorze zastygła krew w żyłach.

— Co ty robisz? — spytała lokaja.

Nim zdołał odpowiedzieć, hrabia się zjawił w paltocie i kapeluszu, nakładając rękawiczki.

— A, ciocia wraca od św. Jadwigi! — zagadnął wesoło. — Dzień dobry!

— Co to jest? Gdzie ty jedziesz?

— Ja jadę do św. Jadwigi!

— Do kościoła? Z rzeczami?!

— Uhm, myślę odprawiać tam rekolekcje!

— Co ty gadasz! Takie nieładne żarty! Mów prawdę. Kiedy wrócisz?

— Po rekolekcjach. Do widzenia! Czy kupiła już ciocia chińskie dziecko?

— Pfe! Dorosły człowiek, a błaznuje jak łobuz! Jesteś źle wychowany!

— No, to mi ciocia pierwsza mówi w życiu! Ach! Ja nieszczęśliwy! Czyż nigdy nie znajdę łaski w cioci oczach? To mnie do grobu wpędzi!

<sup>96</sup>*Donner und Blitz* (niem.) — przekleństwo: do stu piorunów (dosł. grzmot i błyskawica). [przypis edytorski]

<sup>97</sup>*zum Kuckuck* (niem.) — przekleństwo: do diabła (dosł. do kukułki). [przypis redakcyjny]

<sup>98</sup>*cyrkuł* — okręgowy posterunek policji; komisariat (w zaborze ros.). [przypis edytorski]

<sup>99</sup>*parabola* — przypowieść. [przypis edytorski]

Załamał ręce ruchem teatralnego kochanka. Panna Dorota zakryła twarz aksamitnym modlitewnikiem i podreptała szybko na górę.

— *Marsch*<sup>100</sup>! — zakomenderował hrabia stangretowi.

Wolant wytoczył się na ulicę i popędził na dworzec kolei.

Wentzel był tak zajęty, że nawet nie spojrzał w okna hrabiny Aurory. Co prawda, nie ciekawy był zobaczyć admirała.

## V

Z pomocą karty geograficznej odnalazł Croy-Dülmen miejscowość Braniszcze.

Była to duża wieś o dziesięć wiorst od kolei żelaznej, przetrnięta szosą i posiadająca pocztę, telegraf, doktora, aptekę, szkółkę i oberżę „Pod Smokiem”.

Do owej tedy oberży w ulewny deszcz, odkrytą kariolką bez resorów, zajechał pewnego wieczora panicz berliński z nieodłącznym Urbanem, obydwaj zziębnięci, potłuczeni i w szkaradnych humorach. Lokaj przez uszanowanie milczał, hrabia kłął. Istotnie, ciężka to była wyprawa.

Blichtr niemiecki ginął o parę kroków za plantem<sup>101</sup> kolei — dalej leżał kraj obcy, nieprzyjaźni ludzie, nieznane stosunki, niezrozumiały język.

Zaborcy skaleczyli mowę miejscową, a nie nauczyli swojej — z tego stworzył się żargon, którego ani rodowity Niemiec, ani Polak z innych stron nie potrafiłby zrozumieć. Był to bigos słowiańsko-germański, przeraźliwy.

W oberży gospodarz powitał dostojnego gościa tysiącem ukłonów; należał do jakiejś nieokreślonej rasy, wyrażał się jak krowa po hiszpańsku.

„To dopiero Metys polsko-pruski!” — pomyślał Wentzel wzgardliwie.

Dnia tego nie można było myśleć o dalszej podróży. Rozgościł się w najlepszej izbie, zjadł kolację i legł spać, zdając bezpieczeństwo swej osoby i mienia w ręce wiernego Urbana.

Gdy się obudził, na świecie było południe.

Bołały go członki od twardej pościeli, a głowa od mocnej woni siana; przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje.

— Urban! — zawołał.

Drzwi się otworzyły, w promieniach światła ukazała się wypomadowana, uczesana modnie głowa lokaja.

— *Was gibt's*<sup>102</sup> — ziewnął Croy-Dülmen.

Sługa tempem żołnierskim przymaszerował aż do łóżka, wyprężył się jak struna i wyraportował jednym tchem:

— *Gut Mariampol; Besitzerin Wohlgeborene Frau Thekla von Ostrowska; liegt ungefähr zwei Meilen nach Osten*<sup>103</sup>!

— Głupiś ze swoim *Osten*! Nająłeś konie?

— Pocztę, jasny panie.

— To dobrze. Będę wstawał.

Urban przyjął tę wiadomość głębokim ukłonem i zamilkł, zajęty toaletą pańską.

Nie odzywał się nigdy niezapytany.

A Wentzel stroił się jak na królewskie salony, z całą starannością kobiecego ulubieńca i wytwornego eleganta.

— Gdzieś dostał wiadomość? — zagadnął. — Któż tu rozumie po ludzku?

— Poczthalter<sup>104</sup>, jasny panie, jedyny cywilizowany człowiek. *Ein echter Preusse*<sup>105</sup>!

— Pani Ostrowska sama mieszka?

— Po śmierci męża mieszka przy niej panienska, sąsiadka, *Fräulein von Żonźoska*, której brat, *Herr von Żonźoski*, zarządza majątkiem i interesami.

— Cóż o nich wszystkich mówi poczthalter?

<sup>100</sup>*marsch* (niem.) — marsz (forma rozkazująca czasownika). [przypis edytorski]

<sup>101</sup>*plant* — teren wydzielony pod torowisko kolei. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>*was gibt's* (niem.) — co nowego, co słyhać. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>*Gut Mariampol (...) nach Osten* (niem.) — majątek ziemski Mariampol; posiadaczka wielmożna pani Tekla Ostrowska; leży około dwóch mil na wschód. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>*poczthalter* (z niem.) — urzędnik pocztowy. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>*ein echter Preusse* (niem.) — prawdziwy Prusak. [przypis edytorski]

Urban pozwolił sobie na gest oburzenia.

— *Schauderhafte Geschichten*<sup>106</sup>! Niemców tam nie puszczają na dziedziniec, nie przyjmują na służbę. Stara pani nie przyjmuje nikogo, kto ich językiem nie mówi, a pan Żonkoski przetrzebił sobie umyślnie prawą rękę, żeby nie służyć w armii naszej.

— Ho, ho! Scewola<sup>107</sup>! — mruknął Wentzel. — Daj perfum. A o panience nic nie mówił?

— Panienka jest okropnie dumna! *Sie ist verlobt mit Herrn von Glembocki aus Struka*<sup>108</sup>.

— Masz zdumiewającą pamięć. Tymi nazwiskami można język połamać. No, daj mi tu kawy i kaź konie zakładać.

Urban zwrócił się na pięcie i zniknął.

W godzinę potem Wentzel siedział na bryczce pocztowej i rozglądał się ciekawie dookoła. Okolica była płaska, piaszczysta, starannie uprawna, przetrzęta siecią dróg i strumyków. Wsie tylko brudne, nieporządne, stanowiły smutny kontrast z osadami Niemców rozrzuconymi tu i ówdzie. Wzdłuż gościńca dwory stały z rzadka jak baszty samotne, ciche, zamyślane zda się, w wieńcu włoskich topoli. Istotnie, były to bastiony zdobytej fortecy. Ona sama kruszyła się i rozpadała w ruinę pod naciskiem zdobywcy: wieżycy stały, patrząc z góry na zniszczenie i zgubę — zachowały jeszcze na swym czole starą wiarę, starą krzepkość i starą tradycję. Zdobywca obchodził je, czekając cierpliwie na czas i na wewnętrzną niezgodę. Na moralną siłę i opór nie było materialnego sposobu.

Hrabia spytał o nazwę pierwszego dworu, ale pocztylion odwrócił się, popatrzał nań i zaśmiał się, trzęsąc przecząco swą płową sarmacką czupryną.

— Nikiej nie rozumiem, wielmożny panie! — rzekł.

— Ciekawym, jak się poczthalter z nim porozumiewa — mruknął Niemiec, a Urban na koźle zawyrokował:

— *Polnisches Vieh*<sup>109</sup>!

Chłopak musiał to słyszeć nieraz z ust swego chlebodawcy, bo błysnął w stronę lokaja wilczym spojrzaniem i odparł zajadle:

— Bodaj cię kolki rozparły, szwabska pokrako!

Do jednego wreszcie dworu zawrócił Mazur po parogodzinnej jeździe. Skręcił z gościńca w topolową wysadę, śmignął biczyskiem po szkapach, przytknął trąbkę do ust i oznajmił gości wesolą pobudką. Po murowanym moście wpadli na dziedziniec, objechali galopem trawnik usiany gęsto krzewami i po brukowanym podjeździe dotarli do drzwi wchodowych<sup>110</sup>.

Tu chłopak całą siłą zatrzymał swój niesforny zaprzęg, a biczyskiem wskazał kogoś stojącego obok oficyn.

— A ot i panicz z Olszanki stoją — rzekł.

Wentzel rzucił okiem w tamtą stronę. Był to ów blondynek z teatru, tylko że nie w stroju balowym, ale w długich butach, szamerowanej węgiec i prostym słomianym kapeluszu.

Popatrzył na pocztowe konie i, zamiast iść przyjmować gości, zawrócił na folwarczny dziedziniec.

Hrabia wysiadł z bryczki, a ponieważ nikt na spotkanie nie wychodził, więc otworzył ciężkie drzwi i wszedł do obszernej mrocznej sieni.

Dopiero teraz ukazał się ktoś żywy — w osobie starego zgarbionego lokaja w ciemnej liberii.

— Czy pani przyjmuje? Oto mój bilet — rzekł po niemiecku hrabia, wyjmując bilet. Ale sługa rękami tylko strzepnął.

<sup>106</sup>*Schauderhafte Geschichten* (niem.) — okropne historie; opowieści takie, że ciarki przechodzą. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>*Scewola* — właśc. Gaius Mucius Cordus; legendarny bohater rzymski, który został wysłany, by zamordować króla etruskiego Porsennę oblegającego ze swą armią Rzym w 508 p.n.e.; gdy został jednak schwytany w obozie wroga, włożył rękę w ogień, by dowieść, że nie straszne mu tortury ani śmierć; takie męstwo przekonało Porsennę, by puścić wolno zamachowca; nosił on odtąd z chlubą przydomek Scaevola, tzn. Mańkut. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>*Sie ist verlobt (...)* *Struka* (niem.) — jest zaręczona z panem Głębockim ze Strugi. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>*polnisches Vieh* (niem.) — polskie bydło. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>*wchodowy* — dziś: wejściowy. [przypis edytorski]

— Pan nie mówi po polsku? — spytał.  
Wentzel ramionami ruszył — nie rozumiał.  
— To proszę do oficyny... bo pani... tego... nie zechce gadać... tego... nie rozumie...  
— jękał stary złą niemczyzną.

— Może przyjmie, spojrzawszy na bilet — protestował młody człowiek.  
— Eh, nie, żeby i z nieba bilet... tego... pani nikogo takiego... nie widuje. To pan Jan... umie po szwabsku. Proszę pana... ja... tego... zaprowadzę.

Poszli tedy przez dziedziniec na folwark, do dużej murowanej oficyny. Stary poprowadził Niemca do środka, gdzie u okna siedział młody człowiek, blondyn, i gwizdząc robił naboje do strzelby. Dwa gończe powitały obcego groźnym warczeniem, a ich pan podniósł obojętnie głowę.

— Cicho, Śpiewak. A czego tam, Walenty?  
— Niemca przyprowadziłem do panicza, żeby go wyrozumieć.

Blondyn zerwał się żywo, zdjął kapelusz, odsunął z biurka patrony, kopnął nogą burczące psy i powitał przybyłego dość znośną niemiecczyną.

— Czym mogę panu służyć?  
— Właściwie przyjechałem z wizytą do pani Ostrowskiej i sądzę, że przyjęłaby mnie, gdyby jej dano mój bilet. Ale ten zwyczaj, jak widzę, nie jest tu jeszcze w użyciu.

— Owszem, ale pani Ostrowska nie rozumie ani słowa po niemiecku i wątpię, czyby pana przyjęła. Z kim mam przyjemność?

— Jestem wnuk pani Ostrowskiej, Croy-Dülmen.

— Jan Chrząstkowski, jej sąsiad i wychowaniec.

Sklonili się sobie wzajemnie, przy czym gospodarz podał krzesło i sam usiadł.

Gdy tak siedzieli naprzeciw siebie, stanowili dziwny kontrast i ciekawe studium. Jeden — szczupły, delikatny, salonowiec od stóp do czoła, o głowie patrycjusza, zimnej a dumnej — piękny chłopiec, ale pięknnością wielkomięską, rozdenerwowaną i bladą. Oczy jego patrzyły na świat z wyrazem zmęczenia, przesytu i pogardliwej pewności siebie, usta miały przykry grymas cynizmu i szyderstwa.

Naprzeciw niego ten ogorzały wieśniak, rozrosły, muskularny, niedbały o szablony światowy, a swobodny, żywy, prosty jak leśna drzewina.

Wichrowata, swawolna, szeroka natura wyglądała mu ze szczerych, siwych oczu. Było to dziecko rozległych pól, wsi — otwarte, ogniste, a dobre jak biały chleb wielkopolski.

Czuć było jednak, że wraza<sup>111</sup> mowa ścisła mu duszę wspomnieniem krzywdy, że narodowość gościa tłumila w nim wszelkie dobre instynkty, wyrzucała na wierzch z serca całą niechęć, zaciętość i cichą wściekłość zwyciężonego.

Croy-Dülmen pierwszy się odezwał:

— Bardzo mi przykro, że rodzina mej matki nie zawiadomiła mnie o śmierci dziadka. Chociaż prawie obcy, nie omieszkałbym odwiedzić babki zaraz po tej ciężkiej stracie. Dowiedziałem się o zgonie dziadka zaledwie z listu pana i pośpieszyłem zaraz z wypełnieniem smutnego obowiązku. Sądzę, że babka uwzględni moje pobudki i, choć Niemca, raczy wysłuchać. Możemy zresztą porozumiewać się po francusku.

— Pan pozwoli, że jej te słowa powtórzę — rzekł Chrząstkowski wstając.

— Bardzo proszę o to.

Polak wyszedł i wrócił po chwili.

— Pani Ostrowska pozwala panu przyjść. Wymaga wyłącznie francuskiej rozmowy.

Była to audyencja jak u cesarza.

Croy-Dülmen pokręcił głową, ale nadzieja ujrzenia pięknej siostry Chrząstkowskiego stłumiła budzącą się niecierpliwość. W milczeniu wziął kapelusz i poszedł za przewodnikiem.

Pod gankiem stała poczta i Urban siedział na stopniu bryczki, melancholijnie wodząc oczami po niebie. I pan, i sługa, nie byli przyjęci z otwartymi ramionami. Zdarzyło się to im po raz pierwszy w życiu i tym ciężiej dotykało. Stary sługa spotkał ich z lampą w ręku i poprowadził w głąb domu po ciemnych pustych salonach; nareszcie otworzył jedne drzwi i wpuścił ich do niewielkiego, słabo oświetlonego gabinetu. Dwie świece, osłonięte

<sup>111</sup>wraży — obcy, wrogi. [przypis edytorski]

zielonymi umbrellkami, rzucały krąg jasności na stół przykryty ciężkim, wzorzystym adamaszkiem, przy którym siedziały dwie kobiety: jedna z robotą włóczkową w ręku, druga pochylona nad rozwartą książką. Czytała głośno — słyszał Croy-Dülmen w sąsiednim pokoju; na skrzyp drzwi urwała nagle, podniosła powoli oczy i spuściła je znowu.

Mała, żywa i jeszcze czerstwa staruszka opuściła na stół kościane druty, przechyliła się za obręb światła, zasłoniła dłonią oczy i zagadnęła niecierpliwie:

— Czy wy się dziś nie uspokoiacie? Kto tam znowu?

— Ja, babuniu — zabrał głos Chrząstkowski. — Przyprawiam was wedle pozwolenia, hrabiego Croy-Dülmen.

— Ano, to wchodzi i zamyka drzwi. Ten pan może raczy się zbliżyć i przywitać sam.

Nie wstała, ale tylko protekcyjnie kiwnęła głową na głęboki ukłon młodego człowieka. Oddał również głęboki ukłon młodej czytelniczce.

— Hrabia Croy-Dülmen, moja siostra — przedstawił Jan po francusku.

Paniuszka w milczeniu skłoniła lekko swe piękne blade czoło — nic więcej.

— Ja nie mówię po niemiecku — zaczęła staruszka — ale pan rozumie po francusku?

— Naturalnie — potwierdził w ponownym ukłonie.

Stał wciąż jeszcze z kapeluszem w ręku, a bystre oczy pani Ostrowskiej oglądały krytycznie tego nieznanego, obcego zupełnie syna jedynej córki. Jan przysunął gościowi krzesło. Zaległa chwila milczenia. Pierwszy raz czuł się piękny panicz zakłopotany, zmieszany, niezdolny rozpocząć rozmowy. To przyjęcie odurzyło go jak cios obuchem po głowie. Sądził, że zrobi swą wizytą honor i rozradowanie: czuł się traktowany jak natręt, z widoczną chęcią pozbycia się go co rychlej. Młody obywatel usiadł obok siostry i milcząco kręcił swe jasne wąsiki; paniuszka przerzucała machinalnie kartki książki; babka, obejrzawszy gościa uważnie, wzięła znowu druty. Trzeba było samemu iść do ataku.

— Mówiłem właśnie przed chwilą panu — spojrzał na Jana — jak mi przykro, że nie zostałem zawiadomiony o zgonie ojca mej matki. Byłbym tu od dawna, szczęśliwy, gdybym mógł w czym służyć. List pana Żonźoskiego...

— Co? Jak? Jak pan powiedział? — zaperzyła się staruszka. — Co to? Drwiny? Umyślnie kaleczysz nazwisko?

Croy-Dülmen poczerwieniał jak żak, obejrzał się, nie wiedząc, co dalej mówić i czy nie lepiej ukłonić się i jechać.

Wtem piękna dziewczyna podniosła głowę; na twarzy przez wyraz powagi przedzieriał się mimowolny uśmiech.

— Babunia zapomina, że hrabia po raz pierwszy w życiu wymawia polskie nazwisko, do tego tak trudne jak nasze — ujęła się spokojnie.

— Oho, oho! Znam ja tych arogantów! Ojciec tego młodzika, gdy tu wszedł, niosąc zgubę biednej naszej Jadwini, był tak słodki, taki miły, tyle obiecywał! Miał Jadwinę co rok nam na święta przywozić, syna, jeśli będzie, oddać na wychowanie. Złote góry! Tymczasem porwał ją do swego zamku rozbójnickiego nad Ren i tyleśmy ją widzieli. Słowo Niemca to fałsz... Moja jedyna córka umarła wśród obcych, wrogów, sama. Nie dano nam znać o chorobie i śmierci.

— W tym przynajmniej nie ma mojej winy. Miałem wówczas trzy dni wieku — wtrącił Croy-Dülmen.

— Zrobiłbyś to samo! — przerwała, zapalając się coraz mocniej. — Każdy z was taki. Znam ja was. Cierpiałam całe życie za to, że córce mojej pozwoliła zrobić mezalians.

Hrabiemu wypadł z ręki kapelusz. Otworzył usta, wlepił wzrok w staruszkę.

Co? Mezalians zrobiła ta polska szlachcianeczka? Jego ojciec, hrabia od krzyżowych wojen, był jej niegodnym!

Czy to dom wariatów, czy on śni?

Potem nagle ogarnęła go wściekłość — zbieleł, zębami gryzł do krwi wargi, w piersi huczał mu orkan śmiertelnej obelgi.

— Nie przyszedłem tu po krytykę i sąd mego ojca i moją narodowość<sup>112</sup> — zaczął głucho. — Rodziców obojga nie pamiętam, o mezaliansach mam wręcz przeciwne przekonanie; co zaś do Polaków, mamy względem nich najlepsze intencje.

<sup>112</sup>Nie przyszedłem tu po krytykę i sąd mego ojca i moją narodowość — powinno być raczej: (...) sąd nad moim ojcem i moją narodowością. [przypis edytorski]

— Znamy, znamy te wasze intencje! Wygnać nas precz, a przedtem wyzyskać wiarę, łatwo wierność, zapal, zdolności, siły wszystkie. Czegóż milczysz, Jasiu? Opowiedz, jak twemu starszemu bratu pod Fröschweiler zagrali i jak padł tam w pierwszym szeregu, w pierwszym pułku! Tak, tak! Nie ma Wacia, nie ma mojej Jadwini!

Urwała. Gniew jej stopniał pod tym mogiłnym wspomnieniem, spuściła głowę, a na robotę w drżących rękach spadły dwie wielkie łzy sieroczej starości. Milczenie zaległo pokój.

— Babuniu! — upomniał, korzystając z chwili, Jan. — Hrabia jest pod naszym dachem...

— Mam prawo mówić prawdę: niech słucha.

— Słuchałem długo i cierpliwie — zaczął Wentzel dziwnym tonem — pani jesteście moją babką i starą, zbolalą kobietą; więc nie wdaję się w swary. Przyznaję jednak, że nie spodziewałem się takiego przyjęcia tam, gdzie osobiście nic nie zawinił. Jestem Niemiec wychowaniem, krwią, pojęciami i życiem, ale nie przestępowałem tego progu jako wróg. Moje intencje były czyste i prawe. Przepraszam najmocniej za żywe słowo, jeśli nim obraził. Chciałem, choć późno, poznać kraj mojej matki, myślałem, że zastanę tu rodzinę. Pozwoli pani się pożegnać.

— Proszę zaczekać, zobaczą, czy konie gotowe — rzekł Jan, zrywając się z miejsca.

Croy-Dülmen podziękował ukłonem i usiadł znowu. Czuł, że do domu tego nie wróci więcej i ogarnęło go gwałtowne pragnienie usłyszenia jednego choćby słowa z ust panienci. Pamiętał słowo w słowo rozmowę owej burzliwej nocy przed pół rokiem, jej wzgardę i gniew. Boże, co on jej wtedy mówił! Czuł się skazany bez odwołania.

Rozmowy zawiązać nie widział sposobu, gdy wtem ona spojrzała nań po swojemu, posępnie, i spytała:

— Pan bawi stale w Berlinie?

— Całe lato byłem nieobecny, pani. Część czasu spędziłem w dobrach, resztę we Francji.

— W Biarritz — dodała spokojnie.

Rzucił jej zdziwione spojrzenie — czy była jasnowidząca?

Zrozumiała widocznie myśl wzroku, bo dorzuciła w formie objaśnienia:

— Hrabina Mielżyńska bawiła tam i spotykała pana.

Spuścił głowę i zarumienił się. Czy tylko tyle opowiedziała hrabina? W Biarritz on z hrabiną Aurorą uchodzili za małżeństwo. Istotnie, wiodło mu się szczęśliwie w tym domu.

Staruszka zajęła się robotą, spod oka niekiedy patrząc na wnuka, Prusaka. Nie mieszała się do rozmowy, myślała o czymś innym.

W tej chwili Jan ukazał się z powrotem.

— Konie gotowe — rzekł, wahając się — ale deszcz leje strumieniami.

Croy-Dülmen złożył dwa milczące ukłony i wyszedł z Chrzęstkowskim. Deszcz padał jak z cebra. Młody człowiek wyszedł z gościem na ganek i wzdrygnął się.

— Nie sposób jechać — zauważył. — Może pan się zgodzi przenocować u mnie w oficynie. Mam dwa pokoje na usługi.

Croy-Dülmen spojrział w szczerą twarz chłopaka.

— Pan się nie boi przyjmować Niemca na dziedzińcu pani Ostrowskiej?

— Jutro bym dostał burę, gdybym pana wypuścił w taki czas. Proszę za mną. A ty, przyjacielu, ruszaj do stajni ze zwierzętami, a potem spać do czeladzi. Wara mi tylko z papierosami. Walenty, parasol!

Po godzinie siedzieli obydwaj przed kominem, na stole szumiał samowar i dymiła obfita kolacja. Urban w sąsiednim pokoju słał łóżka.

Podobnego zakończenia całej awantury nie spodziewał się hrabia Croy-Dülmen.

Jana oderwano na chwilę do spraw gospodarskich.

Wentzel zamyślił się nad wypadkami ubiegłego dnia. Dziwny kraj, gdzie młodzież była tak cicha, skupiona w sobie, milcząca, a starzy przy siwych włosach zachowali gorące uczucia, zapal i siłę. Dziwny kraj, dziwni ludzie!

Pani Tekla to nie była ciocia Dora, którą można było ułagodzić konceptem i uśmiechem lub nastraszyć lada czym.

Młody człowiek to nie był pusty frant<sup>113</sup> stołeczny lub nadęty oficer z gwardii; a ta dziewczyna — o, nie była to istota, której serce zdobywało się powierzchowną pięknnością, fizycznym urokiem lub słodkimi słowami.

Hrabia poruszył się niecierpliwie.

— Weźmie Michel „Scherza” — zamruczał upokorzony — i „Fingala” — dodał jako pociechę, ciskając w płomień niedopalone cygaro.

— Cóż pan taki markotny, hrabio? — ozwał się Jan.

— Na złą pogodę — odparł.

— Barometr idzie w górę — pocieszył wieśniak.

Usiadł znowu naprzeciw gościa i podrzucił drew na ogień.

— U nas ziemniaki marnieją niewykopane — mówił dalej — a zasiewy niesporo<sup>114</sup> schodzą w te sloty.

— Pan dzierżawi Mariampol?

— Nie, tylko administruję. Mam majątek o miedzę. Ojciec nas odumarł młodo; pan Wacław Ostrowski był naszym opiekunem. Teraz, po śmierci, odpłacam się pozostałej wdowie. Siostrę ona wychowała, niech staruszkę pielęguje. Mieszkam u siebie w Olszance, ale dojeżdżam tu co dzień.

— Pan nieżonaty?

Chłopak się zaśmiał. Ten śmiech zerwał lody.

— Czy wyglądam tak staro?

— Państwo tu wszyscy macie wygląd nad wiek poważny.

Chmura przeszła po czole Polaka.

— Ot, tak nam sądzono — mruknął wymijająco. — Na wsi pleśnieje się, obrasta mchem, grzybieje.

— Pan nie bywa nigdy w Berlinie?

— Byłem parę razy, ostatni raz przed śmiercią pana Ostrowskiego. Był jeszcze rzeźwy i nie spodziewaliśmy się wrócić tu z trumną.

— Więc to było tak nagle?

— Apopleksja po powrocie z teatru. Ale zdaje mi się, że wtedy pana widział w łożu, a potem w krzesłach. Byliśmy we troje, z Jadzią. Pan sobie nie przypomina.

— Owszem. Siostra pana zwróciła szczególną uwagę. Żebym wiedział, że to mój dziad... Nazajutrz wyjechałem z Berlina.

— Nazajutrz pan Wacław już nie żył. Jak piorun przyszło. Biedna pani Tekla została samiutka jedna na świecie. Ni męża, ni bliskiej rodziny, ni dzieci. Pan nie powinien czuć do niej żalu za ostre słowa. Żywej jest natury, a taka nieszczęśliwa!

— Darowałem jej wszystko; żałuję, że dla niej czymkolwiek być nie mogę.

— Do rana jeszcze daleko, a pan bardzo do swej matki podobny, sądząc z portretu.

Doktor Voss za podobne zestawienie omal nie został obitym; teraz Wentzel nie zaprzeczył nawet ruchem.

Widocznie, że nabierał ochoty na ponowną wizytę u gniewliwej staruszki, nawet z perspektywą powtórnego łajania.

Ha, żeby jeszcze raz zobaczyć cudną siostrę Jana, posłyszeć głos, zajrzeć w mroczne głębie oczu! Dotąd nie zauważył, jakiego były koloru, tylko to czuł, że miały w sobie coś niepojętego, co ciągnęło i odpychało zarazem.

Ach, jakie one piękne byłyby w uczuciu, w uśmiechu, w kochaniu! Ach!

— Czy istotnie straciliście państwo brata we Francji? — ozwał się po przerwie.

— Istotnie, zginął zaraz na początku wojny. Był kapitanem w pułku poznańskim. Szukaliśmy z Jadzią daremnie grobu. Leży gdzieś we wspólnym dole. Wojna nie matka, lecz macocha. Wola boża! Zginął jak bohater! I pan służył?

— Tak, w gwardii. Pamiętek na skórze mam niemało, ale żyw wrócił z żelaznym krzyżem. Pod Fröschweiler byłem przy bateriach, widziałem atak poznański. Szli jak potępińcy... Nie rozumiałem wtedy, dlaczego... Ha, to im nie hańba!

— I ta szrama na czole to z wojny order? — zagadnął Jan, nie podnosząc ostatniej uwagi.

<sup>113</sup>frant — osoba rozmiłowana w eleganckich strojach i hulaczym życiu; birbant, hulaka; także: człowiek niepoważny, komediant. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>niesporo — nieszybko, nielatwo. [przypis edytorski]

— Nie, to z pojedynku. Fraszka! Czy mogę panu służyć cygarem? Prosto z Hawany...  
— Dziękuję. Ja zaś nawzajem proponuję panu hrabiemu kieliszek tego maślacza.  
Wyborny!

— Na nową znajomość, z całą przyjemnością. Nie rozumiem ja was, a wy mnie macie za wroga, za szpiega może. Ten pierwszy kieliszek waszego miodu piję za zgodę i porozumienie, a jeśli zechcecie, na dobrą znajomość.

Wyciągnął dłoń do Polaka. Chrząstkowskiemu po raz pierwszy znikł przymus z twarzy. Podał bez wahania rękę.

— Lewą?! — uśmiechnął się Croy-Dülmen.

— Prawą mam uschniętą, bezwładną, ale lewa jest szczerą i wierną — odparł — może jej pan zaufać.

Wypili toast duszkiem.

Nie wiedział Wentzel, że tą krótką odezwą i podaniem ręki trafił lepiej do duszy Polaka niż tysiącem rozumnych dowodów i całym szeregiem faktów. Drobną tą sceną zyskał sobie sprzymierzeńca we wrogim obozie.

— A teraz spać — zawołał gospodarz, już zupełnie swobodnie — północ, a pan wygląda zmęczony<sup>115</sup>. I ja dziś dzień cały polowałem na zające.

Położyli się spać w jednym pokoju. Przedtem Polak, klęcząc, odmówił pacierz i z czołem schylonym bił się w piersi pokornie.

Niemiec patrzył na to zdumiony. Nie modlił się nigdy — zostawiał tę fatygę cioci Dorze.

## VI

Barometr Chrząstkowskiego mówił prawdę. Dzień wszedł jasny i pogodny. O świcie dzwonił, wzywający do roboty czeladź, zbudził młodych i ludzi. Jan wstał zaraz, ubrał się i wyszedł do gospodarstwa. Wentzel założył ręce pod głowę i medytował nad swoim położeniem.

Minęła godzina czy dwie, gdy nagle rozwarły się z łoskotem drzwi i wpadł Chrząstkowski.

— Czy pan wie, co się stało? — zapytał.

— Skądże?

— Babka mnie wyłajała.

— Tak rano? Za co?

— Za to, że pana puścił w noc i w deszcz.

— Przecież jestem!

— Ba, alboż mi dała przyjść do słowa?! Napadła z góry: jesteś źle wychowany! Niemcy cię nauczyli grubiaństwa i niegrzeczności! Taki deszcz, noc ciemna, choć oko wykol, i ty wypędzasz gościa na złamanie karku! Jaki ty Polak! Jaki ty gospodarz! Jaki ty chrześcijanin! Śpiewaka pewnie zatrzymałeś w izbie, a człowieka wyprawiasz z domu.

— No, aleś się pan wreszcie usprawiedliwił?

— Jakoś, z wielkim trudem. Co dała, to wzięłem.

— I cóż powiedziała potem?

— Nic, pokazała mi plecy i zaczęła gderać na kogoś innego. Czy pan ma ochotę na drugą wizytę?

— Jeżeli to możliwe, bardzo.

— Ano, to ja pójdę po radę do Jadzi. Niech panu wstęp ułatwi.

— Czy pańska siostra wszechmogąca u staruszki?

— O, Jadzia! Ona, choć zawsze milczy i nawet oczu nie podnosi, z ludźmi co chce robi.

— I z panem.

— I ze mną, wyznaję. Taki u nas zwyczaj. Kobieta zawsze przewodzi: nie matka, to siostra; nie siostra, to żona. Dlatego to one takie harde i nieprzystępne: czują swą siłę. I ja sam nie przeczę, że siostra rozumniejsza ode mnie. Czemuż mam jej nie słuchać?

<sup>115</sup>pan wygląda zmęczony — dziś raczej: pan wygląda na zmęczonego. [przypis edytorski]



— Dziwni z was ludzie! Żeby mi przyszło do głowy słuchać rad której z mych znajomych, tobym po tygodniu dostał się do bonifratrów<sup>116</sup>. Co prawda, nasze damy wolą być prowadzone i kochane. To wygodniejsze.

— Nie mów pan tego pani Tekli.

— Ani pańskiej siostrze?

— O, Jadzia nie należy do zapalonych, wyznaje swobodę zdań<sup>117</sup>; ale babunia zmyłaby panu głowę.

— Dziękuję. Obejdę się bez tego zaszczytu. Losy zgodnego porozumienia składam w pana łaskawe ręce. Pragnę odjechać stąd w spokoju.

Jan wyszedł, a hrabia spiesźnie się ubrał i czekał rezultatu układów pokojowych.

Szły widocznie z wielką trudnością.

Nareszcie zjawił się Jan.

— Gotowe. Babka czeka na pana.

Gdy wychodzili na dziedziniec, wysypała się naprzeciw nich gromadka dzieci z książkami w ręku.

Za nimi z bocznego ganku oficyny wyszła siostra Jana, z łagodnym uśmiechem na ustach tłumacząc coś dwom małym dziewczętom, puciołowatym, jasnowłosym, w schludnych wełnianych sukienkach. Dzieciaki, zadartszy główki jak pisklęta, słuchały uważnie młodej opiekunki, potem, ucałowawszy jej rękę, pobiegły za innymi. Młodzi ludzie zbliżyli się do panienki z powitaniem.

— Pani utrzymuje ochronkę<sup>118</sup>? — zagadnął Niemiec.

— Są to dzieci oficjalistów i służby domowej. Uczę ich religii, historii i robót.

— Ach, co nas ta nauka kosztuje! — wtrącił Jan. — Co miesiąc pismo z bezirku<sup>119</sup> płąć!

Panna Jadwiga rzuciła mu spojrzenie łagodnej wymówki. Pocałował ją w rękę.

— Już milczę, Jadziuniu! — zaśmiał się serdecznie. — Wszak to nie skarga była. Wiesz, że płacę bez szemrania.

— Pani lubi dzieci? — zagadnął Wentzel.

— Lubię — odparła lakonicznie. Widocznie nie było w jej zwyczaju opowiadać o sobie.

— Babka w ogrodzie; zaprowadź, Jasiu, pana hrabiego.

— A ty, co masz lepszego do roboty?

— Muszę się przebrać do obiadu.

— Aha! Zapomniałem, że czekasz na swego lubego Adama — zaśmiał się, mrugając swawolnie.

Ruszyła brwiami. Żaden nerw nie drgnął na tej lodowatej twarzy.

— Zapomniałeś, że się co dzień przebieram — odparła chłodno, odchodząc ku domowi.

Rozmawiali ciągle po francusku przez grzeczność dla gościa; teraz Jan zaczął po niemiecku, żartobliwie:

— Co prawda, wolę być jej bratem niż narzeczonym. Nie zazdrozczę memu przyszłemu szwagrowi losu. Chwała Bogu, że ten człowiek posiada dobrą dozę cierpliwości.

— Pana siostra jest zaręczona?

— Nie wiem po co, ale jest. Z sąsiadem naszym, Adamem Głębockim. At!...

Nie dokończył, ręką machnął.

— Kiedyż wesele? — badał Croy-Dülmen.

— Nie wiem. Teraz żałoba. Pani Tekla ani słyszeć nie chce o małżeństwie, Jadzia po swojemu milczy na wszystko, a Głębockiego o zdanie nikt nie pyta. W takim stanie sprawy mogą się wlec *ad infinitum*<sup>120</sup>, chyba się w to wmiesza opatrność i ja...

— Myślałem, że w Polsce żenią się tylko z miłości — zauważył Niemiec z uśmiechem.

<sup>116</sup>*bonifratrzy* — zakon opiekujący się umysłowo chorymi. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>*swoboda zdań* — tu: swoboda poglądów. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>*ochronka* — daw. przedszkole; zakład dobroczynny zajmujący się wychowaniem ubogich dzieci. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>*Bezirk* — powiat, okręg, rejon. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>*ad infinitum* (łac.) — w nieskończoność. [przypis edytorski]

— Kto ich tam wie, może się i kochają! Ja, znając Jadzię, sędzę, że idzie za Głębockiego przez obowiązek Polki.

— Czy ten pan jest odszczepieńcem?

— Nie, jest bankrutem. Jadzi szkoda ziemi polskiej oddawać w ręce obce: chce ją ratować swym posagiem. Bardzo problematyczne szczęście! Ale oto i babka.

— Pani Tekla gderała za coś na ogrodnika; spojrzała zezem na młodych ludzi.

Jan ją ucałował w rękę — pogładziła go po głowie. Niemcowi kiwnęła tylko po swemu, sądząc, że jak wczoraj powita ją tylko ukłonem,

Stała się jednak rzecz niesłychana. Dumny panicz schylił pokornie swój hardy kark nisko, bardzo nisko — i rękę babki podniósł do ust jak wnuk i sługa.

Przez oczy staruszki przeszło zdumienie, może radość, ale nie zrobiła żadnej uwagi. On pierwszy zagał rozmowę — naturalnie po francusku.

— Przepraszam za natręctwo, ale nie mogłem się zdecydować odjechać po wczorajszym rozstaniu. Może mi się uda pojednać pa... — zająknął się — pojednać babkę z Niemcami, chociażby ze mną jednym.

— Jeżeli nie masz innego zamiaru, to możesz sobie zaraz jechać i nie wracać. Pozwalam ci tu pozostać pod warunkiem, że mi nie wspomnisz nawet ich nazwy. Jesteś młodzik, możesz zmieniać sto razy zdanie, a ja, mój panie, siedemdziesiąt lat przeżyłam i pewnie, że nad grobem dla twoich pięknych oczu mych zasad nie zmienię. Dostyc o tym, jeśli chcesz obiadować w Mariampolu.

— My, babciu, od wczoraj rozmawiamy, ani razu nie wspomniawszy narodowości — rzucił pojednawczo Chrzastkowski.

Zamiast się uspokoić, zaperzyła się jeszcze bardziej.

— Już ty mi się tylko za przykład nie stawiaj! Gotówes<sup>121</sup> jeszcze zaprzyjaźnić się z Niemcem, tego Szwaba za kolegę obrać.

Croy-Dülmen skłonił się z uśmiechem.

— Świadcę się niebem<sup>122</sup>, że nie pierwszy wymówiłem tę okropną nazwę.

— Z konieczności, jakże mam powiedzieć? Jesteś Szwab, opite bawarem<sup>123</sup> Niemczykso!

— Jako żywo, nigdy piwa nie pijam! Nie lubiłem go nawet będąc studentem; a co do nazwy, jestem przecie ochrzczony, dla rodziny mam imię jak każdy.

Staruszka coś zamruczała. To wezwanie do pokrewieństwa nie rozczuliło jej bynajmniej, a jednak było to w ustach hrabiego monstrialne ustępstwo.

Za podobne zestawienie pojedynekował się cztery razy w życiu — uważał je za sromotę i obelgę. W tej chwili, gdy kończył zdanie, ze szpaleru wyszła do nich smukła postać panny Jadwigi. Musiała słyszeć, bo po raz pierwszy spojrzała w oczy hrabiego i uśmiech lekko ironiczny drgał wokoło poważnych ust. Spotkali się wzrokiem — poczerwieniał jak winowajca złapany na gorącym uczynku zdrady i spuścił oczy zawstydzony.

Ach, ta nieszczęsna rozmowa na wiosnę! Czy rozum stracił wtedy, mówiąc swe *credo*<sup>124</sup> obcej, spotkanej na ulicy kobiecie? Jakies *fatum* go prześladowało! Co ona myślała o nim!

Pani Ostrowska na widok swej wychowanki wyrzuciła z serca żal na ogrodnika.

— To nieuk, osioł, próżniak! Okropność, jak ci Prusacy lud zdemoralizowali.

— To drugi raz! — szepnął hrabia Janowi.

Obydwaj spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się pod wąsem. Nic nie uchodziło oka cholerycznej staruszki.

— Cóż to śmieszno? — zawołała z impetem. — U was wszystko żart, fraszka, nawet to, co was boleć powinno!

Tu spostrzegłszy się, że połączyła w swej admonicji<sup>125</sup> Niemca z Polakiem, machnęła tylko ręką i podreptała ku domowi.

— Et, co z wami gadać! — zamruczała na odchodnym.

Młodzi ludzie, obydwaj z natury weseli, zaśmiali się serdecznie; uśmiechnęła się nawet poważna panna Jadwiga.

<sup>121</sup>gotówes — skrócone od: gotów jesteś. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>świadcę się niebem — inaczej: niebo mi świadkiem, biorę niebo na świadka. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>bawar — tu: piwo bawarskie. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>credo (łac.) — dosł. wierzę; przen. wyznanie wiary, suma poglądów. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>admonicja (z łac., daw.) — przygana, upomnienie. [przypis edytorski]

Nagle pani Tekla obejrzała się i przystanąła.

— Słyszysz, Jadziu, turkocze! — wołała. — Już jedzie miły konkurent! Wybrałaś go, idźże sama bawić. Nie znam nic nudniejszego nad tego człowieka, ale to nie moja rzecz.

I poszła w inną stronę. Panienska spoważniała natychmiast i zwróciła się do domu, zrywając po drodze kwiaty z rabatki. Nie śpieszyła się wcale.

— Czy mamy ci iść w sukurs<sup>126</sup>, Jadziu? — żartował Jan.

— Do woli — odparła po swojemu, krótko.

— Zostawiam ci swobodę pierwszego powitania, żebyś się nie potrzebowała krępować — drażnił się dalej.

— Czemu się nie nauczysz krępować języka? — odrzuciła z daleka.

— Z konieczności muszę mówić jako reprezentant rodziny. Żebym ten urząd tobie zlecił, miano by nas za głuchoniemych.

Nie odrzekła nic więcej i znikła w cieniu szpaleru.

— Pan Głębocki często bywa? — spytał Wentzel, patrząc uparcie w to miejsce, gdzie ją cień zakrył.

— Co parę dni, regularnie od obiadu do kolacji.

— Co robią narzeczeni? Rozmawiają?

— Z Jadzią! To by było trochę za trudno. Grają w domino i milczą; czasem przeglądają dzienniki i milczą; w wielkie święta chodzą na spacer i także milczą. W antraktach słuchają gderania pani Tekli.

— A pan co wtedy robi?

— Z początku dotrzymywałem im towarzystwa, ale się tak znudził, że odtąd uciekam na odgłos turkotu bryczki Adama. Ten nieszczęsny wysłuży sobie męczeńską koronę!

— Ma tak piękną nagrodę, że mu się nie dziwię — rzekł z uśmiechem Niemiec.

— Rzecz gustu. Jadzię wysoko cenię, szanuję, uwielbiam jako brat i Polak; ale zachać się w niej to dla mnie niepojęte, to to samo, co uderzyć do serca tej brzozy u płotu. Mnie do kochania potrzeba życia, śpiewu, śmiechu, choć trochę kokieterii i żartu. Nieprawdaż?

— Niezawodnie. Arkadyjscy pasterze<sup>127</sup> wyginęli.

— Oprócz jednego Głębockiego. O, Walenty nas szuka. Pewnie obiad.

Zbliżyli się do służącego i weszli przez taras do wnętrza rezydencji. W sali jadalnej, przy wódce, ujrzał Wentzel cierpliwego Głębockiego. Był to człowiek średniego wzrostu i średnich lat, opalony, suchy, trochę łysawy blondyn. Patrzył spod brwi krzaczastych nieufnie; w ustach miał rys zacięty; długie w dół zwieszony wąsy czyniły go jeszcze dziak-szym.

Musiał to być człowiek skrytej namiętności i niesłychanego panowania nad sobą.

Niebezpiecznie było z nim zaczynać walkę — był zazdrosny, mściwy i cierpliwy.

Jan ich zaprezentował — poprzestali na ukłonie. Czy przeczuwali, że będzie między nimi bój na śmierć i życie?...

— Jakże kartofle, Adamie? — zagaił Chrząstkowski.

— Niezgorzej.

— A siewy?

— Schodzą.

„Dobrali się w korcu maku” — pomyślał Croy-Dülmen.

— A twoja „Norma” zdrowa?

Tu ożywiła się posępna twarz Głębockiego.

— Żdźarski targował ją wczoraj — odparł żywiej nieco.

— Sprzedałeś?

— Jeszcze nie. W ostateczności chyba.

— Przecie ją Jadzia chciała nabyć.

— Już nie chce. Mówiła mi...

— Jak to! Przecie coś mówiła? Niesłychane! — żartował wesoly chłopak.

Rysy Głębockiego skurczyły się kamienną ostrością: nie rozumiał żartów.

<sup>126</sup> iść w sukurs (daw.) — iść na odsiecz; przybyć z pomocą. [przypis edytorski]

<sup>127</sup> arkadyjski pasterz — bohaterowie romansów sentymentalnych; platoniczni kochankowie. [przypis edytorski]

Wejście dam przerwało rozmowę. Zasiedli do obiadu. Narzeczeni siedzieli obok, ale nie mówili ani z sobą, ani z resztą towarzystwa. Jan z hrabią podtrzymywali rozmowę. Chrząstkowski wypytywał o stolicę. Wentzel przyszedł do siebie i dał się porwać na barwną, tryskającą dowcipem gawędkę. Opisywał berlińskie życie, zabawy, kółka, intrygi, aż wreszcie zdołał zaciekawić babkę — rozmarszczył jej czoło. Wstali od stołu bez żadnej kłótni.

W salonie, wedle opowieści Jana, narzeczeni zajęli się milczącym przeglądaniem dzienników. Młodzi ludzie<sup>128</sup> wymknęli się do oficyny.

Poczta dawno była odprawiona, Urbana wysłano po rzeczy hrabiego do miasteczka. Przymus znikł. Gwarząc coraz ufniej, coraz przyjaźniej, ani się obejrzeli, jak mrok nadszedł.

Rozmowę przerwał im stary lokaj.

— Pani kazała się spytać, co się stało z Niemcem — objaśnił Chrząstkowskiemu swe przybycie.

— Powiedz, że przyjdziemy zaraz na herbatę. A pan Głębocki jeszcze bawi?

— Tyleczko<sup>129</sup> wyjechał.

— Tak wcześnie! Oho! To go dobry duch natchnął.

W jadalni paliła się już lampa. Panna Jadwiga własnoręcznie przyrządziła herbatę.

Brat ją spotkał żartem:

— Tak krótko dziś graliście w domino! Szkoda. Kto kogo ograł?

— Pani Ostrowska czeka ciebie od godziny. Otrzymała jakieś listy, potrzebuje rady w niemieckim języku.

— Już idę, na burę — mruknął, odchodząc w głąb domu.

A zatem miał Croy-Dülmen tak upragnione sam na sam. Niech się stara o uśmiech pięknych ust, spojrzenie surowych oczu, niech zdobywa.

Chwila milczenia, podczas której obserwował ją oparty o poręcz krzesła; nareszcie się odezwał:

— W San Marino zapominają znajomych, jak widzę, i zapominają przyrzeczeń...

— Przyrzeczeń? — powtórzyła pytająco.

— Zdaje mi się, że wygrał zakład z panią.

— Może być, nie pamiętam.

— Założyłem się, że odnajdę panią. Ja nie zapomniałem.

— Bardzo chwalebna pamięć. Cóż z tego?

Pytania te i odpowiedzi, krótkie, urywane, zimne jak cięcia stali, zbijały go z tropu, onieśmiały zupełnie. Był to jakby pojedynek, w którym on otrzymał tysiące pięknych razów, nie mogąc ich ani odbić, ani oddać.

— Należy mi się nagroda.

— To jedno dobrze pamiętam, że żadnej nie obiecałam. Zadowolenie fantazji powinno panu wystarczyć.

— A jeśli nie wystarczy?

— To musi.

Potrząsnął zuchwale głową.

— Czy wie pani, że Wentzel Croy-Dülmen tego słowa nie uznaje w stosunku do siebie?

— To wiem, że hrabia Wentzel Croy-Dülmen nie zawsze jest takim lwem, jak się zdaje. Umie się trwożyć, kryć z zasadami, bawić się we frazesy jak komedian; nie potrafi stawić czoła jednej starej kobiecie!

— Znosiłem wszystko dla zdobycia sposobności rozmowy z panią.

— Jest to nikczemność i fałsz! Jak pan śmie patrzeć w oczy swej babki, oszukiwać ją dla marnej igraszki?

— Czy pani nie przypuszcza, że zdanie można zmienić?

— Czy pan myśli tym frazesem i mnie oczy zamydlić? Poniewczasie. Widziałam pana samym sobą i pamiętam...

— Obraziłem panią...

<sup>128</sup> *młodzi ludzie, młodzież* — daw. te określenia odnosiły się wyłącznie do płci męskiej, młode kobiety nie były tu zaliczane. [przypis edytorski]

<sup>129</sup> *tyleczko* — dopiero co; właśnie, przed chwilą. [przypis edytorski]

— Mnie? Pan? Obrazić mnie może tylko ktoś, o kogo dbam.

A więc widział Wentzel te oczy mroczne, pełne błysków, te usta milczące pełne życia, miał — czego pragnął.

Wyprostowana, z brwią ściągniętą, rzuciła mu lekceważenie po lekceważeniu, a w nim zamiast gniewu budziło się dzikie jakieś uczucie pożądania.

Pod wpływem tym wyrwała mu się gwałtownie z ust zuchwała przysięga:

— A ja mówię, że pani o mnie dbać będzie, musi! I albo znenawidzi mnie, albo pokocha, chociażem<sup>130</sup> Niemiec i nikczemnik, i kłamca, i próżniak... to wszystko, co pani mi zarzuca.

Przeląkł się sam tego zuchwalstwa; myślał, że go spiorunuje wzgardą; tymczasem ona popatrzyła nań chwilę przejmująco, potrząsnęła głową i odrzekła zwykłym ponurym tonem:

— Za nienawić lub miłość nikt nie może ręczyć; ani pan, ani ja. Ale na to mogę przysiąc, że nie pokocham ani Niemca, ani próżniaka, ani nikczemnika, ani hulaki... tego wszystkiego, czym pan jest! Polka zaczyna od szacunku!

— Zobaczmy, kto kogo zwycięży! Ja jeszcze nie znam porażki — rzekł stanowczo.

— Jeszcze pan nie zna wielu rzeczy. A przede wszystkim zapomina się pan względem mnie. Jestem zaręczona.

— Między ustami a brzegiem pucharu wiele jeszcze zdarzyć się może — rzekł lekko.

— Zastosuj to pan do siebie.

— Wolę do pana Głębockiego — odparł zuchwale.

— Jak się panu podoba, byle nie do mnie. Zechce pan uwolnić mnie od dalszej swej arogancji. I moja cierpliwość może się wyczerpać!

— Ale nie moja.

— Obejdę się bez tej wiadomości.

Rozdrażnienie wybiegło obojgu na twarze: ona stała się biała jak marmur, na jego czoło wybiegła sieć żył. Kipiał pod chłodem tej dziewczyny, zapomniał panowania nad sobą.

Gdzie się podziało jego Cezarowe: *veni, vidi, vici!*

Po ostatniej odpowiedzi panna Jadwiga ruszyła ramionami i wyszła z pokoju. Począł chodzić wzdłuż i wszerz, by się opamiętać.

Jan go tak zastał.

— Co? Nie ma Jadzi? Jedyna do bawienia gości! Sąsiedzi będą mieli pociechę z domu państwa Głębockich! Wie pan, co babka mi poleciła? Zatrzymać pana na tydzień! Zgoda?

— Z całą przyjemnością. Dziękuję.

— Posłysz pan niejedno kazanie o Niemcach.

— Cóż robić! Cierpimy za winy ojców.

— Jak to?

— Żeby ojciec mój dotrzymał obietnic danych rodzinie żony, byłoby inaczej, może lepiej — dodał powoli.

— At, co tam rodziców obwiniać! Żeby nam Jadzia dała herbaty, toby było nie tylko lepiej, ale zupełnie dobrze.

\*

Po tygodniu wrócił hrabia do Berlina i zaraz na wstępie zawołał grooma<sup>131</sup>:

— Odprowadź „Scherza” do barona Michała von Schöneich! Marsz!

Zamyślił się chwilę.

— Zakład przegrałem — mruknął — ale ją mieć będę, chyba ona zginie albo ja. Głupi był zakład, kapitanie... No, kto ją tam wiedział! Brr! Żeby się o nim dowiedziała! *Verflucht, verdammt!* Uh, co za królewska dziewczyna! Takiej być ukochanym, to dopiero się czym pochwalić. Tymczasem trzeba się o Aurorę dowiedzieć. Czy lichy już gdzie poniosło admirała? Doprawdy, czegoś mi jednak tęskno za moją Lorelei. Urban, konie!

<sup>130</sup>*chociażem* — skrócone od: chociaż jestem. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>*groom* (ang.) — stajenny. [przypis edytorski]

## VII

Pewnego dnia, wśród zimy, Jan Chrząstkowski wysiadł na berlińskim dworcu i kazał się wieźć do pierwszego lepszego hotelu; tam zjadł śniadanie, przebrał się i wyszedł na miasto.

Obyczajem wieśniaka gapił się w okna magazynów, czytał afisze na rogach ulic, zabłądził parę razy, raz wpadł pod konie i nareszcie po wielu przygodach dobił Pod Lipy. Tu zaczął chodzić od bramy do bramy po informacje o właścicielach, jakby zbierał szczegóły do gotajskiego kalendarza<sup>132</sup>; aż wreszcie po wielu trudnościach ze szwajcarami dojeżdżał do pałacu Wentzla Croy-Dülmen. Odetchnął jak po skończonej ciężkiej pracy i zadzwonił.

— *Wer da*<sup>133</sup>?

— *Ich*<sup>134</sup>! — odparł dumnie Jan, stając u okienka.

Urzędnik pałacowy czytał dziennik i dość niechętnie przerwał politykę.

Wyglądał uroczyście w pąsowym płaszczu szamerowanym złotem. Błyszczał jak słońce.

— Gdzie mieszka hrabia? — spytał Polak, pośpiesznie biorąc za klamkę dalszych podwoi.

Ale zatrząsk odmykał się tylko z łoży, a szwajcar nie spieszył się z pociśnięciem sprężyny.

— Pan hrabia nie przyjmuje o tej godzinie — ogłosił jak dekret senatu, pokazując na zegar nad okienkiem.

— To nie twój kłopot. Otwórz, dam sobie radę.

Szwajcar popatrzał na niego jak na wariata, zażył dyskretnie tabaki i podnosząc wskazujący palec do wysokości nosa wyrecytował jak z książki:

— Receptyjne godziny u jaśnie wielmożnych hrabiów Croy-Dülmen są następujące: od jedenastej do pierwszej po południu, od trzeciej do czwartej wieczorem. We środy i piątki przyjmuje się także później zaproszonych gości. Stosuje się to tylko do znajomych i krewnych przychodzących z wizytą, którzy winni się oznajmić wizytową kartą, tu złożoną. Wizyty niezajomych i interesantów przyjmuje plenipotent jaśnie wielmożnego hrabiego, pan Fryderyk Sperling, we własnym mieszkaniu: Ortweinstrasse nr 17.

— Oto bilet. Proszę oznajmić hrabiemu. Przyjmie niezawodnie — zawołał Jan niecierpliwie. — Zresztą zaledwie pierwsza.

— I pięć minut. Kartę raczy pan przedstawić o trzeciej.

— Bodajęś pełk, kufo browarna! — zaburczał Polak, wściekły, zawracając z powrotem.

Ciężkie dębowe podwoje zapadły za nim; znalazł się na ulicy.

— Podłe Niemcy! — klął, wodząc oczami po frontonie pałacu. — Oj, dałbym ja, dał tej grubej poczwarze! Wracaj znowu po obiedzie.

Gdy tak medytował, patrząc w okno, czy się gdzie Wentzel nie pokaże, nagle otworzyły się szybko małe niepozorne drzwiczki lewego skrzydła i z nich wybiegła młoda dama, żegnając kogoś kaskadą śmiechu; za nią zamknęło się tajemnicze wejście.

Kobieta otarła się prawie o Jana, który na nią wytrzeszczał oczy, zmieszała się z tłumem i znikła.

— Oho, patrzcie... ta kursuje pięć minut po pierwszej! No, no, akuratność niemiecka toleruje ładne wyjątki bocznymi drzwiami! A żeby tam zakołatał? Wezmą mnie za panienkę i puszcza do sanktuarium! Ho, ho, ten paniczek, *si correct*<sup>135</sup>, figluje na swoich śmieciach! Na zdrowie mu, byle tylko otworzył.

Zastukał raz i drugi do furtki, bez skutku — i dał za wygraną.

— Nie znam umówionego znaku. Co robić? Pójdę na miasto popatrzeć, wrócę o trzeciej.

Stawił się punktualnie co do minuty. Gruby szwajcar protekcjonalnie kiwnął mu głową, wziął bilet i pociśnął sprężynę zatrząsku i dzwonek elektryczny.

<sup>132</sup>*kalendarz gotajski* — właśc. „Almanach Gotajski” („Almanach de Gotha”), rocznik genealogiczny wydawany w niem. mieście Gotha od 1763 r.; czasopismo publikowało genealogie rodzin panujących, arystokracji oraz szlachty (z podziałem na szlachtę z urodzenia i z nadania), a także informacje ogólne istotne w dyplomacji (zarówno o rodzinach jak o poszczególnych krajach). [przypis redakcyjny]

<sup>133</sup>*Wer da* (niem.) — kto tam. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>*ich* (niem.) — ja. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>*si correct* (fr.) — taki poprawny. [przypis edytorski]

Drzwi się otwały, pąsowo-złoty lokaj powitał gościa ukłonem, wziął kartę i cicho jak widmo poprowadził oszołomionego po marmurowych schodach, przykrytych dywanami, na pierwsze piętro.

Na żalonych rycerze z brązu świecili gazowymi pochodniami, a na końcu schodów wiotka brązowa Psyche wyciągała w górę śliczne ramiona z alabastrową lampą.

Magnacki przepych bił ze ścian malowanych *al fresco*<sup>136</sup>, z marmurów — przepelniał cały dom. Lokaj, zawsze milczący, wprowadził gościa do salonu obwieszzonego gobelinami i zniknął, niosąc bilet na złoczonej tacy.

Po dość długim oczekiwaniu skrzyknęły drzwi. Jan się porwał uradowany i struchlał.

Naprzeciw niego wyszła małeńka postać panny Doroty von Eschenbach i przywitała go staroświeckim dygiem.

— Pan zapewne chciał się widzieć z Wentzlem? — zaczęła uprzejmie, spostrzegając jego zakłopotanie.

— Tak, łaskawa pani!

— Jestem panna Dorota von Eschenbach, ciotka Wentzla — przedstawiła się dygając powtórnie. — Pan ma interes do niego? Może dzierżawca? Jest pan Sperling.

Jan się zaśmiał.

— Interes mój nie wymaga plenipotent. Wystarczy mi godzina rozmowy z hrabią.

— Ach, panie! Godzina rozmowy! Ja od dwóch tygodni nie mogę się zdobyć na minutę! Teraz karnawał. Dziś bal w ambasadzie austriackiej, jutro u księżąt Ernestów, pojutrze u hrabiostwa Spangendorf, we czwartek przyjęcie u dworu. Karnawał, okropność! Bardzo bym chciała panu dopomóc. Przed chwilą posłałam do Wentzla; może się zjawi.

Pąsowy lokaj ukazał się w progu.

— Pan hrabia śpi — oznajmił oficjalnie. — Urban kazał powiedzieć, że dla nikogo nie ośmieli się go budzić!

— Biedaczysko! — westchnęła ciocia Dora. — Byłoby to niemiłosierne przerwać mu spoczynek.

Jan się zniecierpliwiał. Biedaczysko nie był przecie ani starcem, ani chorym, ani niemowlęciem — nie czuł dlań żadnej litości.

— Bardzo mi przykro, że panią utrudza. Żegnam.

Wstał i wyszedł, życząc Wentzlowi diabłów i licha.

Dzień był stracony. Poszedł wieczorem do teatru, ale darmo się rozglądał. Wentzla nie było, sztuki mało pojął, znajomych nie miał, ziewał jak na niemieckim kazaniu.

Następnego dnia włóczył się po mieście, tam gdzie najwięcej było prywatnych ekwi- paży, strojnych dam i okazałych magazynów — i tam nie było Wentzla.

Zamiast niego los mu nadarzył Urbana.

*Factotum* hrabiowskie widocznie było na urlopie. Miał na sobie kamerdyner angielskie palto, błyszczący cylinder, lakierki i jasne rękawiczki. Z nosem zadartym i rękami w kieszeniach wyglądał jak jego pan. Spod pachy wyglądała laseczka o złotej skuwce. Laseczką tą wydziobywał oczy przechodniom i gwizdał sobie aryjkę Straussa.

Ujrawszy Chrzęstkowskiego nie zmieszał się wcale, uchylił z wdziękiem kapelusza i mijał jak kolegę.

— Czekał no, czekał — zatrzymał go Jan. — Gdzie twój pan?

Urban zrobił gest nieświadomości.

— Uwolniłem się na tydzień, proszę pana. Wracam w tej chwili ze ślizgawki — odparł z ujmującym uśmiechem. — Teraz karnawał.

— Przecie mogę się zobaczyć i spotkać z hrabią choćby w karnawale.

— Spotkać bardzo łatwo. Nasze taranty zna cały Berlin. Ale zobaczyć się, to prawie niepodobna. Pan hrabia bardzo zajęty.

— Możesz mi ułatwić wizytę?

— Chyba za tydzień.

— Zwariowałeś! Mam do niego polecenie od jego babki z Mariampola.

Tu Urban wyjął ręce z kieszeni i przybrał typowo lokajską pozę.

<sup>136</sup>*al fresco* (wł.) — dosł. na świeżo; technika malarstwa ściennego polegająca na malowaniu farbami na świeżym tynku, przed jego zaschnięciem. [przypis edytorski]

— *Die Wohlgeborene aus Mariampol? Das ist etwas anderes*<sup>137</sup>. Mogę panu dać bilecik polecający do mego zastępcy, Augusta.

— Tfu! Będę chodził od fagasa do fagasa! Wolę z niczym wrócić. *Schönen Dank*<sup>138</sup>! Obejdę się bez twojej pomocy.

Urban nie rozumiał powodu gniewu. Uchylił na pożegnanie cylindra i wszedł do okazałej restauracji.

W Janie wzbierał gniew. Chciał wracać z niczym, ale zląkł się pani Tekli. Wsiadł do dorożki i kazał się wieźć za Brandenburską Bramę.

Było to dobre natchnienie. Wśród setek powozów i koni dwa przepyszne taranty mignęły mu jak błyskawica. Kazał stangretowi je dopędzić. Stał w dorożce i wyglądał.

Taranty zwolniły biegu, dorożkarz ćwiczył swe szkapy — zrównali się. Jan zajrzał do powozu i zaklął po mazursku.

Ujrzał wewnątrz szlify wojskowe i szubkę chudej damy o bladych oczach.

Nie znał majora Koop i nadobnej jego Emilii, więc się nie przywitał, tylko kazał zawrócić, i zły jak piorun wysiadł na obiad w hotelu.

Dano mu sporo siekaniny i słodką zupę na pociechę — to mu wcale nie poprawiło humoru. Ruszył jednak z wzorową wytrwałością na dalsze poszukiwania.

Włóczył się to tu, to tam, zapatrzony w przejeżdżające powozy, obrywając treny damom, popychający i popychany; często łajany; raz go nawet wystrofował policjant. Na próżno — nie widać było ani tarantów, ani Wentzla, ani nawet Urbana. Żałował bardzo Jan, że się nie wypytał lokaja o klub czy restaurację, gdzie hrabia obiadował zwykle. Byłaby to nić Ariadny<sup>139</sup>.

— Zabawię do jutra i wrócę, albo napiszę. Pani Tekla zada mi pieprzu jak amen w pacierzu. Cóżem winien? Ten przeklęty hrabia karnawałuje, a ja nie jestem panienka. Oto cały powód niepowodzenia. Alboż to moja wina? Ot, znajdę na szklankę ponczu. Zimno!

Wszedł do kawiarni. Naprzeciw niego siedziało trzech panów, rozmawiając wesoło.

Mimo woli zaczął półtuchem nasłuchiwać.

— Hrabina Aurora wyjechała do Poczdamu. Nie będzie dziś na balu u ministra.

— Szkoda. Obiecała mi walca.

— Słyszeliście, że na maskaradzie wczoraj Schöneich przebrał się za damę i uwziął na Herberta?

— I cóż?

— Ale, komedia! Herbert się zapalił, nie odstąpił na krok, przysięgał, że pozna je Almę z baletu. Zaprosił na kolację, poił szampanem i odwiózł swoją karetą. Dziś wyzwał Schöneicha na szpady.

— Będą się bili?

— Koledzy nie dopuścili. Baron pozwolił Herbertowi na przyszły bal wziąć swoje domino<sup>140</sup> i kok.

— No, już trzeba przyznać, że Wentzel i Schöneich broją bez pamięci w tym roku.

Jan aż podskoczył na krześle i wytyczył uwagę.

— A zawsze się im uda spletać figła i wykręcić się sianem. Myślałem, że będzie źle, gdy wykradli starą guwernantkę księżniczki Elizy!

— Co? Nie słyszałem! — spytał ciekawie jeden.

— Prawda, że ty wczoraj przyjechałeś z Wiednia. Jak wiesz, Wentzel ma ząb na szambelana Astowa za jakąś plotkę o nim i hrabinie Aurorze. Stary coś widział, coś słyszał, coś dodał i wypaplał. To i dosyć. Otóż obydwaj z „Papryką” urządzają farsę. Guwernantka wracała z teatru, Wentzel się do niej przysuwa, czuli, uśmiecha, wreszcie błaga o chwilę rozmowy. Gdzie? — W hotelu. Babie podobał się chłopak — zgoda! Tak ją łotr usidlił, że nie patrzyła, gdzie jedzie. Zawiózł ją prosto do szambelana, przekupił służbę, ulokowali guwernantkę w gabinecie i niby wyszli na chwilę, po to tylko, żeby zaprosić znajomych,

<sup>137</sup>*Die Wohlgeborene aus Mariampol? Das ist etwas anderes* (niem.) — Wielmożna pani z Mariampola. To co innego. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>*Schönen Dank* (niem.) — pięknie dziękuję; dziękuję bardzo. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>*nić Ariadny* — tu: pomoc, ślad, sposób wyjścia z trudnej sytuacji; w mit. gr.: nić, dzięki której Tezeusz wy dostał się z labiryntu po zabiciu Minotaura, ofiarowana bohaterowi przez kreteńską księżniczkę Ariadnę. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>*domino* — tu: przebranie karnawałowe. [przypis edytorski]



jako od Astowa, na karty. Zebrali umyślnie najplotliwszych radców i gromadą wpadli. Tymczasem szambelan miał fluksję i wcześniej się położył. Zbudził go krzyk kobiecy. Guwernantka zaczęła być niespokojna, wołała ratunku. Szambelan myślał, że to pożar, rozbój, awantura; narzucił szlafrok i wypadł bez peruki i zębów — Adonis<sup>141</sup>. Guwernantka w krzyk, dostała spazmów. On do niej — ratować — aż tu lokaj otwiera drzwi i recytuje z tuzin nazwisk. *Tableau*<sup>142</sup>!

Młodzi ludzie aż się pokładali od śmiechu. Jan miał ochotę im zawtórować.

— Cóż Wentzel i Schöneich?

— A cóż, sprawa zaszła aż do cesarza. Wyzwano obu. Skandal! Astow zachorował. Guwernantkę musiano schować, bo ją palcem wytykano. Myśleliśmy, że im obu każą wyjechać co najmniej. Wrócili z gęstymi minami. Hrabina Aurora zaręczyła, że byli u niej tego wieczora. Spadło wszystko na Astowa.

— Żeby nie hrabina, toby sto dam za nimi ręczyło.

— Wiesz, że o Wentzla panna Annheim obila szpicrutą Ellę Schwan!

— Widziałem. Działo się to przy stu świadkach w maneżu<sup>143</sup>. Klóciły się jak przekupki.

— Schöneicha boją się jak złego ducha. Zna je do gruntu. A jak weźmie na fundusz, to nie zostawi suchej nitki.

— A wiecie, z kim Wentzel teraz romansuje?

— Z dwudziestoma.

— To flirt, ale serio z jedną.

— Z hrabiną Aurorą.

— To urzędowo. A nieurzędowo... z żoną swego plenipotentą. Znacie Sperlinga?

— Aha! Młoda, szczupła brunetka. Widziałem w teatrze. Ten Wentzel specjalista od mężatek.

— Bo się żenić nie wybiera jak ty. Na twoją pannę Hertę ani spojrzysz teraz, ale po ślubie radzę ci wyjechać.

— Co też i uczynię. Te kobiety jak owce! Za jedną skoczy tysiąc.

— Wczoraj była znowu awantura u Lidii. Powybijano wszystkie okna, potłuczono lustra i lampy, nie zostało jednego całego sprzętu. Dziś ich z dwudziestu wybiera się do „Buff”.

— Chodźmy i my!

„Pójdę i ja” — pomyślał Jan.

Młodzi ludzie zapłacili i wyszli z hałasem, za nimi wymknął się Jan uśmiechając się tryumfująco. Wiedział, gdzie szukać hrabiego. Kazał się wieźć do „Buff” i po długim kręceniu się w labiryncie ulic znalazł się wreszcie przed oświetloną bramą trzeciorzędnej teatryki. Spóźnił się widocznie. Przed świątynią wesołej sztuki pełno było powozów i koni, roiło się od liberii, jakby cała arystokracja pruska dała sobie tam *rendez-vous*<sup>144</sup>.

Jan omal nie krzyknął z radości. Taranty Wentzla stały u bramy. Spytał stangreta o hrabiego.

— *Soeben angekommen*<sup>145</sup> — odparł sługa.

— Ha, mam cię przecie! — zamruczał, biorąc jeden bilet do krzesel.

W sali gorąco i tłok nie do opisania. Podrzucony jak piłka, dobił do swego miejsca, odsapnął i rozejrzał się po sali. Wentzla nigdzie nie było. Publiczność składała się ze studentów, młodzieży rzemieślniczej i handlowej i kilku oficerów. Afisz ogłaszał *Orfeusza w piekle*.

Jan stracił na chwilę przytomność, odurzony śmiechem, piskiem, tupaniem i przeźliwą muzyką janczarską.

Widzowie wrzeszczeli jak stado dzikich; wywoływano aktorki po sto razy, rzucano na scenę bukiety, miotano się, machając kapeluszami i chustkami.

<sup>141</sup>*Adonis* — tu iron.: piękny mężczyzna, wzór urody męskiej; w mit. gr. młodzieniec, który ze względu na swą urodę był ukochanym Afrodyty i Persefony, które rywalizowały o niego. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>*tableau* (fr.) — obraz; tu: oto obrazek. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>*maneż* — ujeżdżalnia koni a. ogrodzony teren do nauki jazdy konnej. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>*rendez-vous* (fr.) — spotkanie; randka. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>*soeben angekommen* (niem.) — właśnie przybył. [przypis edytorski]

„Czy do tych Szwabów źle przystąpiło? — pomyślał Jan, wytrzeszczając oczy. — Ale dziewczęta ładne! Ani słowa. Tej czarnej i ja bym bukiet dał. No, no, co też ten karnawał wyprawia. Ale gdzie Wentzel? Przecie nie występuje za aktora. Nie wysiedzę tu nic: trzeba gdzie indziej zakolatać”.

Przecisnął się do przejścia i wpadł na jakiegoś służącego w liberii.

— Słuchaj no, a gdzie ci panowie, co ich nie ma? — krzyknął, porywając człowieka za kołnierz.

— Co ich nie ma... — wybełkotał lokaj zdyszany. — To oni są... są... ale ja biegnę po szampana...

Obydwaj pletli trzy po trzy, ale rozumieli się doskonale. Jan wetknął srebrniaka w rękę draba.

— Znasz hrabiego Croy-Dülmen?

— Jakiego? Mego pana? Toż przecież lecę po szampana.

— A gdzie twój pan?

— A ot tam, w garderobie. Ale ja lecę, proszę darować!

Wyrwał się i pobiegł, skacząc po trzy stopnie. Jan ruszył, gdzie mu wskazał, źle oświetlonym korytarzykiem aż do drzwi, u których stała straż teatralnego sanktuarium, olbrzymi woźny.

— Proszę mnie wpuścić za kulisy.

— *Verboten*<sup>146</sup> — była lakoniczna odpowiedź.

— Masz talara.

— *Verboten*.

— No, to daj moją kartkę hrabiemu Croy-Dülmen.

— *Verboten*.

— Ażebyś się zadławił swoim *verboten*! Puszczaj, bo stracę cierpliwość!

— *Geben Sie zum Kuckuck*<sup>147</sup>!

— Ty sam pójdziesz, szympanse! Mam interes bardzo pilny do hrabiego.

— To nie czas na interesy. Karnawał!

Sprzeczka stawała się żywa. W Polaku zaczynała grać krew słowiańska. Szwajcar<sup>148</sup> wojował flegmą.

— *Du Haderlump*<sup>149</sup> — huknął Chrzastkowski. — Ty mi jeszcze radzić będziesz!

Porwał Niemca za ramię, odrzucił na bok.

— *Mord! Skandal!* — zaryczał olbrzym.

Na to hasło drzwi się otwały. Kilku liberyjnych lokajów skoczyło z pomocą.

W mrocznym korytarzyku zakotłowało się jak w garnku. Jan jak odyniec począł się szamotać i bronić, klnąc po polsku; lampka zgasła, mrok rósł. Ktoś pobiegł alarmować policję. Gruby szwajcar wył nieludzkim głosem:

— *Mord! Mord! Mord!*

Wtem drzwi zza kulis otwały się znowu, w głębi huczały śpiewy i śmiechy — wychodzący zajrzał w korytarz.

— *O Je! O Je! O Je!* — lamentował szwajcar.

— Kogo tam mordują? — zawołał głos, na dźwięk którego Jan wykrzyknął rozpacznie<sup>150</sup>:

— Ratunku, hrabio! Te plugawe Szwaby zaduszą mnie w tej norze!

Nim skończył, Croy-Dülmen już mu był u boku i uściśnął serdecznie. Napastnicy zmykali chyłkiem, szwajcar uchylił kapelusza.

— *Kreuz-Element*<sup>151</sup>! — kłął hrabia. — A to awantura. Skąd się pan tu wziął? Z drogi, hołota! Aaa, to ty, Auguście! Jest szampan? Czemuś tego pana nie przyprowadził? *Dummes Tier*<sup>152</sup>! Proszę, proszę, panie Janie! No, nie poturbowali cię zbyttnio?

<sup>146</sup>*verboten* (niem.) — zakazane, zabronione. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>*geben Sie zum Kuckuck* (niem.) — niech pan idzie do diabła. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>*szwajcar* — odźwierny; służący pilnujący drzwi. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>*du Haderlump* (niem.) — ty kłótniwy gałganie. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>*rozpacznie* — dziś: rozpaczliwie. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>*Kreuz-Element* (niem.) — przekleństwo: krzyż pański, utrapienie. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>*dummes Tier* (niem.) — głupie bydlę (dost.: zwierzę). [przypis edytorski]

— No, nie. Żebym miał prawą rękę, tobym się ja im dał we znaki. Ha! Dobilem portu! Trzy dni szukam pana hrabiego.

— Co się stało? Przecie nie żadne nieszczęście u was? — spytał hrabia niespokojnie.

— Ej, nie! Mam tylko polecenie od babki, ale nic nie nagli. Nie będę tym hrabiemu przerywał zabawy. Rozmówimy się jutro, byłem tylko dostał audiencję!

— Ależ jestem na rozkazy wszystkich z Mariampola. Co prawda, karnawał to gorączka.

— Wiem coś o tym i nie przeszkadzam. Jutro przyjdę o południu do pałacu.

— *Unsinn*<sup>153</sup>! Chodź pan tam, zabawimy się. Będziesz pan wyglądał istotnie jak Orfeusz w piekle. *Es geht flott*<sup>154</sup>!

— Widzę, widzę. Istna wieża Babel! — śmiał się Jan.

— Wentzel! Wentzel! — rozległo się wołanie i sarkastyczna twarz Schöneicha wychyliła się na korytarz — za nim mignęły obnażone ramiona dwóch dam.

— Chodź, Michel! — zawołał hrabia. — Przedstawiam ci nowego gościa, mego znajomego z Poznania. Pan Chrząstkowski, baron Schöneich.

„Papryce” spadły z nosa binokle.

— Pan Żonźowski! — powtórzył przeciągle.

A potem, jakby zrozumiał, zaśmiał się impertynencko w oczy Wentzla.

— Pan nie zna pięknej Lidii?

— Nie, panie.

— Ani czarnookiej Esmeraldy?

— Niestety, nie — odparł Jan wesoło.

— Ani Elli Schwan?

— Nikogo.

— Zatem ja pana zaznajomię. Bo to, widzi pan, Wentzel zły na towarzysza i kolegę. To żarłok!

— A pan apostołujesz wstrzemięźliwość?

— Uhm! Ja...

— Ty jesteś pijany, Michel! — przerwał Wentzel. — Prowadź pana Chrząstkowskiego!

— Wypiłem jeden tylko toast za zdrowie Herberta, który po ciemku zamiast Lidii pocałował w rękę maszynistę.

— Ejże, a może to ty sam bez binokli! — śmiał się Croy-Dülmen.

— Ja, mój drogi, Lidii nie całuję w rękę!

Schöneich, wygłosivszy to zdanie, zatrzymał się i kładąc rękę na klamce drzwi, spytał Jana:

— Czy pan był kiedy na balu wariatów? Nie, no to niech pan patrzy i admiruje<sup>155</sup>.

Weszli do dużej sali, pełnej zakamarków, nisz, drzwiczek, zawalonej dekoracyjnymi przyborami. Wśród tego bezładu kilkadziesiąt osób udawało dom obłąkanych.

Piękne aktorki, w kostiumach i trykotach, snuły się otoczone gronem młodzieży<sup>156</sup>. Każdy robił, co mu się podobało. Jedni pili szampana, inni śpiewali kuplety; śmiano się, dowcipkowano, tańczono — hałas panował piekielny.

— A co? Wariaty! — zaśmiał się Schöneich po minucie obserwacji. — Jak pan myśli, co większe: czy zdolność aktorek, co prosto stąd biegną na scenę, czy cierpliwość i pobbłażanie publiki?

— Jedno i drugie monstualne — odparł Jan.

— Wentzel — szepnął baron — widzisz Herberta przy Lidii? Przecie skombinował, co maszynista, a co primadonna! Patrz, jak wetuje porażkę. Oho, jaki do ciebie podobny! Wąsy kręci, oczy mruży jak kot. Ani się obejrzyj, jak się zupełnie przejmie twoją rolę.

— Ja mu dam! — zamruczał gniewnie hrabia.

<sup>153</sup> *Unsinn* (niem.) — nonsens. [przypis edytorski]

<sup>154</sup> *es geht flott* (niem.) — dobrze się składa. [przypis edytorski]

<sup>155</sup> *admiraować* — podziwiać, zachwycać się. [przypis edytorski]

<sup>156</sup> *młodzież* — daw. określenie to odnosiło się wyłącznie do płci męskiej, młode kobiety nie były tu zaliczane. [przypis edytorski]

— Dajże spokój. Zrobisz awanturę, a potem pojedynek. Chcesz zarznąć barana. Wstydl! Idź no w drugą stronę i załóż się z kolegami, że Herbert ucieknie za godzinę. Będzie farsa. *Salut*<sup>157</sup>, piękna Esmeraldo!

Smagła dziewczyna wracała ze sceny, otarła się o niego, zaśmiała swawolnie, unikając uścisku. Wentzel zastąpił jej drogę, wywinęła się i jemu, rzuciła w drugą stronę — spotkała oko w oko Jana.

— *Sooo*<sup>158</sup> — rzekł przeciągle Schöneich. — Wybieraj bramę i zapłać kopytkowe, piękna gazelo! Jesteśmy jak boginie z lasku Ida<sup>159</sup>. Wybór trudny! No, no, jak ci się zdaje? Przecie jam piękny jak Wenus, ochrzczono mnie nawet: *Schön bin ich*<sup>160</sup>!

Aktorka dała mu szcztka w nos, natarła na Jana.

— *Mein Herr*<sup>161</sup>! Proszę odstąpić!

— *Mein Fräulein*<sup>162</sup>! Baron podał warunki! — odparł żartobliwie.

Nim się obejrzał, wysliznęła mu się z rąk i uciekła ze śmiechem. Schöneich pogroził jej palcem.

— Ho, ho! Patrz pan, mruga, proszę spróbować szczęścia! Tylko w ciemności ostrożnie z maszynistami!

Aktorka istotnie kiwnęła na Jana, niknąc za jakimiś skrzyniami; po chwili wahania poszedł za nią w towarzystwie Wentzla. Schöneich popatrzał za nimi.

— Z tego Wentzla skończony łotr! Ani się pochwalił ze znajomością tego ognistego kawalera. Sekret, hm, to coś podejrzanego; czuję opale w pobliżu! Fe, chłop jeszcze spłata figla i ugrzęźnie w Polsce. Dziedziczne choroby bywają najcięższe. Ho, ho, poczekaj, zadam ja ci antydotu<sup>163</sup>! niech no zaalarmuję hrabinę Aurorę albo Herberta.

Schöneich począł skubać swe rudawe faworyty — był to znak dyplomatycznego namysłu; potem wsunął się w tłok rozbawionej młodzieży i rzucając po drodze śmieszne zaczepki dożeglował do kanapy, gdzie piękny Herbert, rozwalony obok rudowłosej Lidii, szeptał zaklęcia i karmił cukierkami. Spojrzał zezem na intruza.

Ale baron bez ceremonii ulokował się z drugiej strony aktorki, na jej falbanach, i flegmatycznie zapalił cygaro.

— Tak, moi państwo — zaczął z sarkastycznym grymasem — powiem wam bajeczkę.

— Eh, nie przeszkadzaj! — burknął Herbert. — Ot, lepiej przekonaj Lidię, żem lepsza partia od Wentzla.

— Tego, mój drogi, uczynić nie mogę, bo mam was obu za złe partie! Najlepszą jestem ja.

Aktorka parsknęła śmiechem, a Schöneich mówił dalej, obserwując spod oka Jana Chrzastkowskiego i Wentzla z Esmeraldą.

— Twój hrabia, piękna Lidio, zachowuje się bez żadnych względów dla ciebie. Wiedzisz, jak mu oczy się błyszczą do Esmeraldy. To będzie gwiazda sezonu!

Zielone oczy Lidii zamigotały wściekłością.

— Będzie to zatem sezon brunetek! — syknęła.

— A twój książę Herbert, czarodziejko, zostawi cię jeszcze dziś na koszu! — szydził dalej niemiłosierny Schöneich.

— To fałsz! — zaperzył się Herbert. — Panny Lidii nie opuszczę, choćby się świat skończył! Jest moim bóstwem! Nie boję się Wentzla!

— To kwestia nie rozstrzygnięta, bo ci Wentzel zdobyczy nie odbiera. Zajęty jest swoim przyjacielem, panem Żonźoskim.

— Co? — skoczył Herbert. — A ten tu skąd się wziął?

— Przypadkiem. Bawi w Berlinie z siostrą, tą w opalach. Wentzel się nimi zajmuje.

— *Teufel*<sup>164</sup>!

— Czy oni ciebie zajmują?

<sup>157</sup> *salut* (fr.) — witaj. [przypis edytorski]

<sup>158</sup> *so* (niem.) — tak; ach tak. [przypis edytorski]

<sup>159</sup> *boginie z lasku Ida* (mit. gr.) — Hera, Atena i Afrodyta, które w lasku na górze Ida kazały Parysowi rozstrzygnąć ich spór, przyznając jednej jabłko z napisem „dla najpiękniejszej”. [przypis edytorski]

<sup>160</sup> *schön bin ich* (niem.) — dosł.: piękny jestem. [przypis edytorski]

<sup>161</sup> *mein Herr* (niem.) — mój panie. [przypis edytorski]

<sup>162</sup> *mein Fräulein* (niem.) — moja panienko. [przypis edytorski]

<sup>163</sup> *antidot* — antidotum; odtrutka, środek zaradczy przeciw czemuś. [przypis edytorski]

<sup>164</sup> *Teufel* (niem.) — diabeł. [przypis edytorski]

- Nie, ot, tak sobie! Mnie zajmuje tylko panna Lidia! — szepnęła melancholijnie.
- Pamiętajże służyć rycersko damie, bo gdy się zachwiejesz, ja ci staję za rywala.
- Żebyś lepiej poszedł sobie do diabła!
- Aha, prawda, przygniotłem falkanę, przepraszam, nie przeszkadzam.

Schöneich uklonił się bardzo nisko i gdzieś się zapodział, bo go Herbert nigdzie nie spostrzegł. Przechylił się poufale do Lidii i roztaczał obraz swych doskonałości, a jej szczęścia, gdy mu los powierzy.

Tak był zatokowany<sup>165</sup> i zachwycony sam sobą, że nie dojrzał, jak tuż za kanapą w cieniu jakiejś kulisy wysunęły się binokle barona i ruda głowa teatralnego posługacza.

Obydwał szepłali coś tajemniczo, potem sługa głową dał znak, że pojął, i zniknął. Schöneich wynurzył się jak duch z przeciwnej strony i połączył się z Wentzlem i z Polakiem. Wkoło nich zebrała się zaraz gromadka, śmiejąc się i gestykując.

Zielone, zazdrosne oczy Lidii nie schodziły z nich. Po chwili Wentzel spojrzął na nią, odłączył się od grupy i poszedł, gryząc w zębach cygaro.

— No, Herbercie! — rzekł wesoło. — Dość się bawić w kłusownika, idź na neutralne terytorium.

Aktorka rzuciła się niecierpliwie.

— Pan mi raczy oszczędzić swych impertynencji, bardzo proszę! Nie jestem niczyją zwierzyną; książę jest moim gościem.

Wentzel wzruszył lekko ramionami.

— Doprawdy? Przywiozłem tu panią mymi końmi z mego mieszkania, mieliśmy po teatrze jechać razem na kolację!

— Pojadę z księciem. Może pan sobie wziąć Esmeraldę do pary! — zawołała z furią.

— Zatem daje mi pani odpawę. Jak się podoba. Żeby tylko pani nie została bez pary!

— To mój kłopot — wygłosił Herbert, rozplywając się z powodzenia i triumfu.

Wentzel obojętnie rzucił cygaro przez głowę pyszałka w kąt między kulisy.

— Spalisz teatr! — zawołał Herbert, oglądając się.

— Więc co?? To zapłacę! Życzę państwu powodzenia.

Zawrócił się na obcasie i odszedł.

Czuła para została sama. Towarzystwo, jakby zamówione, trzymało się z daleka; muzyka głużyła gwar, aktorzy i aktorki snuli się bezustannie ze sceny i na scenę; publiczność hałasowała jak stado potępieńców, za kulisami szampan krążył coraz gęściej, podniecając humory.

Tylko Herbert gruchał i gruchał, nadymał się jak indor, rączki Lidii trzymał w gorącym uścisku, wyfryzowaną modnie głowę chylił nad nią coraz niżej, coraz poufalej.

Nie widział, że naprzeciw niego Schöneich, usadowiwszy się na jakimś koszu, naśladował jego każdy ruch, trzymając w objęciach wypchanego z pakuł bożka Bacchusa. Aktorki i młodzież<sup>166</sup> pokładali się ze śmiechu. Jan Chrzęstkowski z Wentzlem rechotali bez ceremonii, głośno.

Nareszcie ramię zdobywcy objęło wiotką kibić Lidii, usta jego wyciągnęły się do pocałunku... Wtem trzask, łoskot — i dym buchnął kłębami zza kanapy.

— *Feuer*<sup>167</sup>! — wrzasnęło sto głosów jak na komendę.

Herbert skoczył na równe nogi, zaplątał się w koronki Lidii, potknął się — upadł, porwał się i jak wariat rzucił się do drzwi.

— *Wasser! Es brennt!*<sup>168</sup> — wrzeszczał nieludzkim głosem.

Kłęby dymu tymczasem rosły, rosły, stawały się coraz czerwieniejsze, aż wreszcie tużna pąsowego bengalskiego ognia oblała kanapę, Lidie, plecy bohatera i pokrzywione od szalonego śmiechu twarze obecnych.

— *Es brennt! Es brennt!* — rozległo się po korytarzach.

<sup>165</sup>*zatokowany* — pochłonięty zalotami; od: *tokować*: z przejściem zachwalać swoje zalety i sukcesy (na podobieństwo samców niektórych gatunków ptaków w okresie godowym, które wydają charakterystyczne dźwięki i wykonują odpowiednie ruchy mające wabić samice). [przypis edytorski]

<sup>166</sup>*młodzież* — daw. określenie to odnosiło się wyłącznie do płci męskiej, młode kobiety nie były tu zaliczane. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>*feuer* (niem.) — ogień; pożar. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>*Wasser! Es brennt!* (niem.) — Wody! Pali się! [przypis edytorski]

Zrobił się zamęt. Policja, strażacy, dyrektor, służba, biegli ze wszech stron, widzowie zaczęli z wrzaskiem uciekać.

— *Was gibt's*<sup>169</sup>? *Was gibt's?* *Was brennt*<sup>170</sup>?

— *Bengalisches Feuer*<sup>171</sup> — objaśnił Wentzel prosto w ucho naczelnika straży.

Policjant starszy podniósł głos Stentora<sup>172</sup>:

— Za ten żart, moi panowie, będziecie odpowiadali przed sądem. W stolicy, w miejscu publicznym, taki zamach na spokój obywateli, trwoga, alarm, to pachnie więżą<sup>173</sup>! Kto się tego dopuścił?

Nagle przed srogim pruskim urzędnikiem wyrósł z tłumu Schöneich, ciągnąc za sobą nieszczęsny manekin Bacchusa.

Wziął go za ramiona, postawił frontem i, przykładając jego rękę do piersi wypchanej słomą, rzekł z przejęciem:

— *Der da hat's gemacht*<sup>174</sup>! *Der Schurke*<sup>175</sup>! Niech wyzna! Złapałem go na uczynku! *So ein Halunke*<sup>176</sup>!

Tu zamilkł, biorąc za ucho straszdyło, ale natomiast z gardła Bacchusa wyszedł żalony, piskliwy głosik:

— *Ich bin's! Es ist eben Karneval*<sup>177</sup>! Odsiedzę więzę w post!

Twarz policjanta skurczył śmiech — na to hasło wybuchnęli wszyscy: strażacy, służba, dyrektor — tylko Schöneich zachował spokój i zaczął targać Bacchusa, aż go rzucił do nóg policjanta, i wśród niepohamowanej wesołości otaczających biedny bożek jękał, łkając:

— Już nigdy nie naruszę spokoju obywatelskiego, darujcie mi ten jeden raz! Byłem pijany! To Sylen winien, to nie ja! Ach, nie zamykajcie do więzy!

Policjant ocierał oczy czerwonym fularzem<sup>178</sup>, kopiąc nogami niewinny manekin, cofnął się do drzwi i uciekł, widząc, że na karnawał nie było lekarstwa; za nim wycofali się podwładni.

Ogień bengalski zgasł od dawna. Lidia sama siedziała na kanapie, szarpiąc koronki i płacząc ze złości. Nie zapomniał i o niej Schöneich. Podjął bałwana, majestatycznie podszedł do niej i posadził u jej nóg.

— Jest to jedyny zbywający kawaler. Wolny i niepodległy jak pani! — rzekł w głębokim ukłonie.

Wentzel nie widział tej sceny, bo klepał protekcyjnie po ramieniu dyrektora, drugą ręką tkając mu garść przekonywających argumentów. Muzyka ucichła, damy ubierały się śpiesznie, ruszono do odwrotu.

— Na kolację! Na kolację! — wołano.

Powoli opróżniła się sala. Został hrabia, Jan, Esmeralda, Ella Schwan, Schöneich i Lidia zemdlona na kanapie. Ostatni żart dobił ją. Pierwszy aktor całej farsy, Bacchus, leżał na ziemi z rozkrzyżowanymi ramionami, z uśmiechem pijanego zadowolenia na teksturowej twarzy. Baron wezwał przyjaciela.

— Ocuć ją, słyszysz, Wentzel! Obiecuj jej riwierę diamentową<sup>179</sup> czy coś równie ożywczego. Niech otworzy oczy, bo ci zostanie bałwan za damę. Ja służę Elli, pan Żonźoski Esmeraldzie. Chyba weźmiesz maszynistę w braku towarzyszki.

— Idźcie naprzód, panowie. Dopędzę was na dole — uspokajał Croy-Dülmen.

Nie wiadomo, jakich użył argumentów, ale nim siedli do powozów, zjawił się, prowadząc pod rękę Lidie, uśmiechniętą, różową, z błyszczącymi oczami.

<sup>169</sup>*was gibt's* — co się dzieje. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>*was brennt*. (niem.) — co się pali. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>*bengalisches Feuer* (niem.) — ogień bengalskie; sztuczne ognie. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>*głos Stentora* — bardzo donośny głos; od imienia Stentora, jednego z bohaterów *Iliady*, herolda w wojsku gr., słynącego z mocnego głosu, nazwanego w eposie „miedzianym” i mającego siłę równą głosom pięćdziesięciu innych mężczyzn. [przypis edytorski]

<sup>173</sup>*więża* — tu: więzienie. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>*der da hat's gemacht* (niem.) — ten tu to zrobił. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>*der Schurke* (niem.) — łotr, łajdak, szuja. [przypis edytorski]

<sup>176</sup>*so ein Halunke* (niem.) — taki to łajdak. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>*Ich bin's! Es ist eben Karneval!* (niem.) — To ja [zrobiłem]! To jest właśnie karnawał! [przypis edytorski]

<sup>178</sup>*fular* — chusta z miękkiego, delikatnego jedwabiu, wiązana wokół szyi; element daw. stroju męskiego. [przypis edytorski]

<sup>179</sup>*riwiera diamentowa* — kolia diamentowa; od nazwy formy ukształtowania terenów nadbrzeżnych charakterystycznej dla krajów śródziemnomorskich: *riwiery*, tj. wybrzeża osłoniętego pasmem gór. [przypis edytorski]

Taki był wstęp Jana na berliński karnawał.

Co dalej nastąpiło, pozostało mu mglistym wspomnieniem śmiechu, hulanki, toa-  
stów, śpiewów; zdawało mu się nawet, że kogoś pocałował, ale ponieważ był niezupełnie  
trzeźwy, więc nie mógł zaręczyć, kto to był: Esmeralda, Schöneich czy maszynista. W re-  
zultacie zbudził się nazajutrz po południu w gabinecie Wentzla.

Hrabia już się ubierał, a raczej ubierało go trzech lokajów i fryzjer.

Zaczęli przypominać farsy wieczorne i śmiali się jak szaleni, aż nagle hrabia uderzył  
się w czoło.

— Aha, a interes babki! — zawołał.

— Wcale nie karnawałowej treści — odparł Jan markotnie. — Aż mnie ochota od-  
chodzi wyłuszczać go. Może pan już zapomniał o Mariampolu!

— Chciałbym! — mruknął Croy-Dülmen niewyraźnie. — Jest może list do mnie?  
— dodał głośniejsze.

— Pani Tekla powiedziała, że prędzej jej ręka uschnie, niż do Niemca napisze. Zna ją  
pan. Przy tym była okropnie gniewna.

— Cóż się stało?

— At, tegom się dawno spodziewał. Głębocki sprzedaje majątek. Wie pan, ten pan,  
co to był.

— Wiem, narzeczony pańskiej siostry.

— Właśnie. Zrzućmy go konie i zbyt kowne budowle. Pan tego nie rozumie, jak  
w gospodarstwie trzeba być wyrachowanym, nie pozwalać sobie na żadne fantazje. Adam  
handlował końmi, zawsze ze stratą, i murował do końca: tak przyszło i do zguby. Do tego  
nasze nieszczęsne warunki... At, co tam opowiadać! Bieda — i koniec!

— Przecie mi pan mówił, że posąg panny Jadwigi miał ratować fundusz.

— Et! Tej Jadzi nikt nie rozumie... Zresztą ten głupi Głębocki stracił resztę otuchy  
i energii. Zachorował ze zgrzyoty. Odwiedziłem go. Ażem się zląkł, tak się zestarzał. —  
„Co ci?” — pytam. — „Zabiorą Niemcy Strugę!” — jęczy. — „To nie daj zabrać, czyś  
baba?” — „Ba, kiedy nie sposób ratować: długi prywatne i bankowe, i procesy!”.

Jan aż się zzymnął, potarł desperacko swą najeżoną czuprynę; hrabia usiadł obok niego  
i słuchał uważnie.

— Otóż — mówił dalej Chrzęstkowski — wróciwszy napadłem na Jadzię: „Słuchaj,  
dziewczyno, ratuj ukochanego, bierzcie się, ślubujcie piękne rzeczy i płacicie długi!”. Myśli  
pan, co się stało?

— Rozgniewała się!

— Żebyż! Wiedziałbym przecie, co myśli; ale ona popatrzyła na mnie jak na idiotę  
i wyszła z pokoju. Ani słowa! Ot, jak to drewno! Desperacja! Uderzyłem po ratunek  
do babki. Aj, aj, aj! Szatan mi to doradził, bom podobnej awantury, jakem żyw, nie  
widział. Furia pani Tekli nie da się opisać. Posłałem po Głębockiego pięciu posłańców,  
a nim przybył, cierpiełem najniewinniej za wszystkich Niemców na ziemi! Dostało się tego  
Głębockiemu, ale ratunku i pani Tekla nie umiała znaleźć. Nawymyślała mu i wypędziła.  
W nocy przyszło jej szczególne natchnienie: kazała mnie zbudzić o świcie: myślałem, że  
się rozchorowała ze złości, i oto com usłyszał: „Ruszaj mi zaraz do Berlina i przywieź ze  
sobą hrabiego Croy-Dülmen. Powiedz mu ode mnie, że jeśli nie posłucha, to popamięta  
Teklę Ostrowską!”.

Wentzel się śmiał z całego serca. Widocznie polecenie zrobiło mu ogromną przyjem-  
ność.

— Cóż pan na to? — zagadnął Jan.

— Jadę dzisiaj, za godzinę! Boję się strasznie babki!

— A karnawał! Zanudzi się pan u nas.

— No, przecież i u was się bawią. Pan mnie zapozna z sąsiadami, a może panna  
Jadwiga ofiaruje walca.

— Oj, nasze bale! Po wczorajszym nie zachwyca nikogo.

— Widzę, że pan połknął haczyk Esmeraldy. No, ta nam nie uciecze.

— A bura pani Tekli nie minie! — westchnął Jan. — Straciłem pięć dni zamiast  
dwóch! Oj, ten karnawał!

— Pokusa! — zaśmiał się Wentzel. — Tymczasem dwie godziny czasu do wyjazdu.  
Ciekawym, gdzie to Urban...

— Na ślizgawce — objaśnił Jan i opowiedział spotkanie z lokajem.  
— Małpa — zdecydował chlebowadca łyżwiarza. — Ja go nauczę moresu! Hej, August! Dostawić mi tu Urbana, skąd chcesz, prędko!

W pół godziny *factotum* zjawilo się pokornie, milczące, sztywne, w swym czarnym fraku.

Westchnął w duchu na rozkaz pakowania, ale się ze zdaniem nie ośmielił i ruszył na kolej. Po godzinie nie było Wentzla w stolicy. Schöneich zasnął tego dnia — po śniadaniu kazał się wieźć do przyjaciela. Widmo Polski nie dawało mu spokoju.

— Pan hrabia wyjechał — oznajmił mu szwajcar.

— Co? Gdzie? Z kim?

— Z jakimś młodym, nieznanym panem. Do Poznania, z kuframi.

Schöneich zagwizdał przeciągle.

— *Entwisch!*<sup>180</sup> Żle! Trzeba wziąć hrabinę do pomocy! *Es wird zu arg!*<sup>181</sup>

Po chwili meldował się w pałacu hrabiny Aurory. Na głowę Wentzla zbierały się gromy najsrozsze, bo z rąk kobiecych. A on ich ani przeczuwał!

## VIII

Innym się wydał Poznań Wentzlowi. Za pierwszą bytnością zieleńły się łąki, złościły pola — teraz śnieg pokrył całą krainę, życie zamarło.

Pod Braniszczem zadymka ich opadła, poczta nie chciała jechać.

Hrabiego tymczasem, im dalej od Berlina, ogarniała coraz mocniejsza gorączka i niebywałe rozdrażnienie. Wpadł jak furia na poczthaltera.

Był to ów, wedle Urbana, jedyny cywilizowany człowiek i rodowity Prusak.

— *Spitzbube!*<sup>182</sup> *Schurke, Lump!*<sup>183</sup> — posypało się na niego z ust kompatrioty<sup>184</sup>, ku wielkiej uciezce Jana i służby pocztowej.

Znalazły się natychmiast konie i sanki, gdy wtem przybiegł Żyd faktor<sup>185</sup>.

— Wielmożna pani z Mariampola przysłała konie — oznajmił — oni tu już jeżdżą od trzech dni.

— Oj, oj — mruknął Jan. — To jej wcale humoru nie poprawi. Niech zajeżdżają.

Ruszyli lotną czwórka siwoszów w noc, w zawieję, bez drogi. Urbana zostawiono na pociechę poczthaltera.

— Zmarzniesz, hrabio — mówił Jan patrząc z trwogą na miejskie palto Wentzla i jego malutką bobrową czapczkę, wsadzoną z fantazją na prawe ucho.

— Jeszcze mi nierychło krew zastygnie. Mam ochotę żywcem ujrzyć panią Teklę i powalcować z Polką. *À propos*<sup>186</sup>, czy z pana plotkarz, panie Janie?

— Albo co?

— Te berlińskie saturnalia<sup>187</sup> nie dla uszu dam z Mariampola. Kolegi się nie zdradza!

— Czy się boisz, hrabio, babuni? — żartował Polak.

— Przyznam, że więcej pana siostry. Żebyś pan wiedział, jak mnie spytała o Biarritz kiedyś latem. *O Je!* Spiekłem raka jak student. Te wasze damy z ich powagą Sybilli diabelnie imponują.

— Cóż pan splątał tak straszego w Biarritz?

— Ot, zjechaliśmy się wypadkiem z hrabiną Aurorą, moją starą znajomą... i... i... była hrabina z Poznania. Eh, plotka! Nie lubię rumienić się przed panienką. Niech pan milczy o Lidii.

— Dobrze, dobrze! Jadzia nie ciekawa, nie spyta. Zresztą i ja bym dostał mycie głowy za kulisy. Brrr! Jak zimno! Popędzaj, Maciej! A nie błądzim?

— Uchowaj Boże, proszę łaski pana — odparł wąsaty Mazur.

<sup>180</sup>*entwisch* (niem.) — uciekł, czmychnął. [przypis edytorski]

<sup>181</sup>*es wird zu arg* (niem.) — będzie źle. [przypis edytorski]

<sup>182</sup>*Spitzbube* (niem.) — szelma, hultaj, łotr. [przypis edytorski]

<sup>183</sup>*Schurke, Lump* (niem.) — łotr, szmaciarz. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>*kompatriota* — rodak. [przypis edytorski]

<sup>185</sup>*faktor* (daw.) — pośrednik. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>*à propos* (fr.) — w związku z tym, nawiasem mówiąc. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>*saturnalia* — tu przen., żart.: huczne zabawy karnawałowe; w staroż. Rzymie uroczystości ku czci Saturna, obchodzone po zakończeniu prac polowych, połączone z zabawami ludowymi. [przypis edytorski]



Śnieg zasypywał oczy. Wyglądali jak bałwany białe, wicher przejmował do kości.

Pomimo to Wentzel gwizdał coraz to nowe aryjki z operetek i sypał jak z rękawa anegdoty.

Dziwna radość przejmowała mu duszę. Nie była to miłość dla pięknej Jadwigi, ale zadowolenie próżności i triumf. Babka wzywała go sama. Po co? Kto wie, może powie: kupuj Strugę i żeń się — z kim? Łatwo się domyślić.

A może panna Jadwiga tęskniła za nim... To wezwanie było z jej inicjatywy? Zdawało mu się to zupełnie naturalnym. Tysiąc razy się zdarzało. Przy tym wioził do Mariampola niespodziankę. Z tego sekretu nie pochwalił się ani przed baronem, ani przed Janem, przed nikim.

Miało to być ostateczne *coup du théâtre*<sup>188</sup>.

Z głową napchaną podobnymi myślami nie czuł mrozu, droga mu się dłużyła nieskończenie.

— Gdzież ten Mariampol bogi odniosły? Jedziemy chyba na koniec świata — zauważył po raz setny.

Jan wstał w saniach, rozejrzał się uważnie.

— Za kwadrans staniemy na miejscu — pocieszał.

Zmrok zapadał, dzień zimowy robił się coraz posępniejszy.

— Ot i Męka Pańska<sup>189</sup>! — oznajmił furman rozwijając sążnisty bat i zbierając silniej lejce.

Wysada zamajaczyła jak rząd olbrzymich grenadierów u wnijsia<sup>190</sup> do królewskiej rezydencji; wpadli w bramę przez okropne zasy; siwosze, parskając radośnie, zaryły się pod gankiem.

— Do oficyny, Maciej! Do oficyny! — krzyczał Jan; ale na odgłos dzwoneczka i walenia z bata w domu zajaśniały światła, stary Walenty ukazał się w progu.

— Pani każe prosić — rzekł — właśnie piją herbatę.

Młodzi ludzie wysiedli i spoważnieli jak na komendę.

— Teraz bomba pęknie — szepnął Jan, rozbierając się szybko i trąc skostniałe dłonie.

Wentzel uśmiechnął się zagadkowo.

— Chodźmy śmiało.

W jadalni pani Tekla z Jadzią siedziały jak wtedy, same; ale obeszło się tym razem bez rekomendacji. Niemiec poszedł prosto do ręki babki, ucałował ją i wyrzekł powoli, z nadzwyczajnym wysiłkiem pamięci:

— Jestem na rozkazy babuni!

Staruszka aż podskoczyła z podziwu.

— Co? Jak? Kto ciebie nauczył po polsku? Fe, źle wymawiasz! No, no, ale powtórz.

— Co, hrabio? — wołał Jan. — Umiesz po naszymu i torturujesz mnie tyle dni niemiecką mową... to kryminał!

— Nauczyłem się trochę — odparł Wentzel wesoło — żeby mieć prawo obywatelstwa w Mariampolu.

— Szpetnie mówisz, okropnie! — wyrzekła pani Tekla.

— Może babunia woli po francusku?

— Nie, nie! Gadaj, jak umiesz. Cóż robić?

Panna Jadwiga powitała tymczasem brata serdecznym uśmiechem i uściskiem: na ukłon hrabiego odpowiedziała chłodnym pochyleniem głowy.

Ani wzruszenia, ani radości, ani nawet najmniejszego wrażenia.

Walenty podał im herbatę i zakąski — usiedli na końcu stołu.

— Zmizerniałeś, Jasiu — ozwała się panienka, bystro patrząc w szczerze oczy chłopaka.

— Co? Zmizerniał? Czemu? Może chorowałeś? — wmieszała się żywo staruszka, spoglądając na wychowańca.

Biedny Jan pod ogniem tych krytycznych oczu spłonął rumieńcem jak panienka, wnrzył nos w filiżankę.

— Broń Boże! Byłem zdrow zupełnie. To podróż...

<sup>188</sup>*coup du théâtre* właśc. *coup de théâtre* (fr.) — dosł. cios (sztych) teatralny; przen. nagle a. nieoczekiwane zdarzenie w sztuce, teatralny trik dający dramatyczny efekt. [przypis edytorski]

<sup>189</sup>*Męka Pańska* — tu: przydrożna kapliczka a. figura Jezusa Chrystusa na krzyżu. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>*wnijsia* (daw.) — wejście. [przypis edytorski]

— Cóżes robił cały tydzień w tym szwabskim gnieździe? Można było zajechać do Chin. Miałam kogo posyłać<sup>191</sup>. Jesteś i będziesz rozhukanym błaznem.

Tu Wentzel wmieszał się swą łamaną polszczyzną:

— Pan Jan nie mógł się ze mną spotkać. Rozmijaliśmy się ciągle. Teraz karnawał...

— Karnawał! Czy nie wstyd, żeby dorośli zajmowali się takimi rzeczami. Ale co się po Szwabach można dobrego spodziewać! No, jedzcie. Walenty, daj panom nalewki. Zmarzli! Jadziu, każ przynieść temu Niemcowi piwa do kolacji.

— Dziękuję! Nigdy piwa nie pijam! — zawołał, kłaniając się młodej gospodyni.

— Osobliwość! — zamruczała pani Tekla.

Oczy jej ukradkiem zerknęły na wnuka, korzystając, że wszyscy byli zajęci jedzeniem.

Jan, zaspokoiwszy głód i stłumiwszy pomieszanie, zwrócił się do siostry:

— Jadziu, przywiozłem ci z Berlina piękny prezent za trudy poniesione w moim zastępstwie przy gospodarce. Cóż działałaś, siostrzyczko?

— Odprawiłam pisarza w Olszance.

— Oho! Tak energicznie! Po siedmiu latach służby!

— To ci bynajmniej honoru nie czyni tyle lat dać się okradać!

— Co? Piasecki złodziej? Eh! Ktoś ci plotkę doniósł.

— Ciekawam<sup>192</sup> kto i jak mógł mi donieść, kiedy ty sam nazywaasz mnie głuchoniemą! — odparła podnosząc brwi. — Przecie, żebym lubiła mówić, a choćby słuchać, rozmawiałabym z tobą.

— Więc ja ci mówię, że Piasecki złodziej — zawołała pani Tekla. — Już bo ty jesteś dobroci i łatwowierności anielskiej. Służba cała ubóstwia ciebie, bo ją rozpieszczasz, tolerujesz usterki, darowujesz najgorsze winy. Pewnie spostrzegłeś od dawna fałsze w rachunkach Piaseckiego i pozwalałeś się okradać.

— At, jakieś tam kilka korców<sup>193</sup> pośladu<sup>194</sup>. Biedak ma żonę...

— Aha, ładną Marcelkę! — zaperzyła się pani Tekla i chciała coś dodać, ale panna Jadwiga rzuciła jej proszące spojrzenie, więc tylko pogroziła palcem Janowi.

— Jak babunię szanuję, takim nawet nie wiedział jej imienia — tłumaczył się chłopak — alem rzeczywiście tolerował ten drobiazg Piaseckiemu.

— Trzeba było oznajmić mi tę tolerancję wyjeżdżając — rzekła Jadzia.

— Złapałaś go na gorącym uczynku?

— A jakże! — odpowiedziała za nią pani Tekla. — Pojechała w nocy z tutejszym rządcą do Olszanki i zastała dwie fury pod magazynem. Był to brat i szwagier pięknej Marcelki ze zdobyczą.

— To trochę za dużo! — wtrącił Jan.

— Zdaje się! Jadzia zażądała księgi i wzięła klucze. Nazajutrz przy sobie kazała odmierzyć zboże i znalazła wedle rachunków dużą superatę<sup>195</sup> ziarna.

— Miałaś niemały kłopot, Jadziuniu.

— Dwa dni tylko — odparła spokojnie.

— Więcej nieszczęść nie było?

— Owszem: fornał złamał nogę na lodzie, ale sądzę, że się wygoi. Doktor przyjeżdża co dzień.

— A ty go pewnie sama opatrujesz?

Nie było odpowiedzi. Zamyśliła się, przypominając wypadki tygodnia i dodała:

— Zresztą nic więcej. Na listy w interesach odpisałam, zobaczysz w biurze.

Wentzel słuchał i patrzył. Dziewczyzna ta była kontrastem wszystkich, które znał i kochał kiedykolwiek. Jego urok, porywający kobiety, na niej jednej nie robił żadnego wrażenia. Nie spojrziała nawet na niego.

— No, no, ja ręczę, że Jadzia dobrze gospodarowała — pochwaliła kogoś po raz pierwszy pani Tekla. — Możesz jej dać prezent. Pewnie coś niedorzecznego.

<sup>191</sup> *miałam kogo posyłać* — dziś raczej: (...) kogoś posyłać. [przypis edytorski]

<sup>192</sup> *ciekawam* — skrócone od: ciekawa jestem. [przypis edytorski]

<sup>193</sup> *korzec* — daw. jednostka objętości towarów sypkich; korzec dzielił się na 32 garnce i wynosił ok. 120 l. [przypis edytorski]

<sup>194</sup> *pośląd* — ziarno zbóż gorszego gatunku używane jako pasza. [przypis edytorski]

<sup>195</sup> *superata* — nadwyżka w kasie; sytuacja, kiedy utarg jest wyższy, niż wskazuje ewidencja sprzedanych towarów; oznacza to, że ilość towarów uległa zmniejszeniu bez zarejestrowanej sprzedaży; sytuacja przeciwna nosi nazwę *manko*. [przypis edytorski]

— Przeciwnie, coś bardzo stosownego. Masz, siostrzyczko.  
 Staruszka zajrzała przez stół.  
 — Pierścione! Nonsens! Wiesz, że ona tego nigdy nie nosi.  
 — Powinna się przyzwyczaić do obrączki — wygłosił patetycznie Jan.  
 Panna Jadwiga wzięła do rąk śliczne cacko z turkusem, zmierzyła na palec.  
 — Mogłabym go chyba włożyć na pierwszy — rzekła z uśmiechem.  
 — Fe! — oburzyła się pani Tekla. — Wiesz, że po tym poznaje się głupców. Chociaż robisz istotne głupstwo!  
 Jan wybuchnął śmiechem.  
 — Babuniu, niech zrobi choć jedno w życiu. Nie będzie mi tak rozumem imponować.  
 Ciemne, niezbadane oczy Jadzi podniosły się powoli na brata, na jasną skroń wybiegł nieznaczny rumieniec.  
 — Mogę ci zaręczyć, że zrobię głupstwo, i to olbrzymie — odparła z widocznym rozdrażnieniem. — Za prezent dziękuję.  
 Przychyliła się do niego wdzięcznym ruchem i pocałowała w czoło.  
 Wentzel zajadłe targał wąsy. Delikatność nie pozwalała mu mieszać się do tej rodzinnej dysputy. Dałby jednak dużo za ten pocałunek. Miał przecie na czole pamiętną szramę z jej winy.  
 — Kto cię nauczył po polsku? — zainterpelowała pani Tekla wnuka. — Musiał to być nie lada osioł!  
 — Była to żona mego plenipotenty, Polka.  
 — Pewnie gadaliście o amorach?  
 — Skąd to przypuszczenie? Przecież nie popisywałem się odmianą słowa „kochać”.  
 Czy babunia myśli, że to by szło gładziej?  
 — Et, bredzisz. A czytać umiesz?  
 — Mogę zastąpić pannę Jadwigę w głośnym czytaniu.  
 — Dziękuję, ślicznie bym wyszła! Nieprawdaż, Jadziu?  
 — Nie wiem, babciu. Sądząc z rozmowy, pan hrabia jest bardzo zdolny do języków.  
 Mówi poprawnie.  
 — Oho, oho! Co ty możesz wiedzieć o tym! Chociażby mówił jak ty, to jeszcze źle. Prusacy wam zupełnie mowę skaleczyli. Za mojej młodości chłop lepiej umiał po polsku niż wy wszyscy teraz.  
 Wszyscy znieśli pokornie krytykę. Wentzel odważył się pierwszy odezwać:  
 — Pani Sperling rada była ze mnie...  
 — Głupia jest twoja pani Sperkel czy jak tam! — zaperzyła się babka. — Jeżeli co umiesz, to zasługa twojej matki, że ci dała delikatne polskie gardło, dlatego niby coś pojąłeś z naszych twardych brzmień. Ale jeśli to ma być podobne do ludzkiego języka, to pianie koguta podobne do śpiewu słowika. No, kończcie kolację beze mnie, a ty, Jadziu, poprawiaj to szwabskie bredzenie.  
 Podreptała w głąb domu.  
 — Czy pozwalasz, Jadziu, palić? — spytał Jan.  
 — Proszę — odparła wstając.  
 — Ale ty nie zmykaj. Cały tydzień cię nie widziałem. Niech się przypatrzę i nacieszę.  
 — Istotnie, rozrzewniająca czułość! Tęsknota po mnie wygląda ci z twarzy. Jakżeś się bawił w Berlinie?  
 — Wcale nie.  
 — Chcę wierzyć — uśmiechnęła się ironicznie. — Przez cały tydzień zwiedzałeś galerie obrazów i Tiergarten<sup>196</sup>.  
 — Pan Jan szukał mnie trzy dzień — przyszedł Wentzel z pomocą koleźce.  
 — Trzy dni — poprawiła, nie podnosząc dalej kwestii.  
 — A ty nie balowałaś? — zagadnął Jan.  
 — Nie miałam czasu. Ale *à propos*, Cesia Źdzarska była tu wczoraj. W środę urządzają kulig do Siewnicy od nich. Zapraszała nas.  
 — A Głębocki odwiedzał ciebie?

<sup>196</sup> *Tiergarten* (niem.) — ogród zoologiczny; tu: nazwa rozległego parku w centralnej części Berlina. [przypis edytorski]

— Był.  
 — Ileż zagraлиście partii w domino?  
 — Czy ci ta wiadomość potrzebna do statystyki?  
 — Ach, Boże! Co za gorzka niewdzięczność! Chciałem ci zrobić przyjemność, przypomnieć miłe chwile sam na sam.  
 — Posiadam dobrą pamięć. Przypomnienie zbyteczne.  
 — No cóż, jedziesz na kulig?  
 — Do środy daleko.  
 — Czy ty nie robisz planów na przyszłość?  
 — Co do kuligów — nie.  
 Wentzel zrobił w duchu uwagę, że dziewczyna ta pobijałaby Schöneicha w grze na słowa.  
 — Byłem w teatrze w Berlinie — opowiadał Jan, zaciągając się tytoniem — dawali jakiś straszny dramat, było pełno trupów.  
 — Tytułu nie pamiętasz?  
 — Zapomniałem: *Hamlet* czy *Otello*.  
 — Dwie rzeczy nadzwyczaj do siebie podobne! — zaśmiał się Wentzel, a Jan wtórował z całego serca rad, że rozchmurzy nawet poważne usta siostry.  
 Wtem w sali rozległy się drobne kroczyki staruszki.  
 — Fe! — gderała już z daleka. — Co tu dymu! Ale ładnie pachnie.  
 Wetknęła głowę przez drzwi.  
 — Czy to pan hrabia myśli, że tu przyjechał opowiadać brednie i śmiać się z tym pustakiem? Bardzo proszę, mam interes.  
 — Służę babuni! — zawołał zrywając się żywo.  
 — Pierwej słuchaj, a potem służby ofiaruj. Otóż tak jest... Jadziu, jeżeli się zawstydzisz, to nic, bo to prawda i koniec. Tu niedaleko mieszka okropny niedołęga, Głębocki.  
 — Jadziu, spuść oczy — szepnął konfidencjonalnie Jan.  
 — Cicho! Co się mieszasz i przerywasz! Otóż ten safandula traci majątek samochcąc, śliczne złote jabłko. To się stać nie powinno. Otóż, co ci miałam powiedzieć. Jeżeli ty, hrabio, pozwolisz, żeby obrzydliwy Szwab kupił choć piędź ziemi u Głębockiego, to ja, twoja babka, własnoręcznie dam ci trzydzieści różeg na kobiercu!  
 Na ten finał Jan parsknął śmiechem. Wentzel odstąpił mimo woli o krok, Jadwiga zniknęła z pokoju — może i ją śmiech ogarnął.  
 I po tę miłą obietnicę gnał Croy-Dülmen z Berlina na złamanie karku! Chwilę stał ogłupiały, ale wnet — czy go zarazili śmiech Jana i istotnie ubawiła perspektywa różeg — wybuchnął i on sam szaloną wesołością.  
 — Wszystko zrobię, by tego uniknąć. Gotówem<sup>197</sup> nawet kupić Strugę, ale...  
 — Ale cóż? Nie masz pieniędzy?  
 — Oj, starczyłoby na trzy powiaty. Ale w takim razie dostanę sześćdziesiąt różeg.  
 — Co to za kpiny! — oburzyła się.  
 — Zupełnie serio. Dostanę za to, że nie obroniłem od Niemców, a drugą dozę jako nabywca Szwab.  
 — Jak to Szwab? Moja Jadwinia... Ale to może i prawda... Szwab! Niemczura! Prusak! Croy-Dülmen! Pfe! — zatrzepała rękami ze wstrętem, obróciła się żywo i pobięła do siebie.  
 Jan siadł trzymając się za boki ze śmiechu.  
 — Zabieś, hrabio, tęgiego klina. Nie zamknie oka noc całą. Zawoła pewnie Jadzię do rady.  
 — Panna Jadwiga ją do reszty na mnie zbuntuje.  
 — Broń Boże! Przecież, jeśli pańską pomoc usunie, to ją pani Tekla gwałtem zapędzi do ołtarza pomimo swej antypatii do Głębockiego. To są dwie jedyne drogi wyjścia. *Aut* — *aut*<sup>198</sup>! Babunia pewnie przenosi polską ziemię nad Jadzię, choć ją niby ubóstwia jedną, i gotowa spalić biedną dziewczynę za jednego morga, nie tylko dla kilku tysięcy. Oho, znam ją. Niech no co weźmie do głowy, to nie da tchnąć, aż dopnie. Jadzia się ani obejrzy, jak ją odstawią z posagiem do Strugi.

<sup>197</sup>gotówem — skrócone od: gotów jestem. [przypis edytorski]

<sup>198</sup>aut (łac.) — albo. [przypis edytorski]

— Przecież to się stanie prędzej czy później.

— No, nic nie wiem. Moje panie okrzyczyły mnie mazgajem i błaznem, więc się boję ze zdaniem wystąpić; ale widzi mi się, że papiery Adama spadły. Ta Jadzia to istny sfinks. Niechże radzą! Chodźmy do oficyny. Oczy mi się kleją.

Nazajutrz, ledwie świt, Walenty spadł do mieszkania młodych ludzi — zbudził hrabiego.

— Pani prosi zaraz do siebie.

Croy-Dülmen porwał się jak na alarm, ale ledwie zrozumiał, o co chodzi, gdy przybiegł chłopiec kredensowy.

— Jasna pani kazała, coby pan graf zara<sup>199</sup> szedł.

— Idę, idę!

Ubierał się z gorączkowym pośpiechem.

— Jak to dobrze, że ja nie mam pieniędzy... mogę spać spokojnie — mrucał Jan spod koldry.

W tej chwili zjawił się ogrodniczek.

— Jasna pani kazała jasnemu grafowi oznajmić, że czekają — zawołał zdyszany.

— Różgi gotowe! — śmiał się Chrząstkowski.

Wentzel wyszedł jak stał — w lakierkach i eleganckim tużurku — na śnieg; krawat zapinał w drodze.

Nie było go dobre trzy kwadranse, nareszcie wrócił.

— Po egzekucji? — spytał Jan.

— Nie; uniknąłem szczęśliwie bastonady<sup>200</sup>. Pozwolono mi łaskawie nabyć Strugę.

— Pan pewnie zły na siebie za podany projekt.

— Wcale nie. Jeden majątek więcej cóż mi może zaszkodzić? Będę pańskim sąsiadem. Dzisiaj pojedę do Głębockiego i dobijemy targu.

Jan nic nie odpowiedział i coś sumował.

— To milczenie jest mocno antygermańskie — zauważył Croy-Dülmen, zaczynając z gruntu tualetę.

— Broń Boże... Przecie pan nie posądza mnie o szowinizm pani Tekli. Niemców gatunkuję na różne kategorie. Nie jest pan ani urzędnikiem, ani policjantem, ani aferzystą na naszą krwawicę, ale arystokratą i człowiekiem dobrze wychowanym. Sąsiedztwo pańskie zaś nie zbliży mnie z wami, chyba z rządcą i plenipotentem. Nie zakopie się pan na wsi, tym bardziej u nas, Polaków. Milczałem, bom myślał, czy powiedzieć coś panu.

— *Grad heraus*<sup>201</sup>! Słucham.

— Czy ma pan ochotę kupić Strugę, rzetelną ochotę? Czy pan woli wykręcić się słomą z tej alternatywy?

— Mam szczerą ochotę.

— No, to nie jedź, hrabio, do Adama.

— A to dlaczego?

— Bo on tobie, hrabio, Strugi nie sprzeda.

— Z jakiego powodu?

— Bo ciebie cierpieć nie może.

— On, mnie! Racja?

— Kto z niego rację dobędzie! Ale ja znam go dobrze. Jestem tego pewny.

— To jednak szczególnie! — zamruczał Wentzel.

— Otóż, com chciał rzec. Na hasło waszego imienia odda majątek tamtym, co dość już dawno targują. Zapomniałem nazwiska.

— Dam drożej.

— I oni już dają bajeczną cenę. Głębocki myśli, że chyba zwąchali gdzie naftę czy węgiel. Uwzięli się na niego. Majątek dobry, nad rzeką, można trzymać stadninę i bydła co niemiara, ale takiej masy pieniędzy niewart nigdy.

— Któż to go targuje? Nie przypomina pan sobie? — zagadnął żywo Niemiec, przestając się nagle ubierać.

<sup>199</sup>zara (gw.) — zaraz. [przypis edytorski]

<sup>200</sup>bastonada — kara cielesna. [przypis edytorski]

<sup>201</sup>Grad heraus (niem.) — tu: bez ogródek, prosto z mostu. [przypis edytorski]

— Pan... pan... Nawet z tytułem i *von*! Do diaska z tymi nazwiskami!

— Z tytułem? Aha! Może książe F.?

— To, to, to! A pan jakim cudem zgadł?

— Słyszałem coś o tym — uśmiechnął się dziwnie — no, i znam nabywcę, i pan go zna.

— Ja? — rzekł przeciągle Chrząstkowski.

— Przecie pan pamięta bohatera farsy Schöneicha...

— Bacchusa! — zaśmiał się.

— Nie, pięknego Herberta!... No, to on jest księciem F.

— A do tego co przystąpiło?

— Oczy pańskiej siostry w Ems. Postanowił ją zdobyć.

— Cha, cha, cha! Prawda! Snuł się za mymi paniami jakiś facet ku okropnemu oburzeniu pani Ostrowskiej. Mówiła, że raz go złażała po polsku, a potem dla lepszego zrozumienia po francusku. Cha, cha! To wyśmienite! Muszę powiedzieć to Jadzi i Głębockiemu. Pewnie z plenipotentem rywała więcej gadać nie zechce. To dopiero nafta i węgiel! Cha, cha! Eksplozja! Czy ci ludzie pofiksowali? A ta Jadzia? Co oni w niej widzą? Dla tej lodowej bryły płacić za Strugę w trójnasób! Ten książe pięknie by wyszedł! Produkcyjne ulokowanie kapitałów i serca! Nie ma co!

— Oziębłość jest najniebezpieczniejszą kokieteryą — wtrącił Croy-Dülmen. — Pan nie zna Niemek. Po nich siostra pańska — to antypody... Może głowę zawrócić, do szaleństwa popchnąć.

Jan wytknął spod kołdry głowę, popatrzył bystro na mówiącego i znów ją schował.

— Nigdy tego nie pojmę. Ideałem kobiety jest dla mnie Cesia Zdżarska — zamruczał.

— Czy to przyjaciółka panny Jadwigi?

— A coś w tym rodzaju. Koleżanka z pensji... Także antypody. Choć sądzę, że do Niemek niepodobna. Poznasz ją, hrabio, na kuligu, bo przecie spędzimy razem ostatki karnawału.

— Naturalnie. Nie wyjadę inaczej jak właścicielem Strugi.

— W takim razie zdaj pan na mnie ten interes. Już ja dam radę Adamowi.

— Dziękuję serdecznie za pomoc i życzliwość.

— Ach, drobiazg! Czy pan już gotów? Niech nam dają śniadanie. Zaraz poślę po Urbana, a po obiedzie ten obraz Toggenburga<sup>202</sup>.

Wedle programu Wentzel został na resztę dnia z damami.

Pani Tekla robiła wełniane kaftaniki dla dzieci z ochronki; panna Jadwiga, mało mieszając się do rozmowy, poprawiała piśmienne zadania swych uczennic.

Hrabia, wśród ciągłej krytyki i gderania, opowiadał swe życie.

Nic jej się nie podobało: że przeszedł gimnazjum, źle, że skończył kurs prawa — niepotrzebnie, że wstąpił do wojska — głupio.

Nareszcie przyszedł najcięższy obrachunek — terażniejszości.

— No, a teraz co porabiasz?

Spuścił głowę i kręcąc markotnie brodą, rozmyślał, jak streścić podróże, polowania, sport i miłostki w określeniu czynu i zajęcia.

— Teraz, babuniu, myślę obrać jaką karierę.

— Myślisz dopiero? A, to ślicznie. Przecież masz dobra... Zarządzasz prawdopodobnie? Ileż to morgów?

— Nie pamiętam, doprawdy, w tej chwili.

— Coraz lepiej! Można ci połowę ukraść. No, masz pewnie browary, winnice?...

— Zapewne, że są.

— Jak to, zapewne? Co to za frazes? Ileż obrotu rocznego?

— Dużo, babciu.

— Ja chcę wiedzieć cyfrę!

— Kiedy nie wiem ściśle. Musiałbym się spytać Sperlinga. W dobrach są rządcy i technicy: w Dülmen — Johan Assauer, w Schagern — Thomas Spiess, w winnicach — Francuz z Burgundii, no, a w browarach zarządza mój kolega Martinsen.

<sup>202</sup>Toggenburg — region w Szwajcarii obejmujący malowniczą dolinę u podnóża gór (dziś kanton). [przypis edytorski]

Oblicze pani Tekli robiło się coraz czerwieniejsze z oburzenia i gniewu.

— Próżniaku! Pasożycie! — wyrzuciła z siebie. — Coś ty wart na świecie! Fe, taki młody, zdrowy, silny i do niczego! Ja jestem stara kobieta, a wiem, ile Mariampol ma obszaru, ile przynosi dochodu, co wart koń i wół, gdzie jakie ziarno rodzi, ile gorzelnia zużytkuje ziemniaków... księgi co dzień przeglądam. Fe, jak ci nie wstyd żyć na świecie, spojrzeć ludziom w oczy? Żadnego zajęcia! Szuka dopiero kariery w dwudziestu siedmiu latach wieku! Oburzające!

Panna Jadwiga, jakby czuła, że obecność jej jest szczytem przykrości dla młodego człowieka, wstała.

— Babcia mnie nie potrzebuje? — rzekła. — Pójdę odwiedzić Wincentego.

— Dobrze, dobrze, tylko zabierz go ze sobą. Nie mogę patrzeć na taką karykaturę. Pokaż mu nasz ład, niech powącha choć raz w życiu zacier wódczany. Fe, niedorajda, hultaj, pustak! Pięknie on urządzi Mariampol, gdy mnie nie stanie!

— Ależ babciu! — bronił się skonfundowany.

— No, no, no! Idź już sobie! Pewnie przyjechałeś bez futra. Niech ci Walenty da kożuszek Jasia. Nie fanfaronuj na mrozie.

Jeszcze za drzwiami wołała o nierozwadze.

— Był to feralny dzień, gdy panią poznał — rzekł na ganku do swej pięknej towarzyski, biorąc z jej ręki pakiet szarpi<sup>203</sup> i arnikę<sup>204</sup> — od tej chwili znoszę ciągle porażki. Nikt tu nie ma miłosierdzia dla mych usterek i słabości. Same upokorzenia!

— Nie trzeba ich było wywoływać zawiązaniem stosunków i znajomości — odparła, idąc naprzód.

— Istotnie, byłoby to lepiej — rzucił rozdrażniony tym jawnym lekceważeniem.

— Fakt nabycia Strugi jest w takim razie bardzo niekonsekwentny.

— Czy pani nie chce, bym kupował?

— Nie mam w tym względzie żadnego osobistego zdania. Znajduję tylko, że kto cierpi upokorzenia, powinien je albo znosić cierpliwie, jeśli chce się poprawić, albo usunąć zupełnie, gdy go to tylko drażni i obraża. Nie lubię wątpliwych pozycji i utyskiwań: to broń i położenie słabych istot.

— Zawsze krytyka i potępienie spotyka mnie z ust pani. Jeśli pani chodzi o moją poprawę, to proszę być łaskawszą. Najsilniejsza wola upadnie zmęczona bezustannym szyderstwem i pogardą! — zawołał gwałtownie.

— Oto jest stajnia. Są to powozowe konie pani Tekli, młodzież i część roboczych. Reszta w pracy — powstrzymała jego zapęd tym arcyprozaicznym objaśnieniem.

Rzucił się niecierpliwie.

— Wierzę ślepo w doskonałość mariampolskiej gospodarki. Niech mi pani odpowie.

— Ślepa wiara w doskonałość gospodarek jest właśnie pańskim grzechem, jakem uważała<sup>205</sup> z rozmowy z babką. Gdzież poprawa?

— *Pends-toi, brave Crillon*<sup>206</sup>! Pani jest sroga jak Katon.

— Wypełniam polecenie pani Tekli. Służę panu za przewodnika. Pójdziemy do browaru.

— Służę pani! Cóż robić! Zobaczymy, kto z nas dwojga więcej okaże wytrwałości: czy pani w uporze, czy ja w cierpliwości.

— Nie jestem wcale uparta i nie rozumiem zastosowania tej wady w stosunku moim do pana.

— Czyż to nie upór w okazywaniu mi tak odstręczającej niechęci i lekceważenia? Inna na miejscu pani dałaby się ułagodzić i wzruszyć moją wiernością i pracą.

— Mój panie, nie okazuję ani niechęci, ani lekceważenia, tylko to, co czuję: najzupełniejszą obojętność. Co zaś do wierności, tej ani nie potrzebuję, ani żądałam; a praca powinna sama z siebie dać panu zadowolenie, jeśli istnieje rzeczywiście.

— Pani mi pozwoli nie wierzyć w obojętność.

<sup>203</sup>szarpie — bandaże z podartego na pasy płótna. [przypis edytorski]

<sup>204</sup>arnika — roślina stosowana w ziołolecznictwie przy stłuczeniach. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>jakem uważała — jak uważałam (przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika); tu w znaczeniu: jak zauważyłam, jak zrozumiałam. [przypis edytorski]

<sup>206</sup>*Pends-toi, brave Crillon* (fr.) — dosł.: powieś się, dzielny Crillon; słowa listu Henryka IV do jego przyjaciela kapitana Crillon, wykorzystane jako motto do *Henriady* Voltaire'a. [przypis edytorski]

— Zostawiam zupełną swobodę wiary i niewiary. Pan jest człowiekiem bardzo szczęśliwym.

— Tego nie znajduję, niestety!

— I owszem: próżność, zarozumiałość i wiara w swe doskonałości, czyż to nie jest szczęśliwy stan duszy? Żadnych walk, żadnych wątpliwości i kompletne zadowolenie z siebie.

— Powiedziałem, że nie wierzę w obojętność, bo jestem pewien, że mnie pani nie cierpi. Na to nie trzeba ani zarozumiałości, ani wiary w siebie, niestety!

— Cieszy mnie, że pan zaczyna trafniej widzieć rzeczy. To postęp. Ale otóż i obora. Ma pan przed sobą opasy na targi do stolicy. Jest ich dwieście sztuk.

Rozejrzała się uważnie po bydłe i zwróciła się do nadzorcy wołowni, który, ujrawszy ją, przybiegł natychmiast:

— Ten czarny wół wygląda mizernie. Każ go pan umieścić oddzielnie. Trochę tu nieporządnie.

Poszli dalej i nie mówili do siebie długą chwilę. Wentzla opadała rozpacz. Z jakiego kruszcu ją ulano, tę niezbadaną, cudną dziewczynę? Czy był sposób przebicia tego pancerza z zimnej, logicznej rozważki, szyderstwa i niesłuchanego spokoju?

Żaden nerw nie zadrgał na twarzy — nie było sposobu pojąć, co czuła i myślała.

Z nim była to dumna królowa, ze służbą wzorowa gospodyni, w domu idealna siostra i towarzyska staruszki. Czy potrafi być czarodziejką dla kogoś jednego — pokochać?

Wygląda to na niemożliwość.

Hrabia tak się zamyślił, że nie widział, gdzie idą; aż nagle ona stanęła na progu czworaków mieszkalnych czeladzi i obejrzała się na niego.

— Proszę o pakunek i dziękuję za wyręczenie. Nie wzywam pana za sobą, bo tu się kończy moja misja cicerona<sup>207</sup> i skarby Mariampola. Tu jest dla pana za wiele śmiecia i swędu, przy tym biedak chory leży. Może pan na mnie zaczeka.

— Wolę wejść z panią i może pomóc w opatrunku.

Weszli do izby. W progu Wentzel się potknął i uderzył głową o niski uszak<sup>208</sup>, aż mu w oczach pociemniało.

— Jest to symboliczny pokłon wielkości przed ubóstwem — rzekła po francusku panna Jadwiga, uśmiechając się lekko.

— Bolesny — odparł, śmiejąc się.

Gromadka drobnych dzieci i kobieta z niemowlęciem na rękę rzucili się na powitanie panienki. Musieli ją bardzo kochać i szanować.

I nagle, jak czarem, przeistoczyło się oblicze poważnej dziewczyny. Jakby słońce przeszło po nim, znikł surowy rysunek ust i ściągnięte brwi, i nieruchomość twarzy.

Śliczny uśmiech znalazła dla dziatwy, serdeczne słowo dla matki. Potem podeszła do okna, gdzie na ławie leżał biedny kaleka.

Dała mu tytoniu, pocieszała nadzieją wyzdrowienia i usuwając ręce od pocałunków zabrała się do opatrunku.

Och, umiała być czarodziejką dla słabych i nieszczęśliwych!

Hrabia pomagał jej w zakładaniu bandaży na połamaną nogę, nie czuł zaduchu izby, nie widział śmiecia, nie żałował swych wypieszczonych rąk magnata. Stali oboje pochyleni tuż obok siebie, połączeni wielką ideą miłosierdzia. Co prawda, w tym towarzystwie zgodziłby się hrabia przesłużyć życie całe przy ambulansach.

A chory błogosławił ich, łącząc oboje w swych prostych życzeniach.

— Bodajże wam Pan Jezus udzielił doli szczęśliwej, żeby wam za łaskę dał szczęście i skarby! Dziękuję, jasna panienko, do śmierci nie zapomnę! I wam, paniczu, żeście tacy litościwi. Magduś, nalej wody na ręce wielmożnemu państwu.

Wymyli ręce w glinianej misie i obtarli grubym ręcznikiem.

— W Polsce uważają to za prognostyk kłótni — rzekła panna Jadwiga pierwszy raz wesoło.

— Wszystko, byle nie obojętność — odparł.

<sup>207</sup>cicerone — tu: przewodnik. [przypis edytorski]

<sup>208</sup>uszak — architektoniczny element dekoracyjny, występ z linii obramienia w górnych narożach okien i drzwi. [przypis edytorski]



Wcisnął w dłoń kobiety garść srebra i wyszli przeprowadzeni błogosławieństwem.

Ledwie oddalili się na parę kroków, wpadły na dziedziniec sanki Jana. Na widok tych dwójga spacerujących tak poufale Jan zdumiał się.

— Stój! — krzyknął wyskakując. — Witam, witam!

— Tak prędko? — spytał Croy-Dülmen.

— Z Adamem krótka gawęda: albo milczy, albo słucha, zupełnie jak Jadzia. Nie znam dwóch istot bardziej do siebie podobnych. Spędziliśmy, hrabio, identycznie to poobiedzie, co? Słuchano i milczano.

— Co do mnie to się mylisz — wtrąciła panna Jadwiga. — Kiedy może mnie kto wyręczyć w bawieniu gości — chętnie milczę; ale będąc sama z kimś nie mogę czynić, co lubię, więc rozmawiam.

— Bardzo to dla mnie pochlebne — rzekł Wentzel pół żartem, pół serio. — Nigdy już nie nadużyję pani grzeczności, choćby na rozkaz babuni.

— Proszę pamiętać — mruknęła po swojemu posępnie; blask znikł, była znowu chmurna i surowa.

— Otóż Głębocki się zgadza sprzedać komukolwiek Strugę, byle nie księciu F. Napędziłem mu strachu. Podpałilem naftę i węgiel.

— Czy pan Głębocki zdrow? — spytała panienka.

— Tak, siostrzyczko; wrócił do normalnego stanu; zdrow i zakochany. Sprzedaje Strugę, prznosi się do folwarku, co ma po ciotce, za rzeką, z tamtej strony szosy, ekwi-puje się i żeni. Co prawda, robi wyśmienity interes: mówię o sprzedaży, a nie o żonie. Przywiozłem z sobą plany, inwentarze i potrzebne dokumenty, za parę tygodni sprawa będzie skończona. Czy państwo już wracają z przechadzki? Chwała Bogu, dostaniemy herbaty.

Zamiast Wentzla, który wyglądał dziwnie osowiały, pani Tekla wzięła się pilnie do przeglądania planów i dokumentów. Jan jej wykladał warunki Głębockiego, Jadzia przygotowywała herbatę, hrabia niby słuchał interesu, niby patrzył na cyfry, ale w istocie mało słyszał, jeszcze mniej widział, na nic zgoła nie zważał.

Zbudził go jak ze snu podniecony ton babki.

— Co? To rozbój! Któż może tyle zapłacić! Słyszałeś, panie hrabio, cenę?

— Słyszałem — odparł. — Choćby milion, gdy chodzi o ratowanie ziemi, zapłacę.

Staruszka skoczyła na równe nogi.

— Co ty bredzisz! Śpisz czy jeszcze marzysz o Berlinie? Sam nie rozumiesz, co gadasz! Był tak roztargniony, że się zląkł, iż coś powiedział niedorzecznego, i aż poczerwieniał.

— Ależ babciu! Cóż ja powiedziałem tak złego? — bronił się zbity z tropu.

— *Absurdum*<sup>209</sup>! Milion dla ratowania ziemi! Jakiej? Czy ty wiesz, czy ty pojmujesz? Co tobie do tej ziemi! Ona nie jest twoja, cudza, wroga! Ja chcę, żebyś zrobił dobry interes, tylko tyle!

Oprzytomniał, zląkł się, że go panna Jadwiga znowu posądzi o fałsz dla zamydlenia oczu staruszki, o podłość, jak to nazywała i odparł swobodnie:

— Sąsiedztwo Mariampola będę zawsze uważał za dobry interes, a Struga nie będzie mi obcą ziemią, ale własną, skoro ją nabędę.

— No, pewnie, własną i drogą! — wmieszała się do rozmowy panna Jadwiga z odcieniem ironii.

Jan się zaperzył.

— Ty jeszcze drwinkuj! Z twego powodu, dla pięknych oczu sąsiedzi głowy tracą.

— Co? Jak? — spytała pani Tekla.

— Ano, to jasne. To cena postawiona dla konkurenta.

Staruszka spojrzała na Wentzla strasznym wzrokiem.

— On się ośmiela... — zaczęła.

Jan parsknął śmiechem.

— Ależ babuniu! To przecie nie hrabia. A to wyśmienite! I o to jeszcze pana posądzą! Konkurentem o względy i sąsiedztwo Jadzi jest książę F.

Wentzel odetchnął, bo babka zwróciła wreszcie swe świdrujące oczka z jego twarzy na Jana.

<sup>209</sup> *absurdum* (łac.) — absurd, nonsens. [przypis edytorski]

— Co to nowego? Jaki książe?  
— A ten, co to w Ems posłyszał od babuni kazanie po francusku. On to chciał kupić Strugę i postawił bajeczną cenę.

— Ta lala, ta tyczka, ten farmazonik! Tak głupim może być tylko Prusak.

— Że się stara o mnie, babciu? Dziękuję! — rzekła z uśmiechem panienska.

— Naturalnie. Cóż to? Poszłabyś może za Niemca? At, na co to próżne gadanie! Tej ceny dać nie można.

— Ależ można, babciu — ujął się Croy-Dülmen z nagłą żywością. — Będę tam trzymał stado; tyle łak, mówił pan Jan. Parękroć mniej lub więcej kapitału, co mi tam! *Ich kauf's, Grossmutter*<sup>210</sup>!

Ani się spostrzegł, jak mu ten frazes niemiecki wyrwał się z gardła. Zamknął sobie usta dłonią ruchem panicznego przestachu, ale już poniewczasie. Obejrzał się trwożnie, czy go nie przywali sklepienie tej patriotycznej sali albo czy babka nie każe go wyrzucić za drzwi Walentemu, potem przechylił się do niej i pokornie pocałował w rękę.

— Proszę darować — przeprosił swą łamaną polszczyzną. — Zapomniałem się.

Udała, że nie posłyszała i mówiła dalej o Strudze.

— Zapewne, majątek ładny, ale zawsze taki kapitał! Kiedyś jeszcze zbankrutujesz z mego powodu. Parękroć... Jak to łatwo powiedzieć! Nigdy nie zarabiałeś i nigdy nie rachowałeś.

— Obiecuję poprawę, ale Struga musi być moja. Nie zbankrutuję teraz, jeżeli dotychczas to się nie stało. Postanowiłem usatkwować się i pracować.

— Uhm! W Berlinie! — zamruczała już łagodnie. — No, dosyć o tym. Herbata podana. Pomówimy jeszcze jutro.

— Po herbacie zagramy partyjkę bilardu — zaproponował Jan.

— I owszem, służę panu — odparł.

Zdawało mu się, że to będzie przyjemność i rozrywka. Mylił się. Gdy zostali sami przy grze, ogarnął go niewytłumaczony niepokój i roztargnienie. Dał się pobić raz i drugi, aż wreszcie rzucił kij.

— Nie uważam dzisiaj. Wstydzę się swojej opinii. Nigdy mi się nie zdarzyło przegrać.

— Na dobitkę wstydu pobił pana mańkut! — śmiał się Jan. — Chodźmy do dam. Niech Jadzia co zagra na pociechę i na zakończenie wieczoru.

— Czy i ten talent posiada?

— Albo ma ich więcej? Co do muzyki, posiada ją dobrze. Żeby pan słyszał, jak z Cesią Żdżarską grają *Rapsodię* Liszta...

Weszli do saloniku. Kobiety rozmawiały z sobą żywo — urwały na ich widok.

— Jadziu, zabrzdąkaj — prosił Jan — tylko, przez litość, nic smutnego i czulego. Daj mi tę bawełnę, zwinę najporządniej. Zagraj, siostrzyczko!

Nie droczyła się obyczajem panienek. Po chwili spod jej palców wybiegła ognista melodia jakiegoś marsza.

Salonik przedstawiał miły rodzinny obrazek; tony muzyki dodawały mu życia i wdzięku, a staruszka królowała w aureoli siwych włosów, jak matka tych trojga młodych.

W piersi hrabiego robiło się coraz dziwniej.

W obrazku tym i w tym kółku on jeden czuł się obcy i w tej chwili zamyślił się po raz pierwszy poważnie nad swym położeniem. Dziwny smutek cisnął mu duszę. Poczul nagle brak rodziny, domowego ogniska, ciepła, tego, co rozgrzewa i zapełnia duszę.

Istotnie, czym on był? — Sierotą, bezdomnym sierotą. Całe życie przewinęło mu się przed myślą. Co on miał? Kochanki, kolegów do nadużyć i szału, pochlebców, banalną cnotę ciotki Dory — i nic więcej. Ani kochania wielkiego, ani szlachetnej przyjaźni, ani rodzinnego zacisza i ufności.

Domem jego był klub, zaciszem buduar kobiety, gdzie często przychodził jak złodziej, a wychodził zawsze z niesmakiem i nudą... A jednak żył w podobny sposób 27 lat i czuł się szczęśliwy. Skąd przyszło mu nagle w tej chwili pragnienie czegoś innego, nieznanego dotąd? Dlaczego nagle poczul się tak biedny, tak sam, tak sierocy wśród swych bogactw, sławy i uwielbienia? — Sam nie umiał wyjaśnić sobie powodu tych uczuć. To tylko stało

<sup>210</sup>*Ich kauf's, Grossmutter* (niem.) — kupuję to, babciu [przypis edytorski]

się dla niego jasne, że między nim a tym trojgiem ludzi, wśród których bawił, była przepaść, a w nią trzeba było rzucić i podeptać, żeby się zrównać, i ową sławę, i uwielbienie, i pychę, i klub, i przyjaciół, i kochanki — całe 27 lat wieku — wszystko.

Żeby mu kto z tamtej strony podał rękę, zachęcił, powiedział mu „rzuć”!

Ale nie! Ludzie ci nie narzucali się, ani prosili — trzeba było iść do nich, nie wiedząc, jak przyjmą i czy nie odtrącą od siebie, od tego ognia, od tego domu, gdzie on był wrogi mową, zasadami, imieniem...

Była to ciężka droga z bardzo niepewnym rezultatem.

## IX

Była to środa, owa kuligowa środa, której wyglądały niecierpliwie panienki i młodzież okoliczna<sup>211</sup>. Jan z Wentzlem dwa już dni byli nieobecni w Mariampolu, ku zgrozie niecierpliwiej staruszki.

Bawili w Strudze, dobijając targu z Głębockim, w przerwach siedzieli w Olszance Chrzastkowskich, połując na zające i sarny.

Pani Tekla traciła cierpliwość i żeby nie spokój panny Jadwigi posłałaby dawno po nich.

Ciekawość o interes łączyła się z niepokojem o szaleństwo i nierozwagę młodych. Widziała ich obu postrzelonych, chorych z przeziębienia, z ranami i tyfusem.

Nie można było jej uspokoić.

— Przyjadą na kulig — wmawiała Jadzia — nic im się nie przytrafi. Jan jest dobrym myśliwym, a hrabia nie wygląda na zagorzalca. Ujrzymy ich całych we środę.

— Moje dziecko, jesteś uosobieniem zimnej krwi. To wstyd w twoim wieku — gderała staruszka łagodnie.

Jadzia była u niej na specjalnych prawach.

Wreszcie nadeszła środa. Młodzi ludzie zjawili się weseli, z dobrymi minami, zaprzyjżnieni w najlepsze, jakby się znali od szkolnej ławy.

— Przecie! — odetchnęła staruszka, patrząc to na wnuka, to na wychowawca z widocznym zadowoleniem.

Nie mieli ani ran, ani tyfusu.

— Czy jedziemy na kulig? — zawołał Jan z progu.

— Ot, co temu w głowie! — oburzyła się pani Tekla. — Cóż ze Strugą słyhać, powiedz lepiej.

— Struga moja! — pochwalili się Wentzel. — Jestem poznańskim obywatelem.

— Doprawdy? — rzekła ironicznie. — Obywatelem... Próżniakiem i pasożytem będziesz w Poznaniu jak i w twoich obrzydliwych Prusach. Będziesz szerzył zły przykład i psuł młokosów swym zbytkiem i bezładem. Oto co jest! Ale poczekaj, ja ci nie dam dokazywać. Będziesz trzymał polską służbę i administrację... ani nogi szwabskiej, rozumiesz!

— Rozumiem. Nikogo z obecnych nie usunę, chyba się przekonam o istotnej złej woli i nieudolności.

— O! Już o czym się ty przekonasz! — machnęła lekceważąco ręką.

— Czy jedziemy, babuniu, na kulig? — powtórzył Jan.

— A to w ukropie kąpany! Zobaczymy!

— Ciekawym<sup>212</sup> co? Jadzia mówi: zobaczymy — i babunia to samo. Za godzinę trzeba ruszać.

— Panowie przecie nie potrzebują opieki babci. Mogą sami jechać — wtrąciła Jadzia.

— Ja bez pań nie pojedę! — oznajmił stanowczo Wentzel. — Zabawa w zupełnie obcym towarzystwie nie nęci mnie wcale. Potrzebuję eskorty. Jeżeli panie zostają, to i ja nie pojedę. Będziemy czytali wieczorem Angela...

— *Anbellego*, Prusaku! — wołała babka. — Któryż to raz cię poprawiam!

— Pierwszy, sędzę, i ostatni. Czy zostajemy?

<sup>211</sup>panienki i młodzież okoliczna — daw. określenie *młodzież* odnosiło się wyłącznie do płci męskiej, młode kobiety nie były tu zaliczane. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>ciekawym — skrócone od: ciekawy jestem. [przypis edytorski]

— Idźcie sobie precz z waszą gorączką! A to istna egzekucja! Kulig! Mnie starej to nawet w głowie!

Jan wziął siostrę na stronę.

— Aniołku, gołąbko, różyczko! Namów babkę, jedźmy. Tak mi się chce potańczyć i pohulać — prosił jak dziecko.

— Na cóż ja ci jestem potrzebna? Przecie się Cesia nie nazywam — odparła ze śmiechem. — Jedźcie sobie z Bogiem, nikt was nie zatrzymuje.

— Kiedy hrabia nie chce.

— Ano, to jego prosz. Wyglądacie jak Kastor i Polluks<sup>213</sup>.

— Ach, jakaś ty nieznośna! Hrabia słusznie cię kokietką nazywa. Drożysz<sup>214</sup> się na złość jemu i mnie — zawołał niecierpliwie.

— Na takie *dictum*<sup>215</sup> stanowczo nie pojedę! — odparła marszcząc brwi.

— No, nie, nie! Nie mówił tego. To mój wymysł. Doprawdy niegrzecznie odmawiać Żdzarskim. Wyglądać to będzie na demonstrację.

— Strasznie się tego boję.

— Czego się spieracie? — wmieszała się babka.

— Jadzia nie chce jechać. Sprzysięgli się wszyscy na mnie.

— Idź no do gospodarstwa tymczasem, a hrabia niech się ubiera na bal. Cóż z wami robić! Trzeba starej ustąpić i tłuc się dla was. No, no, nie dziękuj. Robię to ustępstwo tylko dlatego, żeby ten Niemiec zobaczył choć raz w życiu porządne towarzystwo i nauczył się bawić przyzwoicie.

Po tej konkluzji podreptała do siebie, zostawiając Jasia w szale radości, a hrabiego z miną tragicomicznego zdumienia, obrazy i niedowierzania. Cel poświęcenia babki miernie mu trafił do przekonania.

Popatrzył na Jana tańczącego solo walczyka w stronę drzwi — na pannę Jadwigę uśmiechającą się zagadkowo, ruszył ramionami i wahał się, co robić.

Dopomogła mu w namyśle.

— Warto się obrazić i zostać samemu z *Anbellim* — rzekła drwiąco.

— Co buntujesz hrabiego? Fe! Nie wódz na pokusę, kiedyś sama zła. Aha, nie udało się mi dokuczyć; musisz jechać i płaszać, jak każda śmiertelniczka! Bardzom rad<sup>216</sup>. Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Chodźmy, hrabio, przyoblekać godowe szaty.

Gdy się drzwi za nimi zamknęły, sarkazm znikł z twarzy panienki: podeszła do okna, oparła czoło o szybę i zadumała się chwilę.

— Ach, żeby wrócić można było wstecz i obrać<sup>217</sup> inną drogę! Dałabym wiele! — zamruczała, patrząc ponuro w biały śniegowy całun.

Nagle rzuciła się niecierpliwie i zagryzła wargi.

— Wartam<sup>218</sup> różeg! — dodała z gniewem, odchodząc.

W godzinę młodzi ludzie stawili się w pałacu wyperfumowani, ogoleni, ubrani bez zarzutu, w lakierkach i rękawiczkach; siwosze pani Tekli w budzie na saniach i szalone kasztany Jasia w malutkich saneczkach dzwoniły pod gankiem. Panie się nie śpieszyły pomimo palenia<sup>219</sup> z bata i napędzania Jana, który jak duch pokutujący chodził od drzwi staruszki do progu pokoju siostry, znosząc cierpliwie gniew jednej i milczenie drugiej.

— Jedźmy naprzód! — zawołał wreszcie.

— A jak się panie rozmyślą? — wtrącił ostrożny Niemiec.

— Ej nie, widziałem przez szparę obrony<sup>220</sup> na pani Tekli i jakiś biały obłok na Jadzi. Nie rozbiorą się po takiej fadydze na darmo. Jedźmy, bo nas kasztany rozniosą.

<sup>213</sup>*Kastor i Polluks* (mit. rzym.) — w mit. gr. Kastor i Polideukes, Dioskurowie, bliźniacy, synowie Zeusa i Ledy; tu: nierozłączni przyjaciele. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>*drożyć się* — niełatwo godzić się na coś, opierać się. [przypis edytorski]

<sup>215</sup>*dictum* (łac.) — powiedzenie, przysłowie; tu: stwierdzenie. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>*bardzom rad* — skrócone od: bardzo jestem rad. [przypis edytorski]

<sup>217</sup>*obrać* — dziś raczej: wybrać. [przypis edytorski]

<sup>218</sup>*wartam* — skrócone od: warta jestem. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>*palenie* — tu: trzaskanie. [przypis edytorski]

<sup>220</sup>*robron* (z fr. *robe ronde*: okrągła suknia) — suknia o szerokiej (szczególnie z boków i z tyłu) spódnicy podtrzymywanej na sztywnym stelażu z obręczy fiszbinowych, wiklinowych a. drucianych; damski strój dworski, balowy, popularny w XVIII w. [przypis edytorski]

Ruszyli, marząc sumiennie w balowym odzieniu. Szczęściem do Żdzarskich było niedaleko.

Dwór oświetlony jaśniał jak morska latarnia wśród śnieżnej równiny, muzyka grała w najlepsze.

— Opuściliśmy introdukcję<sup>221</sup> — żałował Jan, wysiadając.

Na spotkanie gości wyszedł gospodarz z synem. Zaczęła się uciążliwa prezentacja. Jan, zdrajca, przedstawił Niemca Żdzarskiemu, uściśnął dłoń jego syna, Stefana, zakręcił się i umknął, korzystając z zażyłości i praw sąsiedzkich.

Wentzel, wchodząc do salonu, ujrzał go w wirze tańczących. Śmiał się swym szczerym uśmiechem w jasne oczęta młodej, szczupłej panienci.

„Pewnie Cesia Żdzarska” — pomyślał, wzdychając.

Niestety, nie był ani sąsiadem, ani krewnym, ani nawet rodakiem w tym gronie. Zaczęto go, jak ciekawe zwierzę, wodzić od krzesła do kanapy, od kanapy do fotela, przedstawiać dziadkom, babkom, ciotkom, wujaszkom — nawet księdzu proboszczowi. Co krok nieznanne nazwisko, potem jego tytuł, obustronny ukłon, jakiś frazes okropną niemczyzną — i znowu to samo trochę dalej.

Bolał go kark od ukłonów, w głowie się kręciło od tych nazwisk i komplementów. Klął w duchu ceregiele światowe, on, taki ich apostoł dotychczas, i myślał z rozpaczą, że do rana nie skończy tej męki.

A Jan, niecnota, tańczył, tańczył z całego serca — i ani dbał o towarzysza.

\*

Nareszcie ostatni ukłon przed damą bardzo chudą i bardzo elegancką. Wentzel zrazu zobaczył tylko koniec tej elegancji, tj. jedwabne pantofelki na bardzo małej nóżce, i chciał iść dalej, gdy dama ozwała się piękną francuszczyzną:

— O, pana hrabiego miałam przyjemność widzieć przelotnie w Biarritz.

Podniósł oczy.

Dama miała na sobie fioletowy atlas i śliczne diamenty. Sama była śniadą brunetką o ostrych rysach, szczupłą, fertyczną<sup>222</sup>, lat około czterdziestu, ale jeszcze przystojna, żywa, o biegających, czarnych oczkach i zadartym impertynencko nosie.

„Hrabina Mielżyńska — zamajaczyło w pamięci Wentzla jak *mane, tekel* Baltazara<sup>223</sup>.

Uklonił się po raz drugi.

— Istotnie, byłem w Biarritz latem — rzekł, usuwając się z drogi tańczącym za krzesło damy.

Stefan Żdzarski rad, że się zbył obowiązku, rzucił Niemca na pastwę hrabiny i pobiegł do panienek.

— A któż była ta śliczna pani, blondynka? — badała dalej interlokutorka Wentzla, wachlując się z wdziękiem.

— To była moja kuzynka — odparł bezczelnie.

Nosek pani Mielżyńskiej poruszył się wątpliwie<sup>224</sup>.

— *Tiens, tiens*<sup>225</sup> — zaśmiała się złośliwie. — To panu hrabiemu oddają pod opiekę takie kuzynki?

— Czemuż by nie? — odparł, czując, że nie potrzebuje się tutaj bawić w katońską cnotę i nie mogąc się oprzeć pokusie pożartowania z szykowną damą. — Czy pani uważała, że źle wypełniał<sup>226</sup> obowiązki opiekuna?

— *C'est selon*<sup>227</sup>! — zaśmiała się.

<sup>221</sup>introdukcja — wstęp. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>fertyczny — zwinny, żwawy, zręczny; tu: energiczny. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>*mane, tekel* Baltazara — właśc.: *mane, tekel, fâres*; słowa, które według opowieści biblijnej z Ks. Daniela (5:25) wypisała tajemnicza ręka na ścianie pałacu w Babilonie podczas uczty króla Baltazara; znaczenie napisu: „policzono, zważono, rozproszono” (w jęz. hebr., aram. a. chaldejskim) zostało odczytane jako przepowiednia upadku państwa, który miał stanowić karę za grzechy Babilonu; tu przen.: zapowiedź klęski. [przypis edytorski]

<sup>224</sup>wątpliwie — tu raczej: z powątpiewaniem. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>*tiens* (fr. dosł.: trzymaj) — tu: no, no; a to dopiero; patrzcie państwo. [przypis edytorski]

<sup>226</sup>żem źle wypełniał — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: że źle wypełniałem. [przypis edytorski]

<sup>227</sup>*c'est selon* (fr.) — to zależy. [przypis edytorski]

— Pani jest bardzo wymagająca. Kuzynka moja była z opieki zupełnie zadowolona.  
— Nie wątpię. A jej mąż?  
— Czy koniecznie ma mieć męża?  
— Niekoniecznie... ale go ma, niestety. Wiem to z listy kuracjuszy. Ej, ej, piękny hrabio! Ze mną wykręty na nic.

Pogroziła mu wachlarzem.

— Uznaję się pobitym i obiecuję na przyszłość być szczerym — odparł, kłaniając się.

— Pan nie tańczy.

— Rozmawiam.

— I rad by się uwolnić od rozmowy...

— Nie, chyba do walca z panią.

— I owszem. Lubię walcować, a pan?

— To zależy od tancerki.

— Czy to ma być komplement czy impertynencja?

— To zależy od tancerki.

Rozmawiali tańcząc. On był mistrzem w walcu, ona lekka, zwinna i zalotna.

Hrabia Mielżyński umarł przed kilku laty. Wdowa była lepem dla młodzieży, pierwowzorem mody, szyku i elegancji, zmorą poważnych matek, żon i narzeczonych.

W tej chwili ruch się zrobił u wejścia. Młodzież męska i kilka panienek rzuciło się do przedpokoju, kilka tylko par wirowało w sali.

Drzwi się otwały. Pan Żdzarski prowadził uroczyste panią Teklę na honorowe miejsce, za nimi Stefan wiódł pannę Jadwigę jak królową, otoczoną gronem młodych ludzi i rówieśnic.

Oczy Wentzla spoczęły na niej i ona zatrzymała wzrok przez chwilę na tańczących.

Strój balowy podnosił jeszcze jej krasę, a opale, owe sławne opale, migwały jak gwiazdy, łamały światło w tysiąc barw. Jak zjawisko czarodziejskie przemknęła obok niego i usiadła blisko babki.

Zebrał się tłum wokoło niej. Widocznie dobijano się o tańce, bo zapisywała coś szybko w swym karneciku u wachlarza.

Croy-Dülmen stracił ochotę do zaczepek hrabiny. Odprowadził ją na miejsce.

— Pyszenie walcujesz, hrabio — rzekła zdyszana. — O, jak gorąco! Proszę się wystarać dla mnie o kroplę lemoniady.

Panna Jadwiga wstała do tańca ze Stefanem Żdzarskim.

Jan przemknął koło hrabiego, skacząc między sukniami.

— Uh, jaki upał! Chodźmy na cygaro, hrabio.

— Niech pana nie znam! Ja lecę po lemoniadę dla hrabiny. Tchu mi nie da złapać. Gdzie Głębocki?

— A gdzieś pewnie w okolicy Jadzi. Marzy o dominie, bo nigdy nie tańczy. Widział pan Cesię?

— Nie doszedłem jeszcze w prezentacji do panienek.

— Oto i lokaj. Zanieś lodów hrabinie, ot tam, pod kandelabrem<sup>228</sup>. Chodźmy odczekać.

Ledwie zapalili papierosy w gabinecie męskim, wpadł służący.

— Pani z Mariampola prosi panicza.

— Którego? — badał Jan.

— Ja nie wiem: „panicza” powiedziała.

Rzucili papierosy i poszli obydwoj, żeglując w stronę strasznej kanapy.

Po drodze hrabina Mielżyńska rzuciła im przez ramię z widocznym niezadowoleniem:

— Ach, te papierosy!

— Panie nas mają za drewno! — mruknął Jan.

— Jeśli się ośmielicie grać w karty po kątach, to was nie puszcze za próg w Mariampolu — oznajmiła stanowczo, ale, szczęściem dla ich próżności, dość cicho.

— Za co? Wujaszek, sędzia i dziekan grają obok, nikt im tego za złe nie bierze — bronił się Jan.

<sup>228</sup>kandelabr — duży, stojący świecznik. [przypis edytorski]

— Ale wam nie pozwalam i basta! Będziesz mi tu dowcipkował? Proszę tańczyć i wstydu mi nie robić! Niech hrabia raczy zapomnieć, że jest Niemcem i nie afiszuje się z hrabiną... przy tym nie zadymiajcie domu.

— Z kimże mi wolno się bawić? — pytał Wentzel. — Nikogo tu nie znam.

— Ach, biedny! Hrabinę odszukałeś prędko; tam ci się podoba, bo nie trzeba hamować języka i na wszystko sobie można pozwolić. Otóż mnie się to nie podoba i nie lubię słuchać komentarzy.

— Hrabinę znam niby. Bardzo miła osoba.

— Nie ciekawam<sup>229</sup> jej cnót. Rekomenduję ci Cesię Żdżarską.

— Ta zajęta... — wtrącił Jan — tańczy ze mną.

— Józic Okęcką i Stasię Staniszewską.

— Dobrze, dobrze! — potakiwał, schylając się po coś na ziemię i chowając do bocznej kieszeni.

Jan skubał go za rękaw.

— Ja hrabiego przedstawię. Chodźmy już — nalegał.

Muzyka zaczynała kadryla, pary się szykowały, wśród nich snuł się Głębocki jak stara czapla, szukając czegoś po ziemi.

— Coś zgubił, Adasiu?

— To panna Jadwiga bransoletkę.

— Niech szuka — mruknął hrabia — ja ją mam.

Poszli dalej, śmiejąc się. Głębocki spostrzegł wesołość, rzucił na Niemca niechętnie spojrzenie.

Piękna Jadzia powitała Wentzla niedbałym spojrzeniem, czekała narzeczonego do kadryla. Jan pobiegł po swą tancerkę.

— Czy dostanę od pani taniec?

— Za późno, wszystkie już tańczą.

— *Malédiction*<sup>230</sup>! Cóż ja zrobię?

— Będzie pan tańczył z hrabiną.

— Babka zabroniła.

— To smutne, ale można zaradzić. Panien jest więcej niż kawalerów.

— Marzyłem o walcu z panią tyle tygodni! — westchnął.

— Trzeba było podzielić się ze mną owym marzeniem, byłoby spełnione. Pan Głębocki nie może znaleźć mojej bransolety — dodała po chwili, oglądając się.

— Naturalnie, że jej może szukać do jutra. Od dawna jest u mnie. Chcę znaleźnego<sup>231</sup>, dostać taniec od pani.

— O, bardzo proszę oddać mi ją zaraz.

Spełnił rozkaz natychmiast.

— A potem?... — spytał prosząco.

— A potem idź pan i przeproś pana Głębockiego za niegrzeczność wyrządzoną.

— Co to, to nie! — rzucił się rozniewany.

— Ano, to mnie samej wypadnie to zrobić. Nie mogę kazać czekać na siebie całemu towarzystwu.

— Ja zastąpię pani narzeczonego.

Głębocki położył koniec dyspucie. Znalazł go i przyprowadził prowadzący tańce. Kadryl się zaczął.

Wentzel pozostał na koszu<sup>232</sup>, gryząc wąsy.

Rzeczywiście, wiodło mu się niefortunnie.

On, który nie rozumiał, co to jest żądać, a nie otrzymać, był pobity przez jakąś tam szlachcianeczkę; on, którego damy berlińskiego *high life'u* wydzierały sobie na balach, wodzirej tańców, bohater kotylionów, ideał tancerza, bohater salonów i klubów, podpierał drzwi w Poznańskiem, był widzem jak ostatni gimnazysta, nie wiedział, co robić ze sobą, czuł się śmiesznym.

<sup>229</sup>*nie ciekawam* — skrócone od: nie [jeste]m ciekawa. [przypis edytorski]

<sup>230</sup>*malédiction* (fr.) — przekleństwo. [przypis edytorski]

<sup>231</sup>*znaleźne* — nagroda za znalezienie zguby. [przypis edytorski]

<sup>232</sup>*na koszu* — tu: odrzucony przez kobietę. [przypis edytorski]

Chwilę po ostatniej porażce stał na miejscu, patrząc ponuro na przesuujące się pary; pycha jego była upokorzona haniebnie, był wściekły. Chciał wyjechać bez pożegnania prosto do Berlina, ale był zanadto dobrze wychowany, a zresztą czuł, że dziewczyna ta, jej wspomnienie, obraz przygnałby go z powrotem zza morza.

— Uhm, żebym cię dostał! — mruzczał zacięcie, śledząc jej zgrabne ruchy w tańcu.

Nagle strzeliła mu bujna myśl. Zwrócił się i poszedł prosto do przeciwległego gabinetu, gdzie się zabawiali gracze.

U jednego stolika starszyzna siedziała nad tarokiem, przy drugim ciągnięto pulkę preferansa, kilku zapasowych czy leniwych kawalerów gapiło się na karty, między nimi Henryk Wolicki, zapalony szuler i myśliwy, z którym się Wentzel poznał na polowaniu w Olszance. Przywitali się serdecznie. Polak zapoznał go z resztą gapiącej się młodzieży. Po chwili rozmowy usunęli się cichaczem do pokoju Stefana Żdzarskiego i, nie dbając o bal i damy, zaczęli ciągnąć diabełka.

Wentzel trzymał bank, rzuciwszy od niechcenia garść złota na stół. Gra robiła się coraz zajadlejsza. Niemiec tracił bajeczne sumy spokojnie, z uśmiechem, gryząc w zębach cygaro. Nie wiadomo skąd, na hasło kart, zbiegało się coraz więcej graczy. Pokoik zappełnił się frakami, dymem, brzękiem monety, śmiechem — służba kręciła się z winem.

Parę razy wpadał ktoś z sali, wzywając do dam, lecz nie tylko nikogo nie ściągnął, ale i sam zostawał, pociągnięty magicznym widokiem złota.

W sali tymczasem kadryl się skończył, tańce szły ospalej, robiło się coraz puściej. Pewnikiem jest, że najlepsi są tancerze ci, którzy nie mają w towarzystwie osobistego interesu, lecz bawią się dla samej zabawy, nie przebiegają w tancerkach, nie zasiadają do gawędki z ukochaną lub narzeczoną.

Otóż ci na hasło diabełka poginęli jak kamfora. Zostało kilka par zajętych sobą, zatokowanych<sup>233</sup>, zakochanych. Ci woleli siedzieć gdzie<sup>234</sup> w ustronnym kąciku, przekomarzać się, sprzeczać, śmiać się lub gruchać.

Najcieńszy to był kaliber tańczących.

Jaś droczył się z Cesią Żdzarską — grali w zielone i dowodzili sobie nawzajem przegranej; u krzesła hrabiny Mielżyńskiej snuło się ze trzech aspirantów; koło Stasi Janiszewskiej siedział narzeczoną; a na dobitkę balowej biedy dowodzący tańcami Stefan zapomniał o bożym świecie, zapatrzony w błękitne oczy panny Okećkiej.

Oprócz nich został jeszcze Głębocki, zgarbiony, kwaśny, wpatrujący się uparcie w małutki pantofelek Jadzi, która rozmawiała z panią domu o kuligu i nawet na niego nie zważała, i tuzin starszych dam na kanapie.

Muzyka grała, grała, wreszcie ucichła, bo nikt nie tańczył.

Na tę nagłą przerwę obejrzeni się wszyscy; pani Tekla pierwsza, jako czujny pasterz, poszukiwała swej trzódki.

Jadzia, wierna Jadzia, była blisko, Jaś trochę na ustroniu, ale też obecny; za to Niemca ani śladu, ani znaku.

Złe przecucie ogarnęło staruszkę.

— Co to, nikt nie tańczy? — zapytała pani Żdzarskiej.

Gospodyni poszukiwała oczami syna.

— Stefanie, co to muzyce? — zapytała.

Młody człowiek porwał się jak oparzony.

— Aaaa... panowie! Do mazura!

— Grać! — krzyknął muzyce, a sam zniknął za drzwiami gabinetu.

Pani Tekla podreptała do Jasia.

— Czemu nie tańczysz? Gdzie Waclaw?

— Co za Waclaw? Z Glinic? Albo ja wiem? Wyszedł.

— Ale bredzisz! Pytam o naszego Niemca.

— To mu Waclaw na imię? A prawda! Oho, babuniu, ten nie tańczy, ale gra.

— Co takiego?

<sup>233</sup>zatokowany — pochłonięty zalotami; od: *tokować*: z przejściem zachwalać swoje zalety i sukcesy (na podobieństwo samców niektórych gatunków ptaków w okresie godowym, które wydają charakterystyczne dźwięki i wykonują odpowiednie ruchy mające wabić samicę). [przypis edytorski]

<sup>234</sup>siedzieć gdzie — dziś raczej: (...) gdzieś. [przypis edytorski]



— Diabelka! — zaśmiał się Jan. — Służę pani do mazura, panno Celino. Stefan już prowadzi trochę szulerów.

Muzyka zabrzmiała, taniec się rozpoczął dość nieporządnie. Wentzla nie było.

Pani Tekla, jak karząca sprawiedliwość, ruszyła prosto do gabinetu.

Stała w progu i oniemiała ze zgrozy. Wprost niej siedział Wentzel otoczony gronem młodzieży i śmiał się, rzucając na stół znów garść talarów.

— Panowie, tysiąc marek w banku! Gotowe!

Mówił po niemiecku, bezczelny, i w polskim domu demoralizował młodych ludzi, grał wbrew jej zakazowi, bezecnik!

— Wentzel! — krzyknęła, hamując się ile mocy.

— Za chwilę służę! — odparł najspokojniej, nie przestając rzucać kart, obrzydliwy zuchwalec.

Z nagłą determinacją podeszła do stolika. Rozrzuciła karty, zagarnęła wszystkie pieniądze.

— To będzie wasz datek na nowo budujący się kościół w Brodnicy. Dziękuję wam w imieniu biedaków, którzy po groszu zbierają od dziesięciu lat. Dziękuję, dziękuję! No, ale dość tego! Proszę do salonu, bawić się razem. Panienki czekają.

Młodzi ludzie popatrzyli po sobie, potem na nią, i milczeli. Staruszka zabrała monety i papiery w swą batystową chusteczkę i wyprostowała się żywo.

— Wentzel, chodź ze mną! A wy, moje dzieci, może się gniewacie? Co? No, no, nie żałujcie talarów i posłuchajcie starej, co was zna od kołyski. To nikczemna zabawa i nikczemny zarobek, ot, niegodny Polaka. Idźcie tańczyć. Marsz — żartobliwie popędziła ich do drzwi.

Po chwili namysłu roześmieli się wszyscy, potem spoważnieli, pocałowali ją w rękę i wyszli.

Wentzel został sam — na burę.

Babka, pozbywszy się świadków, spojrzała na niego od stóp do głowy. Oh, jak jej stare oczy umiały piorunować!

— To tak, to tak! Wstydzisz się muszę za ciebie! Robisz, co możesz, by się zgubić w opinii<sup>235</sup>. Ślicznie, szuler! Myślisz, że cię po to polubiłam, żebyś ty polską młodzież uczył diabelka, wnosił w nasze domy zarazę waszą niemiecką. Głupia byłam. Tyle lat marzyłam, żeby zobaczyć tylko raz, tylko chwilę, dziecko mojej biednej Jadwini! Zobaczyłam! Dosyć! Trzeba było być Polką, a nie babką. A ja zapomniałam, że to Niemiec, taki był do matki podobny, i pomyślałam, że mi będzie dziecko, pociecha, podpora starości, że serce matka mu dała. Nie, nie, nie! Z sowy nie będzie sokoła, z Niemca nie będzie Polaka. Nie przygłaskasz go, nie oswoisz, nie włożysz w duszę ani delikatności, ani szlachetności, ani iskry ideału. Po co ja ciebie sprowadziłam i chciałam pokochać jak syna!

Wentzel spodziewał się wszystkiego prędzej jak takiej oracji. Na gderanie miał sto argumentów — na skargę tak serdeczną, choć przesadną, ale szczerą, nie znalazł odpowiedzi. Machinalnie przesunął ręką po czole i milczał. Miał siebie za ofiarę dzisiaj, a był winny.

Pani Tekla spojrzała na niego z żalem i wyrzutem.

— Prosiłam cię, żebyś nie grał — rzekła tylko i zawróciła z powrotem do salonu.

Coś go tknęło — zastąpił jej drogę.

— Babciu! — zawołał z niebывалым przejęciem — jak dziecko odpowiem. Proszę mi darować ten raz ostatni. Zrobiłem głupstwo, byłem bardzo rozdrażniony. Przepraszam z całego serca. Może i źle zrobiliście, sprowadzając mnie do siebie, bo teraz ja bym w Berlinie nie wytrzymał. Tęskno mi do Mariampola.

Obejrzała się na niego nieufnie.

— Płeciesz androny! — rzuciła gniewnie niby, ale łagodnie.

— Nie, babciu! Pokochałem was wszystkich, ale mi tu nikt nie sprzyja, dokuczacie mi na każdym kroku, nie znajduję nic oprócz lekceważenia i pogardy. Może to i zasłużone, ale jam był całe życie pieszczony, chwalony, ubóstwiany prawie. Przeskok trudny i ciężki do zniesienia. Mam najlepsze chęci, ale brak mi zachęty i wiary od was. Inny, babciu,

<sup>235</sup>zgubić się w opinii — nieodwołalnie stracić dobrą opinię. [przypis edytorski]

cofnąłby się niezawodnie i uciekł; ja stoję i znoszę, tylko czasem złość mnie ogarnia, jak dziś, gdy nawet nie mogłem uprosić tańca od żadnej z panienek. Poszedłem grać. Co miałem robić! Dawniej na balach byłem pierwszy, dziś jestem ostatni. I tak zawsze teraz.

— To ci bardzo zdrowo! — zamruczała. — Pozbędziesz się trochę pewności siebie i pychy.

Zaśmiał się ironicznie.

— Trochę! Nic już z tego nie zostało. Straciłem grunt pod nogami.

— No, no, to fraszki! Odzyskasz go prędko. Chodź już, chodź! Ja się postaram o taniec dla ciebie. Daj mi ramię. Fe, co tu dymu! Trzeba być szubrawcem z profesji, żeby wytrzymać w takiej norze. Wstydu nie macie!

Już gderała — był to znak równowagi umysłowej i przebaczenia. Milcząc, ucałował jej rękę — usta staruszki dotknęły jego czoła. Było mu dziwnie dobrze na duszy. Doprowadził ją do kanapy.

Tańczono polkę. Przejrzała pary.

— Gdzież to Jadwinia? Że też koniecznie kogoś z was musi brakować! Idź no, poproś ją do mnie.

W gabinecie damskim Jadzia z kilku panienkami pisała jakieś karteczki. Zajrzał przez portierę<sup>236</sup> i usłyszał parę słów rozmowy.

— Imiona panów gotowe?

— Już kończę pisać panie.

— W każdym razie trzeba trochę dopomóc losowi, żeby pary były dobrane. Komu, na przykład, dać twego pięknego hrabiego, Jadziu?

— Hrabinie Mielżyńskiej — odparła spokojnie — ot, robię znaczek na rogu. Uwważasz, Tesiu?

— Dobrze. Naznaczę<sup>237</sup> kogo dla siebie.

— Pana Adama, naturalnie! — zaśmiała się któraś z panienek.

Tu Wentzel, czując, że popełnia niedyskrecję, zastukał we drzwi.

— Pani Ostrowska prosi pannę Jadwigę. *Excuses, mesdemoiselles*<sup>238</sup>!

Jadzia wyszła; usunął się przed nią z ukłonem i wyszukał Jasia w jadalni.

Obydwaj wsunęli się we framugę okna i coś szeptali chwilę tajemniczo. Chrząstkowski śmiał się uszczęśliwiony.

— Doskonale! Schöneich by lepiej nie wymyślił. Idę zaraz. Będzie gotowe; bądź hrabio spokojny.

We drzwiach salonu ukazała się panna Jadwiga.

— Jasiu, czy nie ma tu hrabiego?

— Służę pani.

— Babka kazała mi przetańczyć z panem walca, ale jestem tak zmęczona, że gdyby pan odmówił...

— Pani daruje, ale nigdy nie odmawiam, chyba że mi pani w zamian obieca towarzystwo swoje do kuliżu.

— Wedle umowy los o tym rozstrzyga, nie mogę nic obiecywać.

— *Tückisches Weib*<sup>239</sup>! — zamruczał Jaś, a głośno dodał: — Tańcz, hrabio, nie daruj! To jej przytrze rogi. Przebiera w kawalerach jak w ulegalkach. O, pani Ostrowska ma rozum!

Panienska była widocznie rozdrażniona — wróciła do salonu z miną obrażonej bogini.

Hrabia spojrział na nią i westchnął. Już nie złość, ale rozpacz go ogarniała! Co on jej zawinił, że go tak widocznie nie cierpiała?

— Służę pani! — rzekł posępnie.

Podala mu końce palców, drugą ręką ledwie dotknęła jego ramienia i zmieszali się z resztą tańczących.

Po chwili starsze damy i panowie zaczęli szeptać między sobą, lornetować, trząść głowami.

<sup>236</sup>portiera — zasłona z grubego, ciężkiego materiału zawieszana u drzwi. [przypis edytorski]

<sup>237</sup>naznaczę — konstrukcja z partykułą wzmacniającą -że. [przypis edytorski]

<sup>238</sup>excuses, mesdemoiselles (fr.) — wybaczenie, panienki. [przypis edytorski]

<sup>239</sup>tückisches Weib (niem.) — złośliwa kobieta. [przypis edytorski]

— Co za para! Co za para! Jaka uroda! Blask od nich bije! A jak tańczą! Pani Tekło, dobrodziejko, winszujemy wnuka! Pyszny chłopiec! Pozawraca głowy wszystkim pannom! Stary marszałek, cioteczny pani Tekli, zażył tabaczki, uśmiechnął się filuternie i pochylił konfidencjonalnie do jej ucha:

— Siostruniu, co? A żeby ich zeswatać! Słowo daję, warci siebie! Landszaft<sup>240</sup> istny! Ja lubię takie dobrane pary. Co, he? Dobra myśl!

— Czy brat zwariował! Zapomniałeś o Jadwini! Ale ja nie! Niemiec nie dla Jadzi!

— No, ale i Głębocki... ten... tego... Poślubiła orlica nietoperza! Co? Hę?

A tych dwoje tymczasem nie wiedziało, że są przedmiotem zachwyty i dysputy. To tylko czuli, że im tańczyć było dobrze ze sobą, tak równo, tak zgodnie, tak lekko.

Chwilę milczeli. Ona przez ramię tancerza spoglądała obojętnie na wirujące pary, on zapatrzył się w nią i zaciskał zęby. Nigdy jeszcze dotąd nie dotknął jej ręki; teraz obejmował ją ramieniem, czuł jej oddech chwilami na skroni, zapach perfum, miał tuż obok swych ust jej dumne, a tak pożądane usteczka. Zaciskał zęby, bo gdyby je otworzył, to by mu się wyrwało niezawodnie z serca, z duszy, z oczu, z gardła: „kocham, kocham, kocham!”.

Stał się zaś o tyle pokorny, że wątpił, czy tym wyznaniem zrobi przyjemność hardej Polce.

Ona ozwała się pierwsza:

— Czy nie byłoby dosyć, panie hrabio? Tańczymy prawie sami, pod ogniem lornetek starszych. Muszą nas srodze krytykować.

— Do krytyki przywykłem w Poznaniu. Jeszcze jeden *tour*<sup>241</sup>, pani. Takiej tancerki nie miałem dotąd nigdy. Będzie to mój ostatni walc... chyba z panią, albo z nikim. Czy pani bardzo zmęczona?

Mówił nieporządnie, urywanie, pożerając ją wzrokiem.

— Hrabina walcuje lepiej ode mnie. To ogólne zdanie.

— Może być, ale ja w tym samym mam szczególne zdanie, i ot tak, tańczyłbym do śmierci. Żebym był pani narzeczonym, zabroniłbym pani tańców.

— Bo?... — spytała, marszcząc brwi.

— Bo miałbym za wielu rywali i zginąłbym z zazdrości.

— Rywale w tańcu nie są straszni. Dostyć, hrabio. Za godzinę ruszamy kuligiem, trzeba wypocząć. Jestem okropnie zmęczona. To będzie także mój ostatni walc... dzisiaj.

Odprowadził ją do krzesła. Pani Tekla znalazła się zaraz obok nich, z perorą<sup>242</sup>.

— Ależ, Jadziu, chcesz zemdleć z przetańczenia? Produkuje tu nam swą grację go-dzinę, radzi, że ich podziwiają! Fe, tak się zgrzać!

Jan z daleka kiwał na hrabiego — cofnęli się znowu do jadalni, gdzie młodzież piła, paliła i rozprawiała o kuligu. Pod wieczór zjeżdżały się tuziny sań i saneczek, zapalono kagańce, biegła służba, dzwoniły brzękadła.

Chrząstkowski z hrabią cofnęli się znowu we framugę.

— Opatrzność pana natchnęła podsłuchać spisku — mówił Jan, cały przejęty. — O, dziewczęta! Pięknie by nas urządziły. Ja miałem dostać za towarzyszkę Józję Okęcką, a Cesia miała jechać z Wolickim. Słyszana rzecz! Herezja! No, no, urządziłem im sztukę! Umizgnąłem<sup>243</sup> się do pokojówki, przyniosła karteczki i zmieniłem wszystkie znaki. Zobacz pan komedię.

— Czy dla mnie pan przynajmniej był łaskaw?

— Ot, najmniej, bom się strasznie śpieszył<sup>244</sup> i nie znam pana gustu. Dałem panu Jadzię.

Tu hrabia zapomniał o panowaniu nad sobą i bez ceremonii uściskał młodego człowieka z całych sił.

— A panu co się stało? — wołał Jan, oddając jednak uścisk za uścisk.

— Stało się, żem zakochany jak wariat w pańskiej siostrze! — wybuchnął wreszcie Niemiec.

<sup>240</sup>landszaft (z niem. *Landschaft*: krajobraz) — tu: obrazek, widok. [przypis edytorski]

<sup>241</sup>tour (fr.) — tu: okrążenie. [przypis edytorski]

<sup>242</sup>perora — uroczysta przemowa, tu krytyka. [przypis edytorski]

<sup>243</sup>umizgać się — nadskakiwać komuś, mając na względzie swoją korzyść. [przypis edytorski]

<sup>244</sup>bom się (... ) śpieszył — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: bo się śpieszyłem. [przypis edytorski]

— Jezusie, Mario! To istna wariacja! Co wy w niej widzicie takiego? A Głębocki?  
 — Zabiję go! — rzekł stanowczo Wentzel.  
 — A jak ona pana nie zechce?  
 — To siebie zabiję!  
 — Dwa trupy! Awantura! A pani Tekla?  
 — Co mi tam pani Tekla!  
 — Uhm... — wtrącił Jan — to sęk nie lada! No, no, moja siostra, Helena trojańska, daję słowo!  
 — Może i pan mnie nie zechce? — spytał Wentzel pokornie.  
 — Ja, i owszem. Widzi pan, ja też Niemców nie znoszę. Ale znam Jadzię i wiem, że kiedy ona pana przyjmie, to będzie pan tak czuł jak my, tak wierzył jak my i to kochał, co my. Więc o co się mam kłopotać... co ona zechce, to robi.  
 — Byleby zechciała! — westchnął hrabia. — I żeby mi kto pomógł..  
 — Ja panu dopomogę radą. Nie czekaj pan i nie asystuj jak innym panienkom, co to wpół drogi same wyjdą i ośmielą. Jadzia kroku nie zrobi, choćby kochała szalenie, to nie okaże niczym. Z nią trzeba walczyć otwarcie. Oświadczyć jej się dziś na kuligu...  
 — A jak odrzuci?  
 — Zrobi to niezawodnie, ale to nic.  
 — Dziękuję! Harbuza<sup>245</sup> jeszcze nie kosztowałem nigdy.  
 — Ano, to go pan spróbuje. Mnie Cesia częstuje nim od trzech lat, a jednak będzie moja; ot, przysiągłem sobie i nie wstydzę się. Takie już nasze panienki: lubią się namyślać, ale jak raz się namyślą, to dobre i stałe. Radzę panu jak bratu. Przetnij gordyjski węzeł<sup>246</sup>, bo innego sposobu nie ma.  
 — A potem?..  
 — Przyszłość w rękę Boga i Jadzi. Nie troszcz się pan o to. Jeżeli ten głaz zdolny do miłości, w co wątpię, to będzie się czuła obowiązana do wyznania i odpowie panu faktami; jeżeli nie — zapomnij pan, bo nie dostaniesz nic, choćbyś był jeszcze piękniejszy i jeszcze bogatszy. Dla niej to żadna racja<sup>247</sup>.  
 Rozmowę przerwały wołania w salonie.  
 — Losują! — skoczył Jan, zapominając o wszystkim.  
 Tesia Źdzarska, mała siostrzyczka Cesi, stała nad dwoma stosami zwiniętych kartek i wywoływała imiona wśród śmiechu i żartów.  
 — Pan Adam Głębocki, pani hrabina Mielżyńska! — posłyszał Wentzel.  
 Panienki coś szepnęły między sobą zdziwione, nie pojmując, co się stało Tesi. Jan przysiadł na fotelu i dusił się ze śmiechu z miny Głębockiego i zalotnej hrabiny. Wentzel patrzył na Jadzię.  
 Ruszyła ramionami na szepty koleżanek, ale była zmarszczona. Czuła figiel w powietrzu.  
 Nagle drgnęła i zbladła jak alabaster.  
 Jej imię padło, a obok drugie, nienawistne, brzmiące jak dysonans.  
 Wolałaby każdego, byle nie jego towarzystwo. Zagryzła usta, odgadując spiszek. Poszukała oczami Jana, ale zamiast niego spotkała wysoką, górującą nad innymi postać Prusaka. Wbrew jednak oczekiwaniu nie wyglądał na triumfującego, ale zamyślnego, roztargnionego, prawie smutnego; zdawał się nie słyszeć swego nazwiska, nie widzieć nikogo.  
 Tu Cesia przerwała obserwację Jadzi, skubiąc ją za rękaw:  
 — Czy ty rozumiesz, co się stało? Wszystkie nasze układy wniwecz. Ty z hrabią, hrabina z panem Głębockim... *galimatias*.  
 — Ale ty pewnie z Jasiem!  
 — Ależ tak!

<sup>245</sup>harbuza — tu: odrzucenie oświadczyń. [przypis edytorski]

<sup>246</sup>przeciąć gordyjski węzeł — rozwiązać skomplikowany problem dzięki jednemu, zdecydowanemu i niekonwencjonalnemu posunięciu; nawiązanie do opowieści o Aleksandrze Macedońskim, który przybywszy do Frygii w 333 p.n.e., dowiedział się, że według przepowiedni tylko ten zostanie władcą tego kraju, kto będzie potrafił rozpleść niezwykle zawikłany węzeł łączący jarzmo z dyszlem starego wozu należącego niegdyś do króla Gordiasa i znajdującego się w świątyni Zeusa; Aleksander przeciął węzeł mieczem. [przypis edytorski]

<sup>247</sup>racja — tu: powód. [przypis edytorski]

- No, to jego się spytaj, co się stało.
- Kiedy go nie ma nigdzie.
- Pewnie gdzieś tkwi w kącie. Trzeba było przejrzeć jeszcze raz karteczki.
- Niegodziwiec jeden! Odpląć mu, odpląć!

Jadzia uśmiechnęła się z tego ferworu<sup>248</sup>. Ta para ciągle sobie płatała figle i odpłacała z procentem kłótni. Ale czym ona odplaci za żart, który ją kosztował więcej, niż się kto mógł domyślić?

- Jedźmy, jedźmy! — wołano wkoło, śpiesząc się, jakby się paliło.

Starszyzna pakowała się do krytych sań — dla młodzieży stało kilkanaście jednokonek, panowie otulali damy, służba trzymała rwące się konie; hałas, krzyk, bieganina, tysiące rozkazów, śmiechu, konceptów, nawoływań. Wentzel oprzytomniał o tyle, że wsadził panią Teklę do budy z filuternym marszałkiem.

- Jest dla ciebie „Farys” mariampolski — rzekła mu na pożegnanie.

- Dziękuję, babciu.

— O! „Farys” pobije nasze konie — ozwał się Stefan Żdźarski — chyba mu sprosta „Orlika” pana Adama.

— Postaramy się, że nie — uśmiechnął się Wentzel, oglądając się za panną Jadwigą, która ubierała się z innymi panienkami.

- Narzucił na siebie palto i w lakierkach pobiegł szukać „Farysa”.

Sanki były miniaturowych rozmiarów, koń — węgier czystej krwi. Zebrał Wentzel lejce, odprawił furmana i wpadł jak wicher przed ganek.

- Jadzia wyszła eskortowana przez tuzin panów. Polecieli.

Noc była księżycowa, mroźna, cicha. „Farys” rwał się naprzód; pomimo to wszyscy ich wyprzedzali, śmiejąc się i trzaskając z batów. Kulig się wydłużył jak wielki wąż — na przodzie „Orlika”, w końcu „Farys”.

— Czy jedziemy za konduktem? — ozwała się Jadzia. — Pan hrabia zły Automedon<sup>249</sup>. Proszę puścić wolno cugle.

— Powozić umiem, ale podoba mi się tak jechać. Los nie dał dziś pani przodować z „Orliką”, ale być na szarym końcu z nienawistnym Prusakiem.

— Był to niesmaczny figiel pański i Jana, za który istotnie dość miernie jestem obowiązana.

- Dlaczego? Com pani zawinił, że mnie pani tak okropnie nienawidzi?

— Mówiłam panu już kilka razy, że to jest pańskie przywidzenie. Nie wyróżniam nikogo ani w łasce, ani w niełasce.

- W takim razie dlaczego pani nierada z figla?

- Po raz pierwszy nie znalazła odpowiedzi. Milczeli chwilę.

- Czy pan nie myśli pośpieszyć?

- Nie, pani, bo mam coś do powiedzenia.

- Może by to odłożyć na stosowniejszą chwilę?

— Nie, pani. Zbyt długo i tak zwlekałem. Lękam się okropnie pani, bo wiem, że mnie spotka znowu sromotna klęska.

- Można jej uniknąć milczeniem. Nie jestem zaczepnego charakteru.

— Niestety! Muszę sam iść do ataku. Panno Jadwigo, oszalałem za panią, kocham jak student, pierwszą miłością, gotówem<sup>250</sup> zginąć dla pani... Czy pani bardzo się za to gniewa?

— Gniew mój niewiele by tu pomógł. Dziwię się tylko panu: *primo*, że się tak łatwo zmieniasz; *secundo*, że możesz mi mówić o miłości; nie dałam do tego żadnej zachęty...

- Ale pani wierzy, że kocham?

- Wierzę, że pan oszalał; to ściślejsze określenie.

— Jak pani chce; czy ja wiem, co się ze mną dzieje od kilku miesięcy! Oblęd czy czary! To tylko wiem, że jeśli się pani nade mną nie ulituje, to sobie kulą rozsądę serce, niech nie boli!

<sup>248</sup>ferwor — zapal, entuzjazm. [przypis edytorski]

<sup>249</sup>Automedon (mit. gr.) — przyjaciel Achillesa, powożący jego rydwanem; synonim zręcznego woźnicy. [przypis edytorski]

<sup>250</sup>gotówem — skrócone od: jestem gotów. [przypis edytorski]

Było tyle prawdy w jego tonie, że Jadzia spojrzała nań przelotnie i przestała dysputować chłodno; zamyśliła się i zaczęła bardzo poważnie, ale łagodnie:

— A jakież odpowiedzi mógł się pan spodziewać od Polki, narzeczonej innego? Postaw się pan w roli pana Głębockiego. Za kogo byś mnie pan uważał, gdybym, słowem związana, litowała się nad kimś, kto dla mnie szaleje? Takich szaleńców znalazłaby się spora ilość, a ja bym musiała się nad każdym litować.

— Nie żyliby oni na świecie albo ja!

— A jednak pan Głębocki nie zabija i nawet nie pilnuje mnie, bo wierzy mi i szanuje. Czy pan chce, żebym straciła wiarę i szacunek uczciwego człowieka?

— Ja chcę, żeby mnie pani tylko wysłuchała. W ręce pani składam me serce i życie... Tak mi je ciężko samemu dźwigać i kryć to właśnie, czym się szczycę: pierwszą uczciwą i czystą miłością. Ja wiem, że mnie pani nie przyjmie, ale pomimo to powiadam, że pani kochać nie przestanę, ubóstwiać nie przestanę do śmierci.

Zrobiła gest niezadowolenia i chciała mówić, ale on jej przerwał:

— Na miłość boską! Proszę nie odpowiadać i mieć trochę cierpliwości. Wiem, co posłyszę i chyba zwariuję po tym wyroku. Wolę pani milczenie. Jeszcze chwilę... powiem wszystko i przysięgam, że już więcej nigdy się nie odezwę. Czy pozwala pani?

— Cóż robić! Słucham, chociaż nie powinnam, i nie odpowiem nic, jak pan tego żąda.

— Ja wiem — zaczął — że się zgubiłem w oczach pani tą nieszczęsną pierwszą rozmową w Berlinie. Odtąd pani mi nie wierzy, ma za tchórza i nikczemnika, chociaż, honorem się kłnę, i wtedy, i teraz byłem szczery. Niemcem, zakamieniałym Prusakim zrobiły mnie tradycje ojcowskie, otoczenie, szkoła, służba wojskowa, koleżeństwo. Wszak pani to sama rozumie. Od kolebki wpajano we mnie nienawiść do Polaków; nie znałem ni ojca, ni matki. Nazywano jego ofiarą, ją intrygantką, naród jej był podły. Wierzyłem na ślepo. Moje pochodzenie kazano mi kryć przed obcymi, więc myślałem, że to rodzinna hańba i nazwę Polaka uważałem za obelgę. Zapewne winienem, żem doszedłszy lat i rozumu, nie przekonał się o prawdziwości wpojonych idei, ale był od matczynej ojczyzny odcięty murem przesądów i antypatii. Byłem szowinistą jak moja babka, choć Prusom nie przyznawałem doskonałości. I wtedy, raptem, poznałem panią. Wyznaję, że się zajęły oczy moje i nerwy rzadką pięknnością, nieznaną wśród kobiet niemieckich; potem przyjechałem tutaj. Zdało mi się zrazu, że to kraj z baśni i podania, stary, zapełniały, cudem dobyty na światło. Poznałem tu dopiero, co to wiara i religia. Żeby pani wiedziała, jakem się zdumiał raz pierwszy, gdy Jan wieczorem klęknął do pacierza; poznałem ludzi, co pracują i myślą. I uchyliłem przed wami czoła, i pokochałem kraj matczyzny, i tylko marzę, by zasłużyć na wasze braterstwo. Ciężko mi, oj, ciężko! Ludzie nie wierzą, babka nie ufa i pani zaręczona!

Zatrzymał się, sądząc, że może coś odpowie; ale ona, wierna obietnicy, milczała uparcie, zapatrzona w srebrzący się od księżyca tor drożny.

— Dawniej, wobec tak smutnej perspektywy, cofnąłbym się tam, gdzie mnie podziwiają, wielbią, kochają i ciągną. Traciłbym, jak dotąd, czas i pieniądze lub ożeniłbym się z księżniczką krwi, na złość wam i własnemu sercu, i może bym w końcu zapomniał polskiego epizodu w mym życiu. Ale teraz za późno. Już nie oczy i nerwy kochają panią, ale serce, dusza, cała moja istota. Dawniej pożądałem, teraz pragnę służyć i stać się godnym, nie pani serca, bo je kto inny posiada, ale pani szacunku i choćby przyjaźni. Oto i wszystko. Odbylem spowiedź, zna pani teraz mnie całego, odtąd będę tylko działał i milczał. Wierzę, że pani mej spowiedzi nie zapomni, zaufania nie sponiewiera i może kiedyś daruje mi wszystkie winy i obrazy. To mi wystarcza. O jedno tylko proszę teraz: niech mi pani pozwoli uścisnąć swą rękę. Będzie to znak, że mi pani darowała.

Bez wahania podała mu rękę. Wziął ją i podniósł do ust z uszanowaniem.

— I nic mi pani nie powie?

— Wszakże pan żądał milczenia — uśmiechnęła się. — Bał się pan wyroku.

— Prawda. Wiem, co mnie czeka.

— Kiedy pan wie, to proszę czekać — odparła. — Nie zapominam i nie zdradzam niczyjego zaufania i panu dziękuję za pochlebny sąd...

Tymczasem koń, korzystając z roztargnienia woźnicy, wyrabiał różne sztuczki: to się słupił, to galopował, to szarpał, czasami rżał i rzucał się rozgniewany, że go wszyscy wy-

przedzili. Żelazna siła Wentzla wstrzymywała go od rozbiegania, ale za to sanki latały tu i tam po szlaku jak pijane. Nagle zatoczyły się w zabieg, stuknęły i przewróciły się w zaspę śniegu, nakrywając naszą parę w chwili, gdy Wentzel odpowiadał towarzyszcze:

— Po nabyciu Strugi i ja jestem tutejszym obywatelem.

Koń zaczął rwać się i wierzcąc, spod sanek wyrwało się niemieckie przekleństwo i hrabia wygramolił się cały biały, trzymając jednak cugle.

Pomimo swych lakierków i pozoru tylko salonowca nie stracił głowy. Za nim wyskoczyła panna Jadwiga, ośnieżona, ale nietknięta. Śmiała się.

— Bóg karze pychę. Obiecał pan przodować na kuligu, a tymczasem oto na szarym końcu smutny nas spotkał wypadek. Proszę, ja konia potrzymam, zanim pan ekwipaż doprowadzi do porządku.

— Przepraszam panią za swą nieuwagę. Dobrze, iż nas nikt nie widział. Powiedziano by, że powozić nie umiem, a tu tylko winien koń źle ujeżdżony i nasza rozmowa. Kto myśli o drodze, gdy się jego los rozstrzyga! Otóż i gotowe znowu. Czy pani nie skaleczyła się, broń Boże?

— Kto ma Jana za brata, ten przywykł do wypadków. Nic mi nie jest, dziękuję panu.

Ruszyli znowu, ale już Wentzel puścił cugle i pilnował jazdy. Rozmawiali o rzeczach potocznych. Jan miał słuszność: arbuz nie był zbyt przykry z takich rąk, a oboje, zbywszy się tajemnicy, byli daleko swobodniejsi. Panna Jadwiga stała się rozmowniejsza — mówili o pani Tekli, o scenie z kartami, o sentymencie Jasia. Uprosił sobie nawet Wentzel pierwszego kontredansa.

Gdy zajechali przed dom Wolickich, gdzie był cel kuligu, wszyscy już tańczyli. Na ich spotkanie wyszedł Wolicki z matką, Jaś i Głębocki.

— Chcieliśmy posyłać obławę za wami — śmiał się Jan po pierwszych wyjaśnieniach — wszyscy byli zaniepokojeni: pani Tekla drży o wnuka, a ja i Adam o Jadzię. Ale, ale, wiecie, czym Adam zabawiał się z hrabiną w sankach? Grali w domino. Doprawdy, cztery partie. Ja im włożyłem do sań pudełeczko z kostkami... Wiem, czym kogo uszczęśliwić.

Wszyscy się śmiali oprócz Głębockiego, który skrzywił się, jakby go zęby bolały, pomagał rozbierać się narzeczonej. Ruszono do salonu. We drzwiach Wentzel idący za Jasiem poczuł, że go ktoś zatrzymuje za ramię; obejrzał się — był to Głębocki.

— Czego pan sobie życzy? — spytał trochę zdziwiony.

— Parę słów rozmowy.

— Służę.

Zatrzymali się w sieni wśród stosów futer i czapek i Głębocki zaczął bez żadnego wstępu:

— Chcę odkupić Strugę od pana. Daję pięć tysięcy marek odstępnego. Czy pan się zgadza?

Ton był tego rodzaju, że w Wentzlu zagrała krew obrazą — zmierzył rywala iskrzącym wzrokiem.

— Za kogo mnie pan ma? Za aferzystę i handlarza. Kupiłem majątek dla siebie i zachowam go. Pańskie marki tyle mi znaczą, co plewa.

— Na cóż pan kupił Strugę? Chciałbym wiedzieć. Tu nie pana miejsce w Poznaniu! — zamruczał ponuro Głębocki.

Croy-Dülmen skoczył jak oparzony.

— Kupiłem, bo mi się tak podobało i basta! Moje miejsce jest tam, gdzie ja chcę; nie pytam nikogo o pozwolenie, a najmniej pana.

— A ja mam prawo spytać, bo mi się nie podobają pana umizgi do mojej narzeczonej. Jakim prawem sfalszował pan dzisiaj znaki na kartkach do kuligu? Myśli pan, że jestem ślepy i idiota! Widzę i rozumiem wszystko. Podobało się panu bałamucić Polkę, nie zważając na to, że jest zaręczona... O, bardzo proszę, w takim razie, wracać, skąd pan przyszedł! U nas nie toleruje się podobnych zabaw. Chciej pan to zapamiętać na przyszłość.

— Podziękuj pan swemu szczęściu, że nie lubię robić burd po obcych domach i że zbyt szanuję pańską narzeczoną, bo spoliczkowałbym pana jako nikczemnika i zabił nazajutrz za te brudy i podłości, które mi prawisz, a które nie tyle dotyczą mnie, co pannę Jadwigę. Nie jestem jej naręczonym, ale kocham może więcej niż pan, a niezawodnie wyżej cenię

i poważam. Nie śmiałbym jej nie wierzyć, pilnować i pozwalać sobie na przypuszczenia krzywdzące. Bądź pan pewny, że ona bez pana pomocy potrafi utrzymać swój honor nieskalanym i chyba pana dzika zazdrość wymyśli cię na nią. Chciej pan i to zapamiętać, że raz drugi nie ujdzie podobna rozmowa między nami na sucho.

— I owszem, pragnę tego. Nie lubię marnować słów i wolę kule! — rzucił zajadle Polak.

— A zatem, do widzenia! Rachunki nie skończone między nami, ledwie zaczęte. Tymczasem, tu nie miejsce i chwila niestosowna.

— Spotkamy się jeszcze, panie hrabio! Radzę być ostrożnym ze mną.

— Na zbójców mam rewolwer zawsze, a dla przeciwnika pistolety i szpadę. Żegnam pana!

Wyszedł bez ukłonu. Głębocki został, patrząc na drzwi z wyrazem piekielnej zawiści. Twarz jego, posępna, była straszna w tej chwili. Potem opamiętał się, przetarł czoło dłonią, coś zamruczał i wrócił do salonu. Stawano do kadryla — nie chciał tańczyć, usiadł obok drzwi i nie spuścił oczu z jednej pary.

Opale migwały we włosach tancerki, a tancerz wyróżniał się wzrostem i pięknnością.

Bawili się ochoczo, śmiejąc się z konceptów Jasia i Cesi, których mieli *vis a vis*.

Głębocki siedział sam jak szara plama w tym salonie, był opuszczony, znękany, rozdrażniony w najwyższym stopniu. Z natury nietowarzyski, mruk, zazdrośnik, nie miał nigdy przyjaciół, w rodzinie go nawet nie lubiano: więc zgorzkniał przed czasem, nie znał zabawy, żartu, swobody. Niezadowolony wiecznie z całego świata i z siebie, mizantrop, pesymista, żył męcząc siebie i wszystkich wokoło. Smutne finansowe położenie zdemoralizowało go do reszty: a teraz ten hrabia!...

Och, on kochał swą Jadzię szalenie, drżał o nią, wszystkie uczucia skupiał w niej, ale nie mógł zmienić swej zawistnej, gorzkiej natury. I kochanie w nim było ciągłym niedowierzaniem, zazdrością i udręczeniem. Człowiek ten nie umiał być szczęśliwy.

Wsunięty w swój kąt zgrzytał zębami. Czuł, że piękny panicz niósł mu zgubę i że myśli zemsty oblegały mu głowę, coraz czarniejsze, w miarę jak tamci byli swobodniejsi i weseli.

Widział ich każdy ruch i spojrzanie; zdawało się mu, że drwią z niego — wzdrygał się.

Potem ujrzał, jak hrabia objął ramieniem panienkę i wir tańczących uniósł ich splecionych uściskiem. Wszystkie pary wirowały, ale on tę jedną tylko widział i obserwował. Mówili coś ze sobą — pewnie o miłości; czasem ruch tańca rzucał w oczy Wentzla jej ciemne, jedwabiste włosy, czasem pochyłali się ku sobie.

Była to dla nieszczęśliwego okropna tortura.

Gdy kadryl się skończył, kilku młodych ludzi, idąc na papierosa, otarło się o niego, wśród nich hrabia i Chrząstkowski.

— Co ci, Adamie? — zagadnął Jan wesoło.

— Głowa mnie boli — odparł przez zęby.

— To migrena, mój drogi, skutek domina z hrabiną. Poproś ją jeszcze o jedną partijkę. Klin klinem.

— Oddaję ją podobnym tobie błaznom! — burknął w pasji hipochondryk.

Jan obejrzał go uważnie i głową pokręcił.

— Mój Adasiu, przypomnij no sobie, czy cię też kiedy nie pokąsał pies wściekły! Od dawna chciałem cię o to zapytać. Coś ty mi się wydajesz podejrzany.

Całe grono młodzieży wybuchnęło śmiechem i wyszło do jadalni, zanim Głębocki zebrał się na odpowiedź.

Istotnie, miał ochotę gryźć i szarpać każdego, nie wyłączając narzeczonej.

Dwie noce trwały tańce. Były to ostatki zapustów<sup>251</sup>; kto żył, ślaniał się na nogach, ale skakał cudem bożka karnawału. Pierwsza pani Tekla dała hasło odwrotu, zabierając Jadzię i wzywając do opamiętania wnuka i wychowańca. Było to we wtorek rano<sup>252</sup>.

<sup>251</sup> *zapusty* — ostatnie dni karnawału. [przypis edytorski]

<sup>252</sup> *Było to we wtorek rano* — zważywszy wzmiankę na początku rozdz. IX o „kuligowej środzie”, po dwóch nocach tańców wypadalby piątek rano; jednak dalej też panuje zamieszanie chronologiczne, wynikające z próby dopasowania czasu akcji do kalendarza kościelnego: zapusty to ostatni tydzień przed środą popielcową. [przypis edytorski]



Niestety, głos jej przebrzmiał bez skutku.

Stało się bowiem, że w poniedziałek Jaś pokłócił się z Cesią. Nie gadali do siebie inaczej jak przez ramię i dowodzili sobie czynnie wielkiej obojętności. Cesia kokietowała widocznie Stacha Janiszewskiego, a Jan asystował gorliwie innym panienkom. Z kłótni tej skorzystał hrabia, bo go Jan przedstawił wszystkim młodym sąsiadkom i znajomym damom, z czego wynikło obustronne zajęcie i tańce na zabój. Każda chciała się pochwalić takim tancerzem.

Otóż pupilów swoich nie mogła wydstać pani Tekla z otchłani karnawału. Hrabia miał zamówione tańce na wieczór i gospodarze domu wypuścić go nie chcieli. Jan czuł gwałtowną chęć pogodzenia się z Cesią i rozmyślał, jak to ładnie będzie, gdy ona go przeprosi. Swoją drogą wiedział z doświadczenia, że to nie ona, lecz on odgrywa zawsze akt skruchy.

W saniach tymczasem, między jedną drzemką a drugą, pani Tekla streszczała swe obserwacje.

— Ten twój przyszły wygląda aż fe! Jakiś kwaśny, nudny, źle ubrany, niezgrabny. Nieprawdaż?

— Przy takim Apollo jak babci Prusak bledną inni.

— Jak to, mój Prusak? Bardzo proszę! Nie możesz stąpić bez ironii. A ja ci mówię, tylko sza, że z tego urwisa będą ludzie. Zobaczysz, niech no go jeszcze pomusztruję. Prusak, ha, prawda, ale kto wie... Łaska boska...

Zamyśliła się czy zdrzemnęła, bo głos przeszedł w niewyraźne mruczenie. Jadzia nuciła półgłosem jakieś balowe wspomnienie...

Znowu ocknęła się staruszka i westchnęła.

— Dzieci, mówią, to plaga! — zaczęła, głową kiwając. — Ale żeby kto wiedział, jaka to ciężka starość bez własnych dzieciaków! Niechby i broiły, żeby ich mieć teraz. Moja Jadwinia nie zrobiła mi nigdy przykrości i za to ją Bóg wziął. A teraz?

— Czyż my nie jak babci rodzone? — spytała serdecznie Jadzia całując dłoń staruszki.

— Nie skarżę się na was, broń Boże! No, ale cóż z tego! I wam czas o sobie pomyśleć. Widziałas Jana? Oczami pożera tę czarną Żdżarską. Zobaczysz, że dziś czy jutro dobiją targu. No, i przepadł mi Jaś. Już mu nie Mariampol będzie domem, ale Olszanka. I tak dobrze, tak być powinno; ja mu jak matka pobłogosławię. Ot i jedno wyleci. A ty, ot i tobie trzeba gniazdo zakładać. I ciebie nie stanie za jaki rok. Nie w moim guście ten hipochondryk, ale znam ciebie, głupstwa nie zrobisz i wiesz, co postanowisz. I ciebie pobłogosławię i oddam mężowi. Ot i koniec.

Znowu głos się zniżył i pochyliła starą głowę. Jadzia już nie nuciła. Dziwna to była rozmowa po balu.

— Prusak, tak, niestety! — zaczęła znowu pani Tekla. — Ale to moja krew, moje jedyne dziecko. Jego jednego chciałabym sobie wziąć; on mój, zostałby w Mariampolu.

— Przecie, babciu, i on kawaler. Czeka na niego pewnie w Berlinie jaka księżniczka i on zechce założyć gniazdo.

— Nie wygląda na to. Tyle było ładnych panien; żadnej nie asystował.

— Tylko hrabinie Mielżyńskiej. Może zresztą swe serce już komu oddał.

— Hrabina? Et, każdego złapie. A zresztą, choćby i był gdzie związany, poproszę go, by zaczekał aż umrę. Co mi już żyć! Parę lat. Zobaczysz, że posłucha i zostanie. On mi jeszcze nigdy niczego nie odmówił.

— I hrabia Ralf, jego ojciec, był posłuszny.

— Ten mi córki nie weźmie. I zresztą on inny, lepszy, słodszy od tamtego zbója! Żebyś go widziała po tej awanturze z kartami! Wziął mnie za serce. „Miejcie ze mną trochę cierpliwości — prosił — ja chcę być waszym, ale mi tak trudno, nikt dłoni nie poda”. Wtedy to posłałam ciebie z nim do tańca.

Po bladej twarzy panny Jadwigi przebiegł rumieniec, poruszyła się i wyjrzała na zimowy szlak.

— To mi nie było wcale przyjemne — rzekła.

— Ciekawam, za co go tak znowu nie lubisz i co widzisz miłszego w tym wymokłym Głębockim?

— Ja się łatwo wytłumaczę: pan Adam jest to mój rodak i znajomy. Jestem nieufna i ostrożna z natury. Ale dlaczego babcia woli hrabiego niż mnie i Jasia, tego pewnie nie wytłumaczy.

— Ja wolę? Kto to mówił? Brednie! Śni ci się coś! — zaperzyła się staruszka, odzyskując równowagę umysłu, ale Jadzia ciągnęła dalej:

— Żeby ten Prusak jako warunek pozostania w Mariampolu postawił moją rękę, poświęciłaby mnie babcia niezawodnie. Rzuciłaby wychowankę na pastwę Szwaba, odwiedziłabym i ja zbójcecki zamek nad Renem.

— Co to, to nie! Na taką propozycję wyrzuciłabym go za drzwi. Ale co tam gadać! Czasy się zmieniają, a ty nie tamta słodka i cicha dziewczeczka.

— Więc niby ja jestem megiera! Dziękuję!

— Po co przerywasz? Jesteś inna i basta. Tobie ani radzić, ani odradzać nie trzeba, i nie znalazłby się dość zuchwały Niemiec, który by ośmielił się uczynić podobną propozycję tobie.

Jadzia zamilkła. Był taki zuchwalec, ośmielił się, a ona go nie spiorunowała wzgardą i obrazą. Wysłuchiwała i dotąd słyszała namiętny głos wroga, szepczący jej w obecnej mowie o czci i kochaniu, i wierności dozgonnej.

I był to grzech słuchać go, i grzech myśleć, i może grzech pragnąć, by dotrzymał.

Harda dziewczyna była tak pokorną teraz w poczuciu winy i tak pełną nadziei w coś, czego nie ważyła się jeszcze określić.

Wróciwszy do domu, zamknęła się u siebie. Czy spała — wątpliwe, bo raniutko w środę popielcową oznajmiła zdumionej pani Tekli, że jedzie do Braniszcza na nabożeństwo.

Staruszka odpoczywała jeszcze po balowej pańszczyźnie i aż podskoczyła ze zgrozy na tę wieść; czepek jej kołysał się w takt urywanych wyrazów.

— Na mszę! Sama! O świecie? Czyś oszalała? Czego? Fe, jakaś ty błada i mizerna! Oto jest skutek karnawałowych facecji<sup>253</sup>. Chłopców nie ma?

— Nie wiem. Sanna wyśmienita, wrócę na obiad — odparła śpiesznie panienka i zmknęła od dalszych uwag i komentarzy.

Nie była zdolna zachować dzisiaj swego chłodu i spokoju. Potrzebowała ciszy, samotności i medytacji, by się z sobą sama porozumieć.

Po raz pierwszy w życiu opadły ją jakieś wątpliwości, skrupuły, była okropnie z siebie niezadowolona.

Inna w jej wieku zwierzyłaby się koleżance, poradziłyby się babki, wynurzyłyby przed kimś swą zgrzyotę. Jadzia powiernic nie miała, a wszelkie swe smutki i radości przywykła była znosić sama, nie wtajemniczając nikogo.

Miała wstręt do gadulstwa i spowiedzi światowej. Była niesłuchanie nieufna, dzika i skryta. Zdawało się jej, że wyznać swe uczucia — to wystawić się na śmiech i pogardę; miała to za nie do darowania błąd i słabość.

Tajemnic swoich nie udzielała nikomu, ale też nie zdradzała nigdy cudzych zwierzeń; nawet ukochany brat, Jaś, nie mógł żadną miarą wydobyć z niej tak ważnej dla niego wieści: czy Cesia Źdzarska da mu nareszcie harbuza czy rękę.

Jechała tedy Jadzia zasępią, tocząc duszny<sup>254</sup> kompromis, gdy wtem na zawrocie ujrzała tuż przed sobą spienione łby kasztanów Jasia.

— Stój! — krzyknął Jaś, wyskakując z sanek.

Wyglądał promieniejący<sup>255</sup>. I Wentzel wysiadł też. Zbliżyli się do niej obydwaj.

— Nie zatrzymuj, bo się spóźnię! — rzekła, podając obu rękę na powitanie.

— Zaraz, zaraz! Tylko zgadnij, kto ja jestem?

— To ci patrzy z oczu. Narzeczony Cesi.

— Niech cię uściskam! Patrz! — pokazywał jej triumfalnie mały pierścionczek paniński na palcu i zaśpiewał fałszywie, ale z ochotą:

Kochają się z strasznej mocy —  
Będzie ślub po Wielkiejnocy! Hu, ha!

<sup>253</sup>facecja (daw.) — żart, dowcip, anegdota; tu: zabawa. [przypis edytorski]

<sup>254</sup>duszny (daw.) — odbywający się w duszy; duchowy. [przypis edytorski]

<sup>255</sup>wyglądał promieniejący — dziś raczej: wyglądał, jakby promieniał. [przypis edytorski]

— Co? Nieradaś<sup>256</sup>? — spytał

— Owszem, z całego serca. Stworzeni jesteście dla siebie. Nudzić się nie będziecie. Starczy wam humoru na całe życie. Czego ci życzę, i jak szczerze, wiesz najlepiej.

— No, to daj buzi, mój aniele opiekuńczy. Żeby nie ty, może bym się rozhultał i roztrwoniał swe serce na miłości. Aleś ty strzegła i wstyd mi było odejść od twego ideału. Cesia mi mówiła, że gdybym nie miał takiej siostry, toby mi nigdy życia nie powierzyła. I ma rację.

— Żebyś nie był z gruntu szlachetny i delikatny, nie miałabym żadnego wpływu. Sameś się strzegł<sup>257</sup>.

Ucałowali się serdecznie, potem spojrzeli na siebie i widocznie na jedną myśl posmutnieli.

— Nie ma Wacia! — szepnęła Jadzia, a Jan oczy spuścił i otarł wąsy czy lzy nieznacznie.

Po chwili, może przez wzgląd na obcego świadka, podnieśli głowy i Jadzia zwróciła się do hrabiego:

— Jan pana pewnie aż męczy swym szczęściem?

— Jako starszy družba, jestem po trosze zainteresowany — odparł z uśmiechem.

— Ale — wmieszał się szczęśliwy narzeczony — Wentzel z Cesią tak się pokumali, że aż strach. On nas pogodził i zareczył. Wypiliśmy we troje braterstwo i przechrzciliśmy go po naszymu na Waclawa.

— No, no, i to wszystko przez te kilka godzin! — uśmiechnęła się panienka. — Ile zmian! Będziecie mieli czym zabawić panią Teklę do mego powrotu.

— Dziękuję, ja idę spać — wołał Jan przestraszony. — Ani się pokazuję, nim ty jej nie przygotujesz. Ślicznych bym rzeczy się nasłuchał z pierwszego impetu!

— Hrabia mnie zastąpi. Ma szczególne łaski.

— Aha, hrabia! I on czym innym zajęty. On mi družbą, a ja mu swatem. Mamy z sobą wiele jeszcze do mówienia. Strzeżcie się, Polki! Prusak porwie z was jedną. Niech no się zdecydujemy na którą, przepadła. Ty nam pomożesz, Jadziuniu.

— Nie obiecuję. To są sprawy zbyt osobiste. Ale tymczasem proszę mnie puścić. Spóźnię się niezawodnie.

— Do widzenia! Nie zapomnij się za mnie pomodlić.

— O! Niezawodnie! — odparła.

Jan przystąpił. Wentzel podał jej rękę.

— A za mnie czy się pani pomodli? — spytał.

Po twarzy jej przeszedł nerwowy skurcz; spojrzała mu dziwnie w oczy.

— Pomodłę się! — mruknęła niewyraźnie.

Pochylił się szybko i, nim zdołała się cofnąć, pocałował ją w rękę.

— Niech pani się pomodli, bym się stał kiedyś was godny — rzekł usuwając się na bok, a jego błyszczące, magnetyczne oczy mówiły bez słów: „Kocham cię całą duszą”.

— Ruszaj, Maciej! — zawołała panienka, unikając tego okropnego wzroku pokusy.

Ba, kiedy Macieja nie było na koźle.

Szanowny swat wynalazł jakąś usterkę w zaprzęgu i zwerbował furmana na ziemię. Obydwa majstrowali coś przy chomątach.

Wentzel spojrzął w tamtą stronę i oznajmił spokojnie:

— Coś się popsulo.

Zbliżył się znowu, oparł o drzwiczki budy, i wpatrzony w nią, opowiadał swobodnie ostatnie chwile balu i zareczył Jasia.

Jadzia wsunęła się w głąb powozu i słuchała milcząco. Wszyscy się na nią sprzysięgli, nawet brat, zatopiony nad uszczerbkiem w uprzęży. Czuli, że ta reperacja była umyślna, a uszkodzenie fikcyjne — ale cierpiała, nie dając nic poznać po sobie.

— Panna Celina jest ślicznym, uroczym stworzeniem — mówił Wentzel — i, jak wszystkie Polki, kryje niespodziankę w sobie. Z pozorów trzpiot i swawolnica, myślałby kto, bańka mydlana lub wesoły śpiewający ptaszek. No i złapałem się na pozór jak fryc. W polce mówię jej żartem: „Jak można się gniewać na Jasia? Taki ładny, wesoły chłopiec,

<sup>256</sup>nieradaś — skrócone od: nierada [jeste]ś; nie jesteś rada. [przypis edytorski]

<sup>257</sup>sameś się strzegł — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: sam się strzegłeś. [przypis edytorski]

trzeba go kochać”. Oburzyła się okropnie: „Pan myśli, że go trzeba kochać tylko, że ładny i wesoły? Jego trzeba kochać, choćby był straszny, bo on dobry, zacny, prawy i wierny! Pan mnie ma za lalkę!”. Zuch dziewczyna! I ją za to samo ubóstwiać trzeba. Żebym miał wolne serce, tobym zazdrościł Janowi takiej kochanki.

— Po polsku się mówi: ukochana! — zauważyła Jadzia.

— Ukochana! — powtórzył z cicha, jakby się uczył tego wyrazu — ukochana!

Dziewczyna zmarszczyła brwi, wyjrzała.

— Czy nie będzie dosyć tej reperacji? — zawołała niecierpliwie.

Jan raczył zdecydować, że już gotowe. Maciej wgramolił się na kozioł, naznaczył krzyż biczem i ruszył. Młodzi ludzie zostali na drodze.

— Trafisz, siostrzyczko, na *benedicamus*<sup>258</sup> — zaśmiał się figlarz — ale to opóźnienie będzie i Bogu miłe, i ludziom przyjemne. Do widzenia!

Rozjechali się. Po chwili zamajaczyło w dali miasteczko, stanęli przed kościołem.

Pierwszą osobą, którą spostrzegła Jadzia, był Głębocki. Zzymnęła się. Sądzone snadź było, by nie miała chwili dla siebie samej.

— Wiedziałem, że pani będzie — rzekł posępny narzeczony, a na jego żółtą twarz wystąpił błysk radości.

Weszli do kościoła. Oprócz ludu nikogo prawie nie było. Msza, wedle przepowiedni Jasia, miała się ku końcowi.

Narzeczeni uklękli obok siebie i wyszli prawie ostatni.

— Pan będziesz dziś w Mariampolu? — spytała panienka.

— Ja? Czego<sup>259</sup>? Patrząc, jak Niemiec umizga się do pani? To nad moje siły. Mogę popełnić zbrodnię! — zamruczał zawistnie i dziko.

Ona zbladła z obrazy czy trwogi, spojrzła mu w oczy przejmująco.

— Pan mi nie wierz! Czy mam się tłumaczyć? Nie dałam do tego najmniejszego powodu.

— Nikomu nie wierzę, tylko pani; ale kocham szalenie i jestem zazdrosny o swój skarb. Pani mnie zna!

— Niestety! Pan się zamęcza walką z urojeniami. To nieszczęsna mania.

— Nie zmienię swojej natury — odparł uparcie.

— Więc pan nie będzie u nas dzisiaj? Radosny to nam<sup>260</sup> dzień. Jaś się zaręczył.

— Szczęść mu Boże! Dla mnie, przeciwnie, dzień smutny. Dziś wyjeżdżam ze Strugi. Niemiec mnie wypędza z ojcowizny.

— Panie Adamie, przecie pan dobrowolnie sprzedał za potrójną cenę wartości. Cóż tu Niemiec winien?

— Czy pani go już broni?

— Nie, tylko stawiam rzeczy, jak są istotnie. Za te pieniądze możesz pan kupić trzy Strugi i oczyścić się z długów. Po co narzekać?

— Co wiem, to wiem. Ten Niemiec zrobił dobry interes. Dawałem mu odstępnego, nie chciał mi, łotr, zwrócić majątku. On wie, co robi.

— Prawdopodobnie. Idiotą nie jest i nie dziw, że odstępnego nie chciał, boś go pan pewnie obraził propozycją.

Głębocki popatrzył na mówiącą, rysy mu drżały, oczy ciskały złowrogie błyski.

— Ja go jeszcze zabiję, jeżeli...

Nie dokończył, bo mu przerwała z całą swą dumą i chłodem:

— Pan się zapomina w swej złości! Podobnej rozmowy nie zwykłam słuchać, a pańskie myśli dość jasne i obraźliwe dla mnie. Może się pan opamięta i uspokoi... tymczasem żegnam! Ruszaj, Maciej!

Przed pocztą stanęła na chwilę. *Der echte Preusse*, jak go Urban nazywał, dał jej dużą paczkę listów i gazet. Kilka listów nosiło adres: Graf Croy-Dülmen, parę było do pani Tekli i Jasia, jeden do niej samej. Zdumiała się. Adres haniebny, nazwisko przekręcone, na papierze hrabiowska korona, dwie splecione litery: A.C., stempel berliński, a co najdziwniejsze, że identycznie podobny papier i litery nosił drugi list do hrabiego. Oba

<sup>258</sup>*benedicamus* (łac.) — tu: błogosławieństwo; od słów kończących łac. mszę: „benedicamus Domino (...)”, tj. niech nam Bóg błogosławi. [przypis edytorski]

<sup>259</sup>*czego* (pot.) — tu: po co; dlaczego. [przypis edytorski]

<sup>260</sup>*radosny (...) nam* — dziś popr.: radosny dla nas. [przypis edytorski]

woniały jakimś eleganckim pachnidłem. Jadzia podniosła brwi i ramiona w górę. Pomimo mrozu rozciąła kopertę i dobyła małą ćwiartkę welinu, zapisaną drobnym pismem po francusku:

„Pani! O względy i miłość pani stara się młody człowiek, hrabia Wentzel Croy-Dülmen. Jeśli mówi Pani, że wolny i bez żadnych obowiązków, to kłamie. Spytaj się go pani, kim on jest od lat siedmiu dla Aurory Carolath i czym ona jest dla niego. Jeżeli powie, że niczym: kłamie! Oddałam mu swą cześć, honor i serce — należę do niego, a on do mnie, i nikomu go nie oddam, bo mam prawa, a on jest człowiekiem honoru! Musi być pani bardzo piękna, ale się nie boję, bo jestem, pomimo wszystko, kochana, a Pani, po przeczytaniu tego listu, nie zechce ze mną rywalizować. Hrabia Wentzel należy do mnie, powtarzam, i nikt w świecie nie potrafi go tak ubóstwiać jak ja. Oddaj go Pani, bo przysięgam Ci, że nie pozwolę, żeby on z inną był szczęśliwy, i odbiorę Ci go, choćby był twoim mężem nawet! Nie drażnij mojej namiętności i zemsty, a usłuchaj ostrzeżenia i rady!

*Aurora Carolath*”.

— Ohydne! — wzdrygnęła się Jadzia, odtrącając list jak plugawy owad<sup>261</sup>; parzył jej rękę, a twarz całą pokrył oburzeniem, pogardą i wstrętem.

Rywalka płoczej awanturnicy wielkoświatowej! Brr! Co za upokorzenie i wstyd! Zdało się jej, że ktoś błotem ją obryzgał, nazwał ulicznicą!

Zmiała list i wyrzucić go chciała; ale przyszedł namysł — wsunęła go na powrót w kopertę i włożyła do kieszeni sanek.

Po co miała znosić obelgę, jakby była winna — niech ten cierpi, kto zasłużył.

Uspokoili się, a raczej po swojemu skryła uczucia pod maską chłodnej powagi.

Gdy wysiadła w Mariampolu, pani Tekla nie dostrzegła żadnej w niej zmiany. Zajęła się zwykłą robotą około zaniedbanych lekcji w ochronce, przeglądała zadania, snuła się po domu, pomagając staruszce krzątać się po gospodarce. Panicze spali w oficynie.

Wbrew bojaźni Jana wieść o zaręczynach przyjęła babka bardzo spokojnie. Spodziewała się tego — i tylko utyskiwała nad bezładem, który się zagnieździ w obu majątkach, nim się chłopak uspokoi ze ślubem.

— Trzeba będzie dać mu urlop na ten czas, bo to nic niewarte: administrator zachany jak kot w szperce. Niechby osiadł na ten czas u Żdzarskich. Biedne konie i służba! Ja wezmę porządek w swoje ręce tymczasem, a tobie wypadnie zająć się domem w Olszance. Po kawalerze jak po Tatarach wygląda, a ta błaznica Cesia pewnie ładu nie zaprowadzi. Dobrze, jeśli gotowy utrzyma jako tako. Cóż milczysz? Osowiałaś zupełnie...

— Słucham, babciu! Wszystko się zrobi!

Słuchała istotnie, ale myśl jej kołowała uparcie nad listem hrabiny Aurory.

Należy on do mnie! — dzwoniło jej w uszach. Jeśli mówi, że kocha: kłamie! Mam prawa... oddałam cześć, honor, serce, a ty co? Nic!

Przez cały dzień tysiąc sprzecznych myśli rozsadało głowę biednej Jadzi, a pani Tekla rozprawiała o tapetach w Olszance i o trzpiotowości obojga narzeczonych.

Jak wszystko — widziała i ich pożycie w gderliwych kolorach.

— Będą baki zbijać, zobaczysz! — powtarzała.

Pod wieczór w głowie Jadzi uspokoiło się. Powzięła stanowczy zamiar. Doszła do porozumienia z sobą — wiedziała, co jej czynić wypada.

Na herbatę zjawili się młodzi ludzie. Jan wsunął się na ostatku z niepewną miną, wąpiąc w dobre przyjęcie swej nowej godności, hrabia — ze zwykłą swą konwencjonalną swobodą. Człowiek ten umiał po swojemu panować też nad swoimi wrażeniami. Był wytrawnym światowcem.

— Przedstawiam babci winowajcę! — ozwał się wesoło. — Ten pan zapala pochodnię hymenu.

<sup>261</sup>odtrącając list jak plugawy owad — dziś z D.: (...) jak plugawego owada. [przypis edytorski]

— Wiem, wiem! Od czterech lat wisiało to nade mną jak miecz Damoklesa<sup>262</sup>. Tracę towarzysza zimowych wieczorów i pomocnika.

— Ofiaruję się na niegodnego zastępcę.

— A za jaki miesiąc sam w jego ślady pójdiesz.

— Niech Bóg broni! Ślubuję celibat, a jeśli go złamię, to żonę będę trzymał w Mariampolu.

— Co? Niemkini pod moim dachem! Tego moje oczy widzieć nie będą! — oburzyła się.

— Na cóż koniecznie Niemka! — wtrącił Jan. — Może być Francuzka, Włoszka, Hiszpanka.

— Nie ciekawam<sup>263</sup>, nie ciekawam. Kiedyż twój ślub?

— Po Wielkiejnocy, w maju. Cesia wesela nie chce świetnego. Postanowiliśmy sumę, co by to kosztowało<sup>264</sup>, użyć na jaki pożyteczny cel<sup>265</sup>.

— Na kościół w Brodnicy, ja radzę! — rzekł z uśmiechem Wentzel.

— Kościół się dokończy za twoje złoto! — odparł Jan. — Babka znajdzie dobry cel. To już nie mój kłopot. Ależ ty, Waciu, masz listów! Tuzin! O, i do mnie ktoś nagryzmolił.

Pani Tekla popatrzyła na nich obu, zdziwiona niespodziewaną poufałością, ale to imię pogłaskała ją po sercu, więc nie zrobiła żadnej uwagi. Dawno już w myślach wnuka tak nazywała.

Jan bez ceremonii czytał swój list, a hrabia przerzucił tylko swoje i wsunął razem do bocznej kieszeni. Zdało się Jadzi, że się skrzywił nieznacznie na widok złocistej hrabiowskiej korony.

— Nie czytasz? Nie krępuj się, może co pilnego<sup>266</sup> lub ważnego! — zawołała pani Tekla, nie pojmując w swej żywości, jak można zostawić list zamknięty w kieszeni.

— Mniejsza o to — rzekł lekko. — Same fraszki. Materiał do prędkiego usnięcia. Wolę rozmawiać, znalazłszy się po tylu dniach znowu w swoim kółku.

— Któż to pisze?

— Przeważnie ciocia Dora i kilku kolegów. Ciekawym, kto im dał mój adres tujejszy. Myślałem, że będę spokojny. Nienawidzę listów i sam nigdy nie pisuję, chyba z konieczności.

— To lenistwo! — wtrąciła staruszka. — Może i gazet nie czytujesz?

— Czasem w klubie. Nie zajmuję się polityką.

— Ty w ogóle nie zajmujesz się niczym poważnym.

— Niestety! Ale to już czas przeszły dokonany. Od dziś zaczynam pracować. Jutro przecie obejmuję Strugę.

— Daj ci, Boże, szczęśliwie! A do Berlina się nie wybierasz?

— Owszem i wkrótce. Mam kilka spraw do zakończenia.

Zamilkł, zmarszczył się i potarł markotnie czuprynę.

— Jakże ci się ze mszą udało, Jadziu? — zagadnął Jan, mrugając filuternie.

— Modliłam się, by cię nie opętał szatan chytrości i podstępów — odparła wesoło.

— Oho, tak źle z moją prawością stoi! A ja za ciebie się modliłem, żeby cię nie ogarnął anioł stróż cnót teologicznych.

— Toteż i ogarnął, i dał mi sposobność wprawy, bom spotkała pana Głębockiego.

— Graliście w domino?

— Nie, dla osobliwości, rozmawialiśmy.

— Musiałas to uważać za popielcową pokutę!

— Pan Głębocki jest to dziwny człowiek — zauważył Wentzel. — Chciał, bym mu odsprzedał Strugę. Myślałem...

<sup>262</sup>*miecz Damoklesa* — tu: stale grożące niebezpieczeństwo; nawiązanie do opowieści o Damoklesie, dworzanie króla Syrakuz Dionizjosa, który pochlebiając swemu władcy, nazwał go najszcześniejszym z ludzi; w związku z tym król pozwolił mu wystąpić w swojej roli, spać w królewskim łóżu i jeść przy królewskim stole, ale podczas uczy powiesił nad Damoklesem ostry miecz zawieszony na końskim włosie; Damokles zrozumiał w ten sposób, że los władcy nie jest godny zazdrości. [przypis edytorski]

<sup>263</sup>*nie ciekawam* — skrócone od: nie jestem ciekawa. [przypis edytorski]

<sup>264</sup>*sumę, co by to kosztowało* — dziś raczej: sumę, którą by to kosztowało. [przypis edytorski]

<sup>265</sup>*użyć na jaki (...) cel* — dziś raczej: użyć na jakiś cel. [przypis edytorski]

<sup>266</sup>*może co pilnego* — dziś raczej: może coś pilnego. [przypis edytorski]

— Że się wściekł! — podchwycił Jan. — Wspomnicie moje słowo, że to się z nim stanie pewnego pięknego poranku. To złość anormalna!

— Nie wiedzieć co! — zawołała pani Tekla. — Chociaż on istotnie miewa miny okropne. Ja bym go się bała.

— I ja też nie rozumiem odwagi Jadzi. Ciebie pierwszą zadusi w paroksyzmie.

— Jezus, Maria! Co ty pleciesz! Ja, doprawdy, Jadzi nie dam za niego. Niech się ta choroba jakoś wyklaruje. Kto wie, co to jest. Jego stryjeczny dziad był furiatem.

— A co? Widzi babcia! To dziedziczne. Ja nawet czytałem, że obłąkanie nie idzie w prostej linii, ale tak jakoś zygzakiem.

— Tego nie wiem, ale pana Pawła Głębockiego pamiętam dobrze; zaczął od idiotyzmu: chodził po polach i powtarzał bezustannie: mój flet, mój flet, mój flet!

— Coraz gorsze prognozyki. Już Adam ma bzika, do idiotyzmu krok pozostał. Będzie chodził jak dziadunio po polach i jęczał: moje domino, moje domino! Uważasz, Jadziu!

— Et, bredzisz! — oburzyła się. — Pan Adam takież wariat jak i ty.

— Uhm! Niby że obydwaj jesteście zakochani. Tyle podobieństwa.

— Moja Jadziu, to wcale nie żarty! — upomniała serio pani Tekla, istotnie przerażona. — Jaś ma rację, że lęka się o ciebie. Nad tym trzeba dobrze się namyślić. Szczęściem, że mi to przypomniał. Dziedziczna wariacja! Ho, ho! Ja to wezmę pod uwagę! On ma złe oczy!

— Bardzo złe — potakiwał Jan poważnie — jakieś bure, i zezuje.

— Dajże raz temu spokój! — mruknęła gniewnie panienska, a Wentzel zagadał kwestię, czując, że lada chwila obydwaj wybuchną śmiechem z miny wystraszonej staruszki.

— Jedziemy jutro na wilki do Wolickich — zaczął.

— A jakże, a stamtąd do Żdźarskich — uśmiechnął się figlarz, zapominając o Głębockim na myśl o przekornych oczętach Cesi.

Marzyło mu się, że może jako narzeczony otrzyma choć przelotnego buziaka. Aż westchnął na tę myśl rozkoszną.

Hrabia się roześmiał na to westchnienie.

— Dostaniesz, dostaniesz! — pocieszał.

— Co? — bronił się chłopak i poczerwieniał jak dziewczyna. — Jakiś ty domyślny! — potwierdził natychmiast.

Pani Tekla coś sumowała tymczasem. Jan zabił jej ćwieka w głowę. Raptem zerwała się z miejsca i zapaliła świecę.

— Gdzie jest klucz od biblioteki, Jadziu? — zawołała.

— Wisi na miejscu. Czego babci potrzeba?

— Nic, nic. Podręcznika lekarskiego. To nie dla ciebie pisane. Znajdę sama.

— Ja babci pomogę — zerwał się Jan skwapliwie.

I oboje zniknęli za drzwiami.

Pocziwy swat! Wentzel życzył mu sto buziaków Cesi w nagrodę bratniej pomocy.

Zostali tedy sami i to na długo, bo Jan potrafi zatrzymać staruszkę, ile sam zechce — i Wentzel rozmyślał, jak zacząć rozmowę, gdy — o чудо! — Jadzia odezwała się pierwsza:

— Dziś rano przyszedł list, mylnie do mnie adresowany. Zwracam go panu.

Końcem palców podała mu kopertę, na widok której pobladł śmiertelnie, a potem wyszła z pokoju.

Wziął, przeczytał i, rzuciwszy go na ziemię, oburącz desperacko objął głowę.

— *Jetzt ist's aus*<sup>267</sup>! — zamruczał i miał ochotę wycić ze złości, wstydu i rozpacz.

Stracone wszystko! Stare grzechy zemściły się. Teraz trzeba pożegnać na wieki hardą dziewczynę, na oczy się nie pokazywać.

Br, jak ona go teraz dopiero nienawidzi i pogardza! A ta Aurora! Czy rozum postradała? Kto jej doniósł? No, no, odplaci się tej całej klice! Zapłacą mu za ten figiel! Prawa Aurory!... Farsa!... Za kogo ona siebie ma?

Czy on ją nawet kochał kiedy, nie pamiętał. Ha, pisała i do niego! Zobaczymy!

Rozdarł niecierpliwie kopertę, przebiegł oczami misywy<sup>268</sup>, zmiął i schował na powrót.

Człowiek honoru! To brzmi jak dysonans.

<sup>267</sup>*Jetzt ist's aus* (niem.) — teraz wszystko skończone. [przypis edytorski]

<sup>268</sup>*misywa* — pismo, odezwa, orędzie; szczególnie: pismo poselskie, dyplomatyczne, oficjalne oświadczenie; tu: w znaczeniu ironicznym. [przypis edytorski]

Ma słuszość, ale to nie z nią postąpił bez honoru, ale z Jadzią właśnie. Zapomniał o łańcuchu siedmioletniej miłości w stolicy i sprowadził ją, tę czystą dziewczynę, w kałużę wielkościawowej swawoli. Oh, jak ona się nim brzydzi i pogardza, i jak śmiertelnie jest obrażona! Jak on jej teraz w oczy spojrzy?...

Wziął znowu głowę w dłonie i rozmyślał, czy nie najlepiej palnąć sobie w łeb, gdy wtem tuż za nim zabrzmiał jej głos:

— Panie hrabio!

Skoczył, jakby go strzał już trafił, i stanął przed nią. Nie śmiał spojrzeć, aż wreszcie, ryzykując ostatni krok, podniósł oczy.

Potępienia bez apelacji nie wyczytał z jej twarzy; więc, słuchając pierwszego natchnienia, przykłęknął u jej stóp jak przed obrażoną boginią.

— Jak ja panią przeblagam za to?... — rzekł pokornie.

Usunęła się nieco.

— Wstań pan. Do czego to podobne?

— Nie wstanę. Niech mnie pani karze, zada jaką chce pokutę, tylko proszę nie dobijać tym sfinksowym milczeniem. Wiem, że wart jestem pogardy i potępienia, ale honorem się klnę, że przez te parę tygodni zapomniałem, że istnieje poza panią ktoś drugi na świecie.

— Pan łatwo zapomina, widzę, sądząc z listu tej damy. A jednak ma ona zupełną słuszość. Nikt przed nią nie ma prawa do pana, a ja najmniej. Wstań pan, bo odejdę.

Na tę groźbę podniósł się z kolan.

— Niestety, ma słuszość! — westchnął. — Ale w tym tylko postąpiłem niehonorowo, że przed panią ten jeden grzech zataił. Tyle zuchwalstwa nie przypuszczałem. Chciałem zerwać stosunek, oczyścić się, przez szacunek dla samego siebie chociażby. Jest to tutejsza nauka. Dawniej hrabina była mi chlubą, zazdroszczono mi tego szczęścia. W naszym świecie nazywają to wielkim losem. Teraz mi wstyd wyznać to nawet. Pani po prostu nie raczy spojrzeć na mnie.

— I owszem. To, co pan mówi, tchnie szczerością. I cenię to, że się pan nie uniewinnia kosztem cudzym. Ale to są plamy, panie hrabio, są to kajdany, z którymi nie marzyć panu o swobodzie<sup>269</sup> i uczciwej miłości. Byłam oburzona po otrzymaniu tego listu. Niewinnie strącono mnie do poziomu tej pani. Ja... jej rywalka! Miłość pańska ciężka jest, równa z wesolą kumoszką, i bez honoru i wstydu. Żadna szlachetna dziewczyna nie zechce pańskiego serca, wzdrygnie się przed podobnym zestawieniem, nie stanie do walki ze swawolą i takimi groźbami. Są to frazesy nie dla porządnego uszu. Praw, podobnych jej, nie rozumiemy; czci i honoru nie oddajemy darmo, uważamy to za zbyt wielki skarb, ale też, co prawda, mało się lękamy gróźb. Powiedz pan swojej hrabinie, żeby się uspokoiła. Jej praw posiąść nigdy nie żądałam, a człowieka, który ma jakieś tam tajemnicze obowiązki, żadna z nas, Polek, za męża nie weźmie. Towar podobny zostawiamy damom berlińskim na wyłączną i bezsporną własność.

Hrabia się skłonił.

— Dziękuję pani za drugiego harbuza. Ten był cięższy do zgryzienia niż pierwszy. Za parę dni odjeżdżam do Berlina i długo mnie już pani nie zobaczy. Za powrotem<sup>270</sup> tu będę wolny i inny niż dotychczas, nie towar dla dam berlińskich w każdym razie. Panno Jadwigo, proszę o mnie czasem pomyśleć i nie zapomnieć, że panią tak kocham, jakem nikogo nie kochał<sup>271</sup> w życiu, ani kochać będę kiedykolwiek. Rywalek pani nie ma i mieć nie będzie.

— Czy pan chce dostać trzeciego harbuza?

— A choćby tysiąc. Po każdym kocham jeszcze silniej i hartuję się na wszystko. Proszę o mnie pamiętać i dać mi coś na szczęście, jaki drobiazg<sup>272</sup>. Będzie mi lżej pracować, spojrzawszy na dar pani. Oh, na jaką ja idę ciężką walkę... z sobą i ze światem!

— Daruję panu list hrabiny Aurory — odparła z uśmiechem.

<sup>269</sup>nie marzyć panu o swobodzie — zdanie eliptyczne; inaczej: nie sposób (nie można) panu marzyć o swobodzie. [przypis edytorski]

<sup>270</sup>za powrotem (daw.) — po powrocie; kiedy wrócę. [przypis edytorski]

<sup>271</sup>jakem (...) nie kochał — konstrukcja z przestawną końcówką czasownika; inaczej: jak nie kochałem. [przypis edytorski]

<sup>272</sup>jaki drobiazg — dziś raczej: jakiś drobiazg. [przypis edytorski]



— Bodajby zginął marnie! Będzie on ją drogo kosztował — mruknął gniewnie. — To niech mi pani zamiast podarunku da rozkaz jakiś, co zechce ode mnie dla siebie.

— Nie mam praw rozkazywać i nie będę. A jeśli pan ma ochotę zrobić mi coś przyjemnego, to samemu trzeba się domyślić. Przecie pan mnie zna.

— Ja panią? Jakim sposobem? Jest pani dla mnie zagadką, sfinksem. Pani nie ma chyba żadnych pragnień.

— Owszem, tylko ich nie zdradzam. Nie lubię zajmować drugich sobą.

— Niech mi pani powie choć jedno! — prosił.

— Kiedyś, gdy pan wróci inny. Teraz niech pan zgaduje.

— Na to trzeba osobnego natchnienia. Chyba mi Jan dopomoże. Ja nie kryję swych pragnień, a mam ich trzy tylko.

— Tak mało.

— Jedno: bym mógł tu wrócić prędko.

— Jeszcze pan nie wyjechał — wtrąciła.

— Drugie: bym zastał panią tak dobrą, jak dziś żegnam, i trzecie: by mnie pan Głębocki nie zabił, nim mi pani...

— Groził panu? — spytała, brwi marszcząc.

— Tak, i dotrzyma niezawodnie — odparł. — Szalony człowiek. Dałbym, co mam, żeby być na jego miejscu, a on mi zazdrości. Szalony!

Spuściła głowę i milczała. Strach ją ogarnął; знаła mściwą naturę Adama, a groźbę słyszała także.

— Niechże pan się strzeże, panie hrabio. To okropne, ale Jan ma trochę racji. Pan Głębocki może się zapomnieć.

— Jeśli go pani kocha, to się uspokoi. Będzie szydził ze mnie i triumfował — rzekł gorzko.

— Niczyja miłość go nie ułagodzi, gdy sobie coś wyobrazi. I on broni swych praw... godny partner hrabiny Aurory.

— Ba, żeby miał tyle tylko co ona szans wygranej! — wybuchnął hrabia i urwał, bo w salonie rozległy się kroki i ostrzegawcze chrząkanie Jasia.

We drzwiach ukazała się pani Tekla, niosąc oburącz grube *in folio*<sup>273</sup>, starodawne jak świat.

Miała minę proroczko natchnioną; księgę położyła na stole, dobyte okularów i zaczęła czytać:

— „Choroby mózgu i wynikające z tego rozrzedzenie, czyli obłąd”. Oto jest — przerwała, stukając palcem w oznaczone miejsce stronicy — siedemdziesiąt dziewięć kartek. Odczytam to i jeśli znajdę choć jeden objaw podobny do zachowania się Głębockiego, to zapowiadam, Jadziu, że ci na małżeństwo z wariatem nie pozwolę. Lepiej zostać starą panną.

— Nim babunia odczyta siedemdziesiąt dziewięć kart, ja jej tuzin kawalerów zdrowych na umyśle dostarczę. Niech no się zajmę twym losem — Jan mrugnął znacząco.

Paniuszka zwróciła się, by odejść, uciec od przesładowania. Przy tym nagłym ruchu bransoletka jej, złożona ze złotych numizmatów, zaczęła o rzeźbioną poręcz krzesła. Łańcuszek pękł i monety rozsypały się z brzękiem po ziemi.

Młodzi ludzie zaczęli je zbierać; pani Tekla, zatopiona w czytaniu, nic nie słyszała.

— Raz, dwa, trzy, cztery — liczyli wszyscy troje, a Jan dopominał się o jeden za fatygę.

Zebrano wszystkie, ale wręczono jej o dwa mniej. Zaczęła się sprzeczka i targ. Widmo wariacji Głębockiego nie zaprzętało żadnemu myśli.

— Ja przystaję na połowę — rzekł wreszcie Wentzel — podzielimy się, Jasiu, pieniążkiem panny Jadwigi. Pozwala pani?

— Jeżeli go pan złamie w rękę, daruję całą bransoletę — rzekła śmiało.

W tejże chwili moneta pękła w rękach młodego człowieka.

— A to kleszcze dopiero! — dziwił się Jan. — No, dawaj bransoletę Samsonowi<sup>274</sup>.

<sup>273</sup>*in folio* (łac.) — książka w formacie arkusza złożonego na dwie części; tu: księga wielkich rozmiarów. [przypis edytorski]

<sup>274</sup>*Samson* — tu: siłacz; nawiązanie do biblijnej postaci Samsona (Ks. Sędziów rozdz. 13–16), który wykazywał się nadludzką siłą, wspierając Izraelitów w walce z Filistynami: gołymi rękami zabił lwa, walcząc jedynie oślą

— Dziękuję pani. Otóż i mam pamiątkę! — triumfował hrabia, biorąc z jej rąk garść monet i potargany łańcuszek.

— Niech panu służy na szczęście! — rzekła z uśmiechem.

— Jest! Jest! — zawołała pani Tekla. — Słuchajcie. „Osoby dotknięte obłędem podlegają urojeniom i melancholii, wzrok suchy, niepewny, zachowanie niespokojne, ponure”... Czy nie tak jest?

— Zupełnie! — potwierdził hrabia.

— Dalej: „okazują niechęć do ludzi, widzą w nich wrogów, unikają towarzystwa, szukają samotności, nie lubią pozostawać w miejscu”...

— Tak, tak! Znajdzie się i to — potakiwał Jan.

— Dalej słuchajcie: „pierwszymi ofiarami furii bywają najbliższe osoby: służba, doktorzy, krewni, przyjaciele”...

Tu pani Tekla urwała czytanie i popatrzyła na swe otoczenie: zgroza zabiła jej mowę<sup>275</sup>.

— Śliczna awantura! — ozwał się<sup>276</sup> Jan. — Ja mówiłem, że Jadzia pierwsza odpokutuje.

— Tak, tak! — wydobyła z gardła staruszka. — Trzeba Jadzię wy badać, czy nie spostrzegła czegoś podobnego; ona bo jest skryta aż strach! Jadziu, powiedz...

Ale Jadzi nie było. Cichutko wysliznęła się na wstępie czytania, przeczuwając biedę. Gdzieś z dalszego salonu dolatywały akordy jej muzyki. Ani dbała o swą straszną przyszłość.

Hrabia ruszył się żywo.

— Może poprosić pannę Jadwigę? — ofiarował się.

— Et, nie trzeba. Ja i tak nie dopuszczę do tego nieszczęścia. Zabronię i basta! Albow jej nie matka<sup>277</sup>?

— Dziękuję — rzekł Jan — a ja jej wyswatam męża i basta! Albow nie brat? Chodźmy tymczasem słuchać muzyki. Zabierz, Waciu, to *in folio* — i dodał ciszej: — oprawisz je kiedyś w złoto, co ci będzie lepszym swatem niż ja. Głębocki *caput!*...

## X

Głucha cisza zaległa Mariampol. Hrabia wyjechał do Strugi, a stamtąd w świat. Jan gościem był w domu i to już nie dawnym, swawolnym chłopcem, co rozweselał puste salony. Osowiał, znuźniał; albo mówił o Cesi, za którą szalał coraz bardziej, albo siedział milcząc, targał wąsiki i marzył o niej.

Przez tydzień staruszka z Jadzią były mocno zajęte gospodarką i reperacjami w Olszance, zresztą odpoczywały po karnawale. Po tygodniu ład się ustalił, robotnicy zajęli się domem dla nowożeńców, pani Tekla wzięła się znowu do welnianych kaftaników, Jadzia — do wieczornego czytania.

Dawniej to życie wystarczało im do szczęścia: lubiły ciszę i samotność, nie czekały nikogo, nie pragnęły zmiany — a teraz, choć się nie przyznawały do tego, czegoś im brakowało.

Czegoś! Pani Tekla zaczęła wdychać i niepokoić się, gderać w dwójnasób, nawet Jadzia niekiedy — nikt i nic zadowolić jej nie było w stanie. Najgorzej dostawało się Janowi.

— Jesteś mazgaj! — słyszał sto razy za każdą bytnością i zgadzał się pokornie na to określenie.

Nareszcie po dziesięciu dniach wylazło szydło z worka. Staruszka nie zdołała ukryć powodu troski, tęsknoty; po kilku westchnieniach ozwała się do cichej towarzyszki:

— Gdzież też się teraz Wacio obraca? Żeby nie chory czasem? Tyle czasu nie ma listu.

— Może do Jasia pisał — odparła Jadzia.

Słowo to było lontem pod minę prochową. Cały dzień staruszka chodziła od okna do okna, wyglądając wychowańca; gdy wrócił wieczorem, od progu pytała już o list.

---

szczęką, rozgromił nieprzyjacielską armię, a na koniec zburzył pogańską świątynię, wstrząsając jej kolumnami i grzebiąc w ten sposób tysiące Filistynów; był niezwyknięty, dopóki wskutek zdrady jego kochanki Dalili nie obcięto mu włosów. [przypis edytorski]

<sup>275</sup> zgroza zabiła jej mowę — zgroza odjęła jej mowę. [przypis edytorski]

<sup>276</sup> ozwał się — odezwał się. [przypis edytorski]

<sup>277</sup> albow jej nie matka — skrócone od: albo (czyż) nie jestem jej matką. [przypis edytorski]

- Miałem wczoraj — oznajmił.
- I cóż? I cóż? Czy zdrow?
- Kiedym go jeszcze nie otworzył<sup>278</sup>.
- Co? Czyś oszalał? Pokaż mnie, ty pewnie i czytać zapomniałeś, mazgaju.
- Tak dalece nie; odczytam i powiem, jeśli co będzie ciekawego.
- Gdzież list? Skąd? Z Berlina?
- Listu zapomniałem w Olszance.
- To pošlij! Kara boska z tą młodzieżą!

Jan kłamał: list odczytał, ale się treścią nie mógł z babką podzielić. Za to gdy się znalazł na chwilę z Jadzią, oddał jej odezwę.

— Przeczytaj sama — szepnęła, a tymczasem niby posłał kogoś do Olszanki i uspokoił staruszkę, że kiedy Wentzel pisze, to przecie zdrow i cały.

Jadzia odczytała list w samotności swej izdebki. O ile ortografia była haniebna, o tyle treść szczerza i serdeczna.

„Kochany Jasiu! W życiu swym całym nie pracowałem tyle, co przez te dni kilka. W Berlinie byłem dzień jeden — tyle tylko, by popalić wszystkie miłosne bileciki, pamiątki, pukle włosów itp. śmiecie, a ich autorki i właścicielki wysłać do wszystkich diabłów. Ciocia Dora okadza dom, a ja zemknąłem od spazmów i rozpacz. Nie złapią mnie więcej. Objechałem swe dobra i fabryki i z lekka zacząłem kontrolę: kradzieży i niedbalstwa więcej niż włosów na głowie! Dam ja im pieprzu! Żeby babka to wiedziała! No, po paru latach pracy zaproszę ją na rewizję, teraz nie. Powiedz pannie Jadwidze, że dzień i noc myślałem nad odnalezieniem czegoś, czego by ona pragnęła i jutro jadę do Fröschweiler odszukać grób waszego brata. Pomaga mi całe ministerium, wiozę autentycznych świadków i grabarzy... Spytaj się, czym zgadł i czy zrobię jej tym smutne zadowolenie. Kocham ją z dnia na dzień coraz bardziej i tęsknię, jakbym lata nie widział. Nie rozumiem, jak potrafię wyżyć tych parę miesięcy do twego ślubu. I ty ich końca pewnie wyglądasz z utęsknieniem.

*Twój brat i przyjaciel”.*

Długo, bardzo długo czytała Jadzia ów list. W duszy robiło się jej rzewnie i słodko. Dlaczego? Wszak była kochaną tyle razy, słowa nie mówiły jej nic nowego; słyszała je często bez szczególnego wrażenia.

A teraz te pierwsze poszły jej w duszę, aż się wzdrygnęła pod nieznanym wrażeniem. Stało się tedy to, co przeczuwała i przed czym broniła się całą mocą.

Nie był to dla niej już obcy człowiek — Prusak. Zasady, rzeczywistość, wszystko zgasło, zbladło przed wielką potęgą, co się naigrawała z jej woli i tradycji: on ci nie wróg, on ci najmiłszy na całym świecie, i choć może niewart, ale on ci pierwszy z ludzi, i choć ci ani swój mową ani życiem, choć on ciebie nie rozumie — ty go kochasz i kochać będziesz do śmierci, i nie ostoi się przed nim twa powaga ani duma, ani siła charakteru — i skoro zechce, będzie twym panem.

Jadzia spuściła głowę. Głos w duszy mówił prawdę, nie próbowała się nawet bronić przed tą niedolą. Była pokonana, składała broń. Przez te dni dziesięć poznała już, co to tęsknota — poznała, co nuda i pustka serdeczna, której nikt nie zapełni, tylko jeden jedyny! List dopełnił miary. I on tęsknił, i on myślał o niej, pracował, zrywał stare nawyki i zgadł to, czego pragnęła, choć o biednym bohaterze nigdy z nim nie mówiła. O, jakże mu była wdzięczna.

Raz jeszcze odczytała pismo. Łzy jej się cisnęły do oczu, jakaś radość napelniała duszę. Wstała, zbliżyła się do okna, przez które zaglądały do pokoju gwiazdy na wyiskrzonym tle nocy zimowej.

<sup>278</sup>kiedym go (...) nie otworzył — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: kiedy go nie otworzyłem. [przypis edytorski]

Gwiazdy mrugały do niej: o, dziewczyno, i co warte twoje życie po ten dzień, i jakaś ty dziś bogata — masz niebo w duszy! Podziękuj!

I myśl Jadzi poszła ku gwiazdom i szeptała modlitwę całej swej istoty przeistoczonej:

— Bądź pochwalony, Boże, moim szczęściem, bądź pochwalony moim kochaniem! Niczego nie pragnę, tylko byś go nauczył uczciwie żyć; szlachetnie myśleć, dobrze działać. Zrób zeń, Boże, człowieka, którego by świat szanował, i daj, Boże, by mnie kochał, jak kocha.

Potem milczała chwilę i wyszeptała znowu z rzewną prośbą:

— A ty mi daruj, bracie, że mu oddałam serce. Nie przeklinaj. Walczyłam ile mocy. Teraz jestem słaba, zmęczona i pokonana. Daruj mi! Nie mogłam inaczej...

Nazajutrz rano Jan otrzymał od siostry krótką kartkę w oficynie: „Odpisz, że zgadł i że mu bardzo wdzięczna<sup>279</sup>”. Zrozumiał, że nie chciała mówić o tym, i nie wspominał więcej. Babce listu nie pokazał.

— Są tam kawalerskie sekrety, nie dla babki uszu. Wacław zdrów i rączki dam całuje.

Musiła na tym poprzestać, choć narzekała i gderała okropnie.

Życie poszło dalej swoim trybem. Monotonność wielkopostną przerywały wizyty Głębockiego, z mora pani Tekli.

Wyczytała widocznie coś strasznego na owych siedemdziesięciu dziewięciu kartkach i nie odstępowała narzeczonych, obserwując pana Adama w sposób obrażający. Biedny człowiek!

Jadzia zmizerniała, zesmutniała, oniemiała do reszty. Czuli, że oszukuje go, a zebrać się nie mogła na zerwanie słowa. Nazywała to zdradą, podłością, zwlekała z wyznaniem jak zbrodniarz. Myśl ta i wyrzuty toczyły ją jak robak, wstydziała się sama siebie, nikła w oczach, ale milczała, znosząc wizyty Głębockiego jak ciężką pokutę. Pani Tekla swą ciągłą obecnością odbierała jej resztę odwagi.

Smutne to były odwiedziny dla nieszczęśliwego — po każdej wizycie odjeżdżał bardziej ponury i zrozpaczony, przysięgając sobie, przy następnej wizycie albo zerwie, albo wymagać będzie oznaczenia terminu ślubu; po nocach nie spał — tłukł się jak Marek po piekle, po pustym domu, łamał ręce, rwał włosy, szalał.

Po paru dniach gniew opadał, porywała go miłość i tęsknota; jechał do Mariampola i nic nie mówił z tego, co przysiągł — bał się, że zła jego gwiazda zawiedzie go jak zwykle — bał się, że straci prawo pobytu pod dachem narzeczonej. Wolał znieść tortury, byleby na nią patrzeć.

Mijały tygodnie przerywane częstymi listami Wentzla; pisywał do babki, częściej do Jasia, ale chłopak nie dzielił się wiadomościami; mówił czasem siostrze krótko: „kłania się tobie” i czekał, że o co spyta, ale ona milczała, zadowolając się tym, co jej opowiadała pani Tekla.

Musimy dodać, że staruszka, choć pozornie rzuciła niedbale otrzymaną kartkę, potem w sekrecie chowała ją skrzętnie do szufladki potajemnej w biurku, gdzie leżały jej relikwie: listy matki, dukat z Matką Boską — dar ślubny, jakieś stare kwiatki z grobów, kawałek świętego chleba, legia honorowa męża i mirtowa gałązka z wianka córki. Nie miała skrupułów, że te listy sprofanują święte pamiątki. Raz nawet, nałożywszy po długim namyśle okulary, odpisała swemu Prusakowi. Było tam wiele morałów, złych sądzeń, a potem zlecenie, by się szanował, nie nadweręzał, i po co ma czas tracić w złym towarzystwie Szwabów, lepiej, żeby wracał do Mariampola, gdzie mu będzie rada. Kończyła błogosławieństwem.

Ale on nie wracał, natomiast przysłał wiadomość, że pragnienie Jadzi spełnione.

Zwłoki Wacława Chrzastkowskiego wydobyto z ogólnej mogiły. Miał biedak swój grób tymczasowy na cmentarzu miejscowym, czekając aż go stamtąd zabiorą.

„Byłem sam przy tym smutnym obrzędzie — pisał do Jana — nie chciałem cię wzywać. Pojedziemy może tam kiedy razem we troje, jeśli mnie wzięć zechcecie za swego. Ludu zebrało się sporo i asystował pułk piechoty z okolicy. Pożegnano go wojskowymi honorami i długą, długą karabinową salwą. Rzuciłem mu garść ziemi, jak to u was w zwyczaju, a gdy się wszyscy rozeszli, zostałem sam jeden i zmówiłem pierwszy mój dobrowolny pacierz w życiu, prosząc tego bohatera, by mnie za brata uważał”.

<sup>279</sup> *żem mu (...) wdzięczna* — skrócone od: że [jeste]m mu wdzięczna. [przypis edytorski]

Z listem tym przyszedł Jan do siostry wieczorem, gdy pani Tekla już się udała na spoczynek. Odczytali przez łzy pocziwe wyrazy i zaczęli wspominać brata, który, dużo starszy od nich, był im jak ojciec i opiekun.

Wentzel istotnie odgadł ich najgłębsze marzenie, dokonał trudnego zadania. Co go to musiało kosztować czasu i złota, ile protekcji musiał użyć i gdzie się nie starać.

— Zaczyna dusza! — szepnął Jan. — Nasz Waciu pewnie mu z nieba błogosławi! Jak my się odwdzięczymy za tyle delikatności i serca?

— Co zechce, uczynimy dla niego — odparła Jadzia.

— Ba, tylko że on teraz nic nie zechce i o nic nie poprosi. Wymusztrowałaś go doskonale. Zmarnieje z troski, a będzie milczał. Już to wy dobre jesteście. Nie darmo Cesia twoja serdeczna przyjaciółka. Znać na niej twoją naukę.

— A jednak byś jej na inną nie zamienił?

— Uchowaj Boże! Żeby milion miał do wyboru. Wy bo coś dajecie na miłość. Czary!

— Właśnie, nic nie dajemy nie w porę.

— Bo nie umiecie kochać. Te ceregiele diabła warte!

— To Cesia cię nie kocha?

— No, nie mówię tego. Czasem zdaje mi się, że tak, ale to bardzo rzadko. Biedna nasza dola! Ot i Wentzel! Szukał biedy, jak na złość samemu sobie. Miał kogo wybrać!

Jadzia nic nie odrzekła. Usiadła przy kominku i, zapatrzona w głównie, walczyła z wrodzoną skrytością.

Jan obejrzał się na nią, skrzywił się, i jak zawsze, gdy go trapił namysł, skubał swe jasne wąsiki, paląc w przerwach papierosa.

Na koniec z nagłą determinacją rzucił papierosa, wstał i zatrzymał się przed siostrą.

Serdeczne jego oczy prosiły ją o szczere wyznanie.

— Co ci jest, Jadziuniu? — zaczął. — Co cię trapi, żeś tak zmizerniała? No, wesoła nigdy nie bywałaś, ale przecie inna. Czy ty myślisz, że ja nie widzę twej troski? Oj, widzę, widzę od dawna. Co ci jest?

Pochylił się nad nią i, odgarniając ciemne włosy, pocałował w czoło, potem osunął się na krzesło obok i spytał całym sercem:

— Czy ty i mnie nie ufasz? Przeciem ci rad<sup>280</sup>, żebyś chciała, krew oddam. Czy ty mnie nie kochasz?

Podniosła ku niemu głębokie oczy z okropnym żalem i przygarnęła mu się do piersi, kryjąc twarz.

— Ja bym cię chciała spytać o coś, Jasiu — szepnęła.

— No, to powiedz, siostrzyczko.

— Kiedy bo ty wiesz. Odpowiedz bez pytania, bo mnie tak trudno.

— To dobrze. Jeżeli bym, Jadziuniu, ja, kochając Cesię, był związany z inną słowem, to honor każe mi zerwać słowo, bo inaczej będę kłamcą, oszustem i krzywoprzysięcą. To obowiązek człowieka, przykry, lecz konieczny.

Zamilkł i ona milczała. Po chwili prawie siłą podniósł jej spuszczoną głowę i zajrzał w twarz. Była bardzo blada, a na rzęsach jej błyszczały brylanty z łez.

— Zgadłem, Jadziu? — spytał z cicha.

Kiwnęła tylko głową.

— Czegóż ty płaczesz, dziecko? — perswadował, nagle urósłszy z ucznia na mentora. — Przecie ci serce zabiło! Chwała Bogu! Zobaczysz, jak to miło kochać! Nigdyś nie kochała pewnie?

— Nigdy — szepnęła niewyraźnie — oprócz ciebie i Waciu naszego.

— Dobrze, żeś dodała, bobył pomieszal osoby. Dlaczegoś przyjęła Głębockiego bez miłości?

— Kiedy ja nie wiedziałam, co to kochać.

— A teraz? No, wymówże to straszne słowo! — uśmiechnął się, odzyskując humor figlarza.

— Będzie dosyć raz je powiedzieć w życiu — szepnęła.

<sup>280</sup>przeciem ci rad — skrócone od: przecie jestem ci rad. [przypis edytorski]

— Słusznie. Chociaż wątpię, czy nawet jemu wykrztusisz. No, ale to nie moja rzecz. Teraz oswobodź się od zmory Głębockiego. Wyznaj mu prawdę, nie oszukuj, a potem wszystko dobrze pójdzie. Może ci pomóc?

— Nie. Powinam sama odpokutować. Dodałeś mi otuchy. Dziękuję ci.

Ucałował ją serdecznie.

— A dla swata nie masz polecenia? — zażartował.

— Czego się śmiejesz? — rzekła z wyrzutem.

— Bom rad<sup>281</sup>. Marzyłem o tym. Teraz<sup>282</sup> dopiero kompletny twór boski; dostępna dla śmiertelników. No, przyznaj mi się przynajmniej, kiedy się to stało, to straszne słowo, dawno?

Wstała i zarumieniła się jak wiśnia.

— Nic nie powiem, boś kpiarz. Żałuję mej szczerości. Rozpaplesz po całym świecie.

— Słowo honoru ci daję, że ani pisnę, nawet przed Cesią; tylko napiszę do kogoś, by nie rozpaczał i nie sechł darmo.

— Jak mnie kochasz, to tego nie zrobisz! — zawołała żywo. — Wzywać kogo?... Może jeszcze się rozmyśli, zapomni; czekajmy.

— Jeśli on się rozmyśli, to ja się powieszę. Tak to łatwo was zapomnieć! Będziesz go miała, kiedy zechcesz. Cóż mam odpisać?

— Że jeżeli dba o nasze braterstwo i wdzięczność, to je posiada, i że go jak swego powitamy.

Na folwarku pogasły już ognie i rozlegały się tylko przeciągłe gwizdania nocnych stróżów, gdy Jan wracał do oficyny. Pomimo późnej pory siadł przy biurku i, choć nie lubił bawić się piórem, nie mógł się powstrzymać od podzielenia się z przyjacielem triumfem:

„Mój drogi Wacławie! Stał się cud. Zakwitł śnieg — pisał po swojemu, telegraficznym stylem. — Jesteś mi bratem, swatem, drużbą, a może wprędce czymś innym jeszcze. Mój ślub naznaczony na 25 maja; proszę cię, nie przyjeźdź za późno. Jakiś<sup>283</sup> ci oboje wdzięczni za usługę zmarłemu, to ci faktami dowiedzimy. Czego żądasz, otrzymasz”.

List poszedł nazajutrz daleko na zachód, niosąc przeżytemu paniczowi większe rozradowanie niż hołdy pół świata. Zdawało mu się, gdy go czytał, że widzi nad sobą ciemne oczy Polki, mówiące mu bez słów: „jesteś dobry, dziękuję ci”...

A tymczasem w Mariampolu Jadzia była blada i rozdenerwowana, wzdrygała się na każdy ruch i turkot, przewidując wizytę Głębockiego. Cierpiała jej dusza, na myśl o tym przejściu i, nie dość na tym, czuła się w obowiązku wtajemniczenia w swe postanowienie pani Tekli. I to także nie mogło się odbyć bez burzy. Staruszka dreptała po gospodarstwie i była tak zajęta i poirytowana jakąś niedokładnością, że straszno było zbliżyć się do niej. Wyglądała jak przeladowana maszyna elektryczna. Pod wieczór, gdy minęła godzina przyjazdu konkurenta, Jadzi spadł ciężar z duszy — skupiła wszystkie siły do rozprawy z panią Teklą.

— Czy będziemy czytać, babciu? — spytała.

— Poczekaj, mam z tobą do pogadania. Chodź no, siadaj bliżej. Ot tak! Cóż ty sobie myślisz z Głębockim?

Jadzia oniemiała z podziwu. Pani Tekla miewała chyba jasnowidzenia.

— Dlaczego, babciu? — spytała.

— No, tak. Trzymasz go przy sobie, zachęcasz, tolerujesz, gadacie całymi godzinami... Do czegoż to podobne! Czy ja mu mam dać odprawę nareszcie?

— To babcia nic nie ma przeciw zerwaniu słowa?

— Ja? Ja? Ty od pewnego czasu zupełnie pamięć straciłaś. Przecie jeszcze w karnawale mówiłam, że ciebie za wariata nie oddam. Nie na tom cię chowała. Czegoż chcesz? Powiedziałam: nie, i nie pozwolę. Nawet nie proś darmo. Jutro sama powiem Głębockiemu, żeby sobie szedł gdzie indziej. Chyba że się wykradniesz z nim!

— Ja! — zaśmiała się panienka mimo woli. — Alboż mnie źle w Mariampolu? Gotowa na wieki zostać.

<sup>281</sup>bom rad — skrócone od: bo [jeste]m rad. [przypis edytorski]

<sup>282</sup>teraześ — skrócone od: teraz [jest]eś. [przypis edytorski]

<sup>283</sup>jakiśmy — skrócone od: jak [jest]eśmy. [przypis edytorski]

— At, kto tam zbada twoje amory! Ale co Głębockiego, to sobie wyperswaduj. To wariat i basta! Niech tu nie jeździ, bo może stać się nieszczęście. Ja nie rozumiem twojej odwagi. Żebyś przeczytała w podręczniku lekarskim... ale zresztą to nie dla ciebie te szczegóły. Wolę twój zawód i strapienie teraz niż potem. Niech mi kto wytłumaczy twój gust do furiata. To istna anomalia. Z tego się trzeba spowiadać.

— Skądże babcia wnosi, że go kocham?...

— Jak to? Co to? Nie kochasz i dopiero mówisz? Co ci jest? Opamiętaj się! Rok obcuje z wariatem! Myślałam, że za nim szalejesz. Awantura!

— Istotnie, źle zrobiłam, babciu. Jutro zwrócę mu słowo.

— Jezusie, Mario! Gotowy atak! Zadusi cię! Doigrałaś się biedy! Co to będzie! Niech ja się lepiej z nim rozmówię.

— Proszę się nie bać. Wszystko minie spokojnie. Przepraszam, babciu, za kłopot i niepokój. Myślałam...

— Że on przytomny... a teraz widzisz jasno rzeczy. Tak, tak, starszych trzeba słuchać. Twoja skrytość to coś okropnego! Niechby choć Jaś był jutro przy waszej rozmowie.

— Zbyteczne; załatwię to sama. Dziękuję!

Pochyliła się do ręki staruszki, a ta jej główkę przycisnęła do piersi i pocałowała jasne czoło.

Nigdy Jadzia czuła nie była<sup>284</sup> z nikim. Teraz ogarnęło ją jakieś żalose pragnienie pieścizot i słodczy. Chciało się jej w ciszy przebyć lata, ot tak, przytulonej do pani Tekli, i marzyć. Kochanie rozrywało jej serce.

Staruszka, trochę zdziwiona i bardzo rada, gładziła jej ciemne włosy i milczała. Któż by mógł gderać w takiej chwili? A może przyszło na myśl pani Tekli dawne wspomnienie takiej samej główki dziewczęcej, co przed trzydziestu laty garnęła się do matczynego serca i skarżyła się żalośnie, że jej rzucić trzeba będzie wszystko swoje i iść daleko? I poszła. Kochanie przemogło żal i trwogę przed obczyzną, jak samobójcę ciągnie wir rzeczny — i poszła! Oczy matki nie zobaczyły jej więcej, obczyzna pożarła wielkopolski bławatek, tęsknota strawiła wątłą roślinkę; oczy matki płakały lata, aż wpadły, straciły blask, podkrężyły się ciemno. Bóg jeden widział te łzy i Bóg o nich pamiętał.

Teraz ta Jadzia inną była od tamtej. Nie skarżyła się, nie mówiła nic, a jednak zdało się staruszce, że dawne czasy wróciły — i mimo woli zaczęła mówić jak do tamtej, o cudzym człowieku.

— Słyszałam, że do Strugi Waclaw przysłał kilkanaście trakenów<sup>285</sup> i stado holerderek<sup>286</sup>. Pisał mi, że i w swoich dobrach zmienia rząd. Okradali go haniebnie. Chwała Bogu, może się obejrzy i ustatkuje. Warto, żeby i o Strugę się dowiedział. Pańskie oko konia tuczy!

— Babcia się już za nim stęskniła? — szepnęła Jadzia.

— Może i tak! — westchnęła pani Tekla. — Kto wie, co się z nim dzieje. Może chory. Zły sen dziś miałam.

Ręce Jadzi zacisnęły się nerwowo.

— Cóż się babci śniło? — spytała dziwnym głosem.

— Ja, dziecko, zawsze z umarłymi gadam. Moja Jadwinia przychodzi do mnie często. Dawniej stawała nade mną blada i spłakana, mówiła, że jej ciężko leżeć w obcej ziemi, że jej zimno i ciemno. Czasem składała ręce i prosiła: „Mamo, pamiętajcie o moim sierocie”. A gdy on do nas przyjechał, to po raz pierwszy uśmiechała się do mnie i gdzieś z daleka posyłała od ust pocałunki. A dziś we dwoje przyszli z ojcem i wołali: „Pilnuj go, strzeż!” . A potem Jadwinia nogi moje objęła i prosiła: „Mamo, czego on smutny, ty wiesz. A jak on smutny, to mi w grobie jeszcze ciężej i dusza spokoju nie ma. Mamo, nie dajcie zmarnieć memu sierocie...”. Przebudziłam się i jeszcze słyszałam: „Matusiu, mój sierota smutny!”. Strach mnie zdjął. Chciałabym go zobaczyć zdrowego. Czegóż mu smucić się...

<sup>284</sup>czuła nie była — dziś z M. (i w związku z tym w szyku nieprzestawnym): nie była czuła. [przypis edytorski]

<sup>285</sup>traken — także: koń trakeński; rasa konia wyhodowanego z daw. kuców pruskich, niezwykle silnych, uszlachetniona krzyżówkami z końmi angielskimi i arabskimi; trakeny wykorzystywano w armii, do zaprzęgów oraz w pracach gospodarskich i jako konie wierzchowe. [przypis edytorski]

<sup>286</sup>holenderka — tu: krowa holenderska; gatunek krów, często umaszczonej biało-brązowo, wykorzystywanych zarówno jako krowy dojne, jak i na mięso. [przypis edytorski]

— Niechby przyjechał — szepnęła Jadzia — ale pewnie do ślubu Jasia nie zobaczymy go. Pracuje!

— Ach, ten Jaś! — wykrzyknęła starszka, odzyskując werwę na wspomnienie swej obecnej zmory, ale nie gderала dalej, tylko się zwróciła do panienki: — Zatem jutro, Jadzieczko, kończ z Głębockim. Niech go moje oczy nie widzą. Nie uwierzysz, jak on mi niemiły. Zdaje mi się zawsze, że on nam przyniesie jakieś nieszczęście.

Jadzia wzdrygnęła się całym ciałem. I ona lękała się okropnie. Między jej marzeniem stał on jak czarne widmo. Dlatego może zwlekała z zerwaniem — bała się jego zemsty i wybuchu, ale nie dla siebie...

Nazajutrz przyjechał. Dzień był posępny, na dworze szalała marcową, śnieżną zawierucha.

Zostali sami w salonie. Jego bure, dzikie oczy objęły z ponurą namiętnością szczupłą postać dziewczeczki. Takim wejrzeniem mierzy tygrys pogromcę. Jadzia istotnie przez ostatnie tygodnie zmieniła się bardzo. Zeszczuplała, zbladła; w oczach zamiast dawnego chłodu leżała smętna zaduma, na dumne usta wybiegał niekiedy łagodny uśmiech. Urok jej spotęźniał jeszcze — ozłociło go uczucie.

Poszła pierwsza śmiało na ogień.

— Panie Adamie — zaczęła — mam pana prosić o coś.

— Co pani rozkaże?

— Niech pan nie zachowa do mnie urazy i daruje to, co powiem.

Głębocki cofnął się o krok, zzieleniał, usta mu drżały.

— Nie potrzebuje pani prosić ani przepraszać. Chce pani, bym zwrócił słowo i pierścionek...

Niesłychaną siłą woli hamował się. Nawet pani Tekla nic by mu nie miała do zarzucenia. Imponował swą olbrzymią potęgą charakteru.

Powoli zdjął z palca pierścionek, położył na stole.

— To ja dziękuję pani za szczerość. Spodziewałem się tego od dawna. Trzeba było uprzedzić. Większy honor zrywać samemu. Byłem podły, kochałem. Ha, trudno! Gdzie mierzyć się o dziewczynę z tym pruskim szpiegiem! Na co innego może mu sprostam! Czekajmy!

— Zapomnijmy lepiej — odparła Jadzia.

— Ja nie zapominam!

— To zemścij się pan na mnie. Przecież ja zawiniłam. Po cóż ma cierpieć niewinny za to, że ja pana nie kocham tyle, by zostać żoną? Gdzież sprawiedliwość, panie Głębocki?

— Sprawiedliwość tam, gdzie ból! — zamruczał.

— Jam panu zadała ból. Gotowa jestem znosić pana zemstę.

— Ja też i na pani się zemszczę. A teraz żegnam. Załatwiliśmy interes. Zostały rachunki, które podsumujemy później. Życzę pani pomyślności!

Wstał, skłonił się przed nią. Podała mu pierścionek, potem rękę.

Podniósł oczy, zawahał się, nareszcie wziął rączkę w obie dłonie i podniósł do ust. Jakby jęk wydzierał mu się z gardła.

— Pani niewinna, ja wiem — mówił niewyraźnie — ale ja panią tak strasznie kochałem. Nikogo innego, nigdy, nigdy! Żeby lepiej wziął moje życie, nie bolałoby, nie, darowałbym, ale to gorzej śmierci, gorzej. Tego nie daruję! Jemu koniec albo mnie! Nie daruję, nie mogę.

Zęby mu się zacisnęły na tym wyrazie. Więcej nie mógł wymówić. Jak pijany, zataczając się, przeszedł pokój i zniknął. Jadzia osunęła się na fotel, wyczerpana ostatecznie. Ukryła twarz w rękach i zapłakała. Tak ją zastała pani Tekla, która czatowała w wielkiej trwodze na przebieg awantury. Co chwila gotowa była biec na pomoc. Gdy bryczka wytoczyła się za bramę, odetchnęła biedna.

Wsunęła głowę przez drzwi.

— A co? — spytała. — Już skończone! Chwała Bogu! Co to? Płaczesz? No, i proszę ja kogo! Mieć taki szkaradny gust! Plakać po tym brzydal! Wstydz się, Jadziu! Czy ty oczu nie masz? Fe!

W tej chwili przeciwległe drzwi rozwarły się cicho. W szparze ukazała się twarz Jasia.

— Nie ma furiata? — zagadnął. — Nie zadusił cię? No, to i dobrze.



— Aha, dobrze! — rzekła frasobliwie pani Tekla. — Tyś rad ze wszystkiego. A Jadzia płacze po nim.

Jan wszedł i zaśmiał się.

— Po nim! Et, dziewczynie za mąż pora, więc spazmuje. Słuchaj Jadziu, powiem ci nowinę. Stefan Żdzarski chce się o ciebie starać.

— Niech mi dadzą święty spokój! — zamruczała.

— A czemuż? Niech się stara — pochwyciła pani Tekla — ale może i nie, nie, nie. Powiedz, że nie! Nie lubię końskich handlarzy!

— Babunia nikogo nie lubi, oprócz Wentzla — zażartował Jan. — Ale, ale! Był dziś u mnie rządcą ze Strugi z okropnym lamentem.

— Może jakieś nieszczęście z Waciem! — krzyknęła staruszka, zapominając wobec tego o Głębockim, Żdzarskim i całym świecie.

— Istotnie, olbrzymie! Wentzel przysłał wystawowe egzemplarze koni i bydła, a do obsługi tej arystokracji masztalerza Anglika i dwóch Szwajcarów, pasterzy. W Strudze wynikła z tego wieża Babel. Nikt się nie może porozumieć. Nasze Mazury oszczekują jak wilków przybyszy. Anglik każe sobie rządcy buty czyścić, dopomina się rodowitego burgunda i krwawych befsztyków. Szwajcarzy chcą kaloryferów po oborach i świeżej lucerny na karm<sup>287</sup>. Rumaki potrzebują do życia jęczmiennej kaszy i pasztetów. Słowem, rewolucja! Biedny rządcą przyjechał po ratunek do babki! Może się przedziemy na miejsce?

— A jakże, koniecznie! Ta hałastra zgubi biedaka. Potrzebne te Angliki i Szwajcary! Przepędzić ich! Zaraz, zaraz, każ zaprzęgać! Pojedziemy.

— Taka zadymka — ozwała się Jadzia — może jutro.

Ale pani Tekla podreptała w głąb domu.

Jan ucałował siostrę i siadł obok niej.

— Cóż Głębocki? — zagadnął.

— Grozi zemstą.

— Tobie?

— Nie, hrabiemu. Wolalabym, żeby nie przyjeżdżał na twój ślub.

— Także koncept! Żeby cały pułk Głębockich, to go nie powstrzyma, a ja — pewnie nie napiszę. Ciekawym, co by z ciebie zostało, żeby go rok nie było. Wyszłabyś jak rodzynek. Jedźmy jutro razem do Żdzarskich. Cesia bardzo tęskni za tobą. Rozerwiesz się.

Tu pani Tekla ukazała się w progu, odziana do drogi. Jan zerwał się jak oparzony i pobiegł po konie, nie czekając, aż go wygderze.

— Mazgaju! — posłyszał tylko.

Wieczorem nie było już w Strudze innoplemieńców. Mariampolska dziedziczka przepędziła ich gdzie pieprz rośnie. Mazury objęli w swe ręce pyszne trakeny i bydło. Rządcą odetchnął.

Pani Tekla wróciła dumna jak Napoleon po Austerlitz. Odtąd rządcą przyjeżdżał do niej co tydzień z raportem. Objęła Strugę w swą władzę, uważała ją za jeden ze swych folwarków.

Była mocno z tego dumna i zadowolona.

A tymczasem w pustym dworze Głębockiego myślano także o Wentzlu. Co dzień rano pan Adam wydobywał ze szkatułki parę pistoletów, nabijał je powoli, prawidłowo, rozkoszował się szelestem prochu w lufie i dudnieniem kulki. Potem raz po raz, nigdy nie chybiając, wybijał tymi kulami treflowe asy na trzydzieści kroków.

Była to jedyna jego przyjemność i zatrudnienie. Gospodarstwo zaniedbał, nawet ukochanych koni nie odwiedzał. Czasem i w nocy stary sługa, mieszkający obok niego, słyszał huk wystrzałów i niespokojne kroki nieszczęśliwego. Gdy wiosna nadeszła, bił z pistoletu skowronki i jaskółki — doszedł do niesłychanej wprawy. Prawie nie potrzebował mierzyć. Broń słuchała jego myśli, a on słuchał swego bólu i rozpaczy — i czekał...

## XI

Minęła Wielkanoc. W Wielkopolsce barwno było i wesoło. Łany zieleniały młodym zbożem, po ogrodach kwitły bzy. Była to najpiękniejsza chwila roku, odurzająca czarem wio-

<sup>287</sup>na karm — jako karmę. [przypis edytorski]

sny. Słowiki śpiewały nocami po gajach, a o zmroku po starych, omszonych strzechach klekotały donośnie bociany, gwarząc o zimowych leżach nad Nilem.

I tam, w Egipcie, nie znano chyba rozkoszniejszych dni, cieplejszych nocy i tak cudnej woni wiosny, ścielącej się kłębam po parowach.

Piętnastego maja, na świętą Zofię, czworo jeźdźców wracało wolno, śpiewając, to śmiejąc się na przemiany, drogą wysadzaną czereśniami i jarzębiną, w kierunku od Olszanki do Mariampola. Było to dobrze sobie znajome młode i wesołe towarzystwo — Chrzęstkowscy i Żdzarscy. Cesia, najżywsza z grona, jechała pierwsza na białym jak śnieg koniku. Ona prowadziła prym w chórze, ona wywoływała najserdeczniejsze wybuchy śmiechu. Baryton Jasia i bas Stefana wtórowały jej ochoczo, a niekiedy łączył się z nimi głos Jadzi, metaliczny, czysty, najsilniejszy i najprawidłowszy. Śpiewali *Pieśń wieczorną* Moniuszki.

Wieczór był na niebie złoty i szkarłatny, barwiąc gałęzie drzew, zielone trawy i białe chmurki, rozrzucone z rzadka po szafirze. W powietrzu cisza niezmacona i balsamiczny zapach.

Stefan Żdzarski zdjął czapkę i uśmiechnął się do pysznych wschodów żyta; Jan wlepił oczy w Cesię — zajmował jego całą uwagę figlarny wdzięk na jej twarzyczce; Jadzia hamowała swą ognistą arabską klacz, znudzoną wolnym chodem. Cesia śpiewała, uśmiechając się do projektowanych figlów.

Całe grono wracało z Olszanki, gdzie Jan chwalił się ulepszeniami i porządkiem, prezentując dzieło siostry i pani Tekli za własne.

Nie przyznał się, że nawet nie wiedział, kiedy to zrobiono ani co to kosztowało. Był to prezent staruszki dla wychowanka.

Przeгляд trwał kilka godzin, ale z powrotem młodzi nie śpieszyli się wcale. Było im dobrze z sobą; nie chciało się kończyć rozkosznej przejażdżki.

Gdy śpiew się skończył, Jan, wyrwany z obserwacji nad narzeczoną, westchnął:

— Żeby to już prędzej posłyszeć *Veni Creator*<sup>288</sup>!

— Wstydz się — odparła Jadzia. — Nie okazuj takiego utęsknienia, bo Cesia gotowa skorzystać i wziąć cię pod pantofel.

— Od dawna jestem na to przygotowany. Szczerść nie grzech. Ja nie mam, szczęściem, twojej natury, co nigdy nie okaże, co myśli.

— Jak to, szczęściem? — podchwyciła Cesia.

— Ano, pewnie. Daleko bym z panią na tej drodze zajechał! Wysechłbym z miłości i basta!

— Wcale nie. Myśli pan, że ja lubię ciągle oświadczyzny? Nie znoszę! Mój ideał to człowiek spokojny, chłodny, dyskretny...

— Możem<sup>289</sup> niedyskretny? — wtrącił z uśmiechem.

Dziewczyna pokraśniała jak malina i poskoczyła naprzód. Musiała mieć na sumieniu karygodnego buziaka, marzenie narzeczonego.

— Pan jest dokuczliwy, nieznośny, samochwał, plotkarz i... nie cierpię pana! Mój ideał to hrabia Wentzel. Ten pewnie nie dostał nigdy harbuza...

— Ojej! Żeby mnie tyle tysięcy, ile on zjadł tego fruktu<sup>290</sup>! — parsknął śmiechem Jan.

— Musiał trafić na osobę ze złym gustem.

— A nieszczególnym istotnie.

— To pan ją zna? Kto to taki? — zagadnęła ciekawie.

— A co mi pani da, jak powiem?

— Wcale nic. Nie ma za co. Hrabia sam mi się przyzna. Jakbym go widziała. Uśmiech nie się, pogładzi brodę... bardzo lubię mężczyzn z brodą... i powie, jak to było. On wcale nie fanfaron jak inni.

— Pewnie, pewnie! Z harbuza nie ma co fanfaronować. Ale czemu go dotąd nie ma? Za pięć dni wesele.

— Można odłożyć — ozwała się Jadzia, mrugając do Cesi.

<sup>288</sup>*Veni Creator Spiritus* (łac.) — O Stworzycielu Duchu przyjdź; incipit *Hymnu do Ducha Świętego*, pieśni kościelnej wykonywanej podczas większych uroczystości, m.in. podczas sakramentu ślubu. [przypis edytorski]

<sup>289</sup>*możem* — skrócone od: może jestem. [przypis edytorski]

<sup>290</sup>*frukt* — tu: owoc. [przypis edytorski]

— Jak to odłożyć? Na co? — zaperzył się Jan. — Znajdziemy innego drużbę.  
— Ale, naturalnie, że odłożymy — potwierdziła figlarka. — Wyprawa niegotowa.  
— Któż by tam czekał dla tych haftów i gałganów! Skończą potem.  
— Bardzo proszę nie odzywać się tak lekko o moich haftach. Właśnie dla nich będziemy czekali. Zresztą ja hrabiemu dałam słowo, że bez niego nie odprawimy tej uroczystości.

— Niech go licha weźmie! Od tygodnia nic nie robię, tylko wysyłam do niego listy i depesze. Zginął bez wieści. Kto go wie, gdzie siedzi. Ma tych dóbr tysiące po całym cesarstwie. Uderzył w zapalczywość do pracy. Dam ja mu za mitręgę! Ale co do ślubu, to nie odłożę! Niech pani nie żartuje! To nie ma sensu!

— Czy widziałeś, Jasiu, tego sławnego wyścigowca w Strudze? — zagadnął Stefan, ożywiając się nagle.

— Widziałem, a jakże! Pyszny koń, „Held<sup>291</sup>” się nazywa. Pani Tekla, w wielkim gniewie, przechrzczyła go na „Bohatera”! Nikomu nie daje się dosiąść, tylko podobno samemu panu. Ach, ten pan! Narobi on mi biedy!

— Nie narobi, uspokój się — rzekła spokojnie Jadzia. — Widzisz, tam na lewo...

Spojrzeni wszyscy. Bez drogi, polami, przez płoty i rowy sadył ku nim jeździec.

Koń szedł jak wicher, z wyciągniętą szyją i rozdętymi prychami<sup>292</sup>, biała gwiazda świeciła mu na czole, nad jego głową ukazywała się czasami dżokejska czapka jeźdźca, schylonego do siodła. Nie wiadomo, jakim cudem poznała go Jadzia, bo zrazu czerniał tylko na łunie zachodu, jakby z niej wyszedł, potem rósł, rósł, stawał się coraz wyraźniejszy, aż dopadłszy bliżej o jakie sto kroków, uchylił czapki i dał koniowi ostrogę. Dwa rowy oddzielały gościniec od pola — rumak skupił się, stanął jak świeca, dał szalony skok. Kopyta mignęły w powietrzu; przesadził ściągnięty żelazną dłonią, zarył się w miejscu o krok obok towarzystwa i zarżał wesoło, jakby z powitaniem.

Cały gniew Jasia opadł natychmiast.

— Wentzel! Wentzel! Nareszcie jesteś! Jak się masz! Witamy! Witamy!

Uścisnęli się z konia jak bracia.

— Przecież się nie spóźniłem! — zawołał, podając rękę Cesi. — Jestem w czas i w porę na usługi pani — zwrócił się do Jadzi.

Chwilę szafirowe jego oczy zapłonęły szalonym szczęściem i weselem, po licu jak smuga przeszedł rumieniec. Opamiętał się całą siłą, by nie paść jej do nóg, i tylko wyciągnął rękę, pewny, że na uścisk zasłużył. Powitali się w milczeniu. Minutę to trwało, a już Jaś wpadł na swoją ofiarę z tysiącem pytań, a Stefan aż zsiadł z konia i ogładał, cmokając, „Bohatera”.

— Nawet nie spotniał po tej szalonej jeździe! Co za nogi! Jaka pierś i łopatki! To cacko, nie koń!

— Czemuś nie odpisywał na listy? To trzeba nie mieć sumienia! — krzyczał Jaś.

— Chorowałem — odparł. — Złamałem rozkaz doktorski i uciekłem. Kazali mi jechać do Włoch, alem wołał<sup>293</sup> tutaj. Jeżeli tutejsze powietrze zdrowia mi nie da, to żadne! Babka zdrowa?

— Zdrowa, ale ty istotnie nietęgo wyglądasz. Coś się zmieniłeś... i bez brody? Panna Celina przestanie się tobą zachwycać.

Istotnie Wentzel zmienił się ogromnie. Nie wypiękniał, ale nabrał hartu, czego stałszego w rysach i postawie. Zniknął cyniczny grymas i wydelikacenie salonowca, był opalony od wiatru i słońca, a oczy mu się śmiały wewnętrznym zadowoleniem. Widocznie dużo był na powietrzu i w pracy, mówił po polsku prawie dobrze, a z całej jego istoty wydzierała się radość, spokój i poczucie, że on tu teraz nie obcy, nie wróg — ale przyjaciel i brat, witany całym sercem.

Zwrócił się do Stefana:

— Dobra szkapa — rzekł — tylko mi ją haniebnie zaniedbano w Strudze. Babka wypędziła Anglika, a tutejsi niezdatni. Cóż robić? Na ten wyrok nie ma apelacji. Cierp, „Bohaterze”, do jesieni. Zabiorę go potem do Szagern.

— I tam pisałem — wtrącił Jan — i do panny Doroty nawet!

<sup>291</sup> *Held* (niem.) — bohater. [przypis edytorski]

<sup>292</sup> *prychy* — chrapy; nozdrza konia. [przypis edytorski]

<sup>293</sup> *alem wołał* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: ale wołałem. [przypis edytorski]

— Ta, jak zwykle, mało wie o moich losach. Wyjechała do Dülmen.  
 — I tam pisałem.  
 — Pański „Bohater” pobiłby „Normę” Głębockiego — mówił swoje Stefan. — Dawno marzymy o wyścigu, ale dotąd nie było dla niej współzawodnika.  
 — Może spróbować?  
 Jaś z Cesią ruszyli naprzód. Woleli swe towarzystwo nad rzadkiego gościa.  
 — Ano, spróbujemy teraz! — zapalił się Źdzarski.  
 — A pani? — spytał Wentzel Jadzi.  
 — I owszem. Moja klacz nie lubi stępa.  
 Puścili cugle. Minęli narzeczonych, którzy, jak zwykle, sprzeczekali się o jakąś fraszkę i jechali wiorstę obok siebie.  
 Nagle z przydrożnego rowu porwał się szarak. Wpadł pod nogi końskie, wyrzucił koziołka i jak szalony jął<sup>294</sup> zmykać w zboże. Siwek Źdzarskiego, snadź<sup>295</sup> zwykły kolega chartów, stulił uszy, zachrapał i rzucił się na osłep za lekkonogą zwierzyną. Darmo się z nim szamotoł Stefan. Koń wziął na kiel i gnał przez zagony, unosząc jeźdźca. Krzyk i klątwy Źdzarskiego podniecały go jeszcze bardziej.  
 Pozostali obejrżeli się za towarzyszem, roześmieli się i ruszyli dalej. Konie szły głowa przy głowie, parszając wesoło, jakby wiedziały, że niosą dwoje szczęśliwych, którym serca biły młotem, choć milczały usta.  
 Wjechali w brzeźniak, skąd do Mariampola była zaledwie wiorsta<sup>296</sup>.  
 — Babka się tak ucieszy z pana — rzekła Jadzia.  
 Uśmiechnął się.  
 — Kochana babka! Żeby to ktoś jeszcze się ucieszył ze mnie, toby mi dosyć było szczęścia na całe życie.  
 — Jeżeli to szczęście, to pan je posiada — rzekła niewyraźnie.  
 — Dziękuję pani!  
 — Za co? Że pan mi zrobił najwyższą przyjemność, wypełnił moje marzenie? To ja panu tego nigdy nie zapomnę. Brata mego kochałam nade wszystko. Był mi pierwowzorem, mistrzem, zastępował nam ojca. Człowieka takiego hartu i nieskalanych zasad trudno znaleźć. Gdy go wzięto do wojska, płakaliśmy jak skazańcy, a on, biedny, żegnał nas, prosząc o modły. Nie dla niego była ta służba. Po manifeście wojennym nie miał już czasu odwiedzić nas, ruszyły pierwsze pułki polskie, wszędzie pierwsze. Parę listów odebraliśmy smutnych. W dzienniku w liście zabitych znaleźliśmy biedaka... Wielbiono odwagę i zapał. Po trupie jego szli Niemcy do zwycięstwa, a jemu grali, grali, jak na urągowisko... Biedny rozbitek!  
 Zamilkła. Głos jej się łamał w rzewności, której Wentzel nie znał w jej hardej duszy.  
 — Pan ma w duszy rzadką delikatność i snadź<sup>297</sup> pan poznał nas dobrze, gdy odgadł to, co nam najciężej dolegało: ten dół wspólny na obczyźnie. Nie wyrażę, jakieśmy panu wdzięczni. Po weselu Jasia zabierzemy zwłoki do Braniszcza na nasz cmentarz. Będzie to dla mnie szczęśliwy dzień i wielkie zadowolenie. Dziękuję raz jeszcze panu.  
 Wyciągnęła doń rączkę i po raz pierwszy uścisnęła jego prawicę.  
 — Niestudnie przyjmuję podziękowania — odparł, wpatrując się w nią, jakby się tym widokiem nie mógł nacieszyć. — Jakim mnie pani zrobiła, takim jest<sup>298</sup>. Muszę wiele napędzić<sup>299</sup> i wiele znieść, i wiele przepracować jeszcze; ledwie zacząłem żyć.  
 — Kto tak zaczyna, ten nie ustanie. Pracę znać na panu i myśl głębszą. Zmiana ogromna.  
 — Nie praca mnie zmęczyła — rzekł z cicha. — Wolałbym być parobkiem w Strudze lub Mariampolu, jak panować w Niemczech. Nieprędko skażę siebie po raz drugi na podobne wygnanie. Na wyjeźdźnym opadli mnie wyborcy w Dülmen, żądając, bym im posłował w sejmie jesienią. Uciekłem.

<sup>294</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>295</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>296</sup>wiorsta — daw. ros. jednostka długości, równa ok. 1 km. [przypis edytorski]

<sup>297</sup>snadź (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

<sup>298</sup>takim jest — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: taki jestem. [przypis edytorski]

<sup>299</sup>napędzić — tu: nadgonić. [przypis edytorski]

— Dlaczego? Jest to dowód wielkiego zaufania i uznania pana charakteru, którego nie można lekceważyć. Przed rokiem nie wybrano by pana.

— Uchowaj Boże! Z moją reputacją! Filistry woleliby diabła samego. Nazywali mnie: *der tolle Graf*<sup>300</sup>!

— Odmawiać nie wypada — dodała.

— Nie mam dość swobodnej myśli teraz — westchnął. — Żeby nawet Bismarck był w mojej skórce, nie dałby sobie rady, a tym mniej poselskim obowiązkom.

— Do jesieni daleko. Może pan uporządkuje swoje sprawy. Zresztą na troski najlepsza praca.

— Na troski najlepsza pociecha — poprawił z uśmiechem — a tej się nie spodziewam.

Jadzia obejrzała się poza siebie — w oddali majaczyły sylwetki Jasia i Cesi, Stefan zginął. Wyjeżdżali już z brzeźniaka, o staję<sup>301</sup> czerniał Mariampol.

— Tych dwojga nie doczekamy się nigdy — rzekła. — Teraz, gdy już mają družbę, może nie odłożą ślubu.

— Pani daruje niedyskrecję zapytania. A pani ślub kiedy? Zapewne rychło.

— To zależy od mego przyszłego męża — uśmiechnęła się.

Spuścił głowę i kręcąc wąsy, jechał w milczeniu. Jan miał słuszność. Jadzia wymusztrowała go doskonale. Ani prosił, ani żądał, ani wspomniał nawet o uczuciu, co przepętniało jego istotę.

W wysadzie puścili cugle koniom. Zmrok zapadał zupełny, ale pomimo cienia poznała, kto to jechał, pani Tekla wracająca z obory od udoju.

— Wacio! Wacio! — rozległo się serdecznie, radośnie, z wybuchem długo tajonej czułości.

Hrabia zeskoczył z konia i pobiegł do niej jak syn, dziecko. Szalone wesele ogarnęło go — nikt go tak nie witał. Porwał staruszkę z ziemi, podniósł i ścisnął, i całował, witając najczulszymi wyrazy. A ona rękami objęła go za głowę, zapominając, że ją ten wariat trzyma w powietrzu jak małą dziewczynkę.

Opamiętała się po chwili i zaczęła krzyczeć:

— Co ty wyrabiasz! Ależ puść mnie! Zadusisz starą... do czego to podobne! Ajej, co ten koń wyprawia! Moje róże sztamowe<sup>302</sup>! Mój gazon! Moje narcyzy!

„Bohater” istotnie gospodarzył po tatarsku między klombami róż: grzebał ziemię, skakał, obrywał, swawoląc, kwiaty, łamał gałęzie. Pani Tekla załamała ręce. Hrabia podskoczył na ratunek.

— „*Held*”, *komm her, gleich*<sup>303</sup> — zawołał.

— Co ty mi tu zaprowadzasz szwabską komendę!

— Ratując babci róże. Inaczej on nie rozumie.

— Fe! Szkaradne konisko! No, no, już wołaj, jak chcesz, byle mi do reszty wszystkiego nie potratował. A, że to i szkapą pruska nie ma żadnej delikatności! Psuć, niszczyć, łamać! Walenty, pomóż panu hrabiemu!

— „*Held*”! — powtórzył głośniejszym głosem.

Koń się obejrzał, zarżał i poszedł do ręki pana. Gdy go jednak wziąć chcieli stajenni, zaczęli ich włóczyć po ziemi, podnosić w górę — nie dali mu rady.

— Jezus, Mario! Pozabija mi ludzi! — krzyczała staruszka. — Waciu, Waciu!

Ale szalony Wacio nie patrzył w tę stronę. Pomagał zsiąść pannie Jadwidze u ganuku. Podał jej rękę: chwilę oparła się na nim, że aż czuł bicie jej serca. Patrzyli na siebie przejmująco. Jedną ręką trzymając cugle, drugą podniósł jej rączki do ust.

— Ukochana! — wyszeptał zdławionym głosem.

Wysunęła mu rękę, uchyliła się i nie patrzyła już w oczy.

— Waciu, Waciu! — powtarzała coraz gniewniej pani Tekla.

— Wołają pana — szepnęła Jadzia, zeskakując na ziemię.

Wzdychając, ruszył, prowadząc klacz panienki.

<sup>300</sup>*der tolle Graf* (niem.) — szalony hrabia; od niem. *tollen*: dokazywać, brykać. [przypis edytorski]

<sup>301</sup>*staja* a. *stajanie* — daw. miara długości, różna w różnych okresach i okolicach, licząca od 100 do 1000 m. (tu: raczej 100 m.); dystans, jaki koń może przebyć bez odpoczynku. [przypis edytorski]

<sup>302</sup>*sztamowe róże* — róże pienne. [przypis edytorski]

<sup>303</sup>*komm her, gleich* (niem.) — chodź tu zaraz. [przypis edytorski]

— „Held”! *Rubig*<sup>304</sup>! — zakomenderował i gwizdnął.

Arab wyrwał się z rąk masztalerzy i poszedł za panem spokojny jak dziecko, a pani Tekla, uspokojona, dysponowała dla gościa posiłek, pędziła służbę, szukała reszty towarzysztwa.

— Gdzież zostawiłaś Jasia z Cesią? — pytała roztargnionej Jadzi.

— Na drodze, zaraz przyjadą.

— Aha, zaraz! Znam to zaraz! Będą się błąkać do północy. A gdzież złapałaś Wacława?

— Także na drodze.

— To jakaś szczególna droga! Co ty robisz! Kluczyki wrzuciła do imbryczka... Skończenie świata dzisiaj z tą młodzieżą! Idź no, przebierz się i odpocznij! Może ci się Żdzarski oświadczył, żeś taka osowiła?

— Pana Żdzarskiego koń gdzieś nosi. Nie miał czasu na oświadczyzny, bo na drodze nam zginął.

— A wszystko na drodze! Cóż Wacław ci mówił?

— Mówił, że koń schudł w Strudze.

— Nie wiedzieć co! Chudy! A róże to z głodu połamał może? Taki zwierz! A nie mówił ci, czy długo zabawi? Może się zaręczył? Czemu nie pisał?

— Chorował podobno.

— Chorował! A co! Mój sen! A na co był chory?

— Tego nie byłam ciekawa. Powie sam babci, bo oto idzie.

Rzeczywiście hrabia ukazał się we drzwiach.

— Chorowałeś? Co ci było? Pewnie hulaleś ze Szwabami. Pokaż się na światło! Phi, phi! Jaki opalony! Aleś naprawdę zmizemiał! Pewnie cię nikt nie doglądał.

— Ale babcia zdrowa i dobrze wygląda. Ach, przecież wróciłem jakoś do Mariampola. Lżej tu oddychać. Umierałem z tęsknoty za wami!

Staruszka popatrzała na niego z uśmiechem. Odgarnęła mu włosy i pocałowała go w czoło. Z twarzy wnuka patrzyły na nią ciemnoszafirowe, głębokie oczy jedynaczki. Teraz, gdy ogolił brodę, podobieństwo było jeszcze więcej<sup>305</sup> uderzające.

— I ciebie mi brakło — wyznała nareszcie. — Może już zostaniesz dłużej teraz. Cóż tam w twoich dobrach słychać?

— Trochę porządniej, z łaski nauk babci. Zmieniłem cały zarząd: tonąłem w rachunkach i sprawozdaniach, ledwie wybrnął. Ciężko próżniakowi pojąć pracę. Tylko w Strudze porządnie. No, ale teraz, jeśli babcia zechce urządzić egzamin, wiem, ile obrotu, obszaru, dochodu i kosztu mam w swym posiadaniu. Powiem nawet, na ile mnie okradano corocznie.

— Zuch z ciebie! Może się uszatkujesz kiedy. Możeś się zakochał<sup>306</sup>, broń Boże?

— Zakochany byłem, jestem i będę! — odparł, patrząc na wchodzącą Jadzię. — To mój stan normalny, chroniczna choroba.

— A to dopiero bieda z tą miłością! Popatrz na Jasia, to się wyleczysz. Idiota zrobił się z chłopca. Ani do tańca, ani do różańca. Nos mu trzeba ucierać. A Jadzia! Myślałby kto, że lepsza! — machnęła ręką.

Wentzel podniósł głowę. Panienska niecierpliwie zmarszczyła brwi, ale się nie broniła. Słuchała swej krytyki w milczeniu, wyglądając przez otwarte okno na dziedziniec.

— Ta zima dała mi się we znaki — opowiadała staruszka, krzątając się koło herbaty. — Oboje moi pomocnicy pofiksowali i basta. Jasia trzeba było karmić gwałtem, bo i o tym by zapomniał; a Jadzia, jakem kazała<sup>307</sup> zerwać z tym wariatem, uderzyła w płacz i spazmy. Było kogo żałować! Ledwie na niej wymogła zwrócenie słowa. Od tej pory osowiła i ona. I czego? Ledwie Głębocki wyjechał, zjawiło się trzech konkurentów. To dopiero upodobanie do furjata!

Hrabia słuchał oszołomiony tą niespodzianą wieścią. Zdawało mu się, że to nie babka, ale chór aniołów śpiewa mu hymn zbawienia. Obejrzał się i podszedł do okna.

<sup>304</sup>*rubig* (niem.) — spokojnie. [przypis edytorski]

<sup>305</sup>*więcej uderzające* — dziś popr.: bardziej uderzające. [przypis edytorski]

<sup>306</sup>*możeś się zakochał* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: możeś się zakochałeś. [przypis edytorski]

<sup>307</sup>*jakem kazała* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: jak kazałam; kiedy kazałam. [przypis edytorski]

— Jasia długo nie widać — zauważył, opierając się o uszak naprzeciw panienki.

Tęgo tylko trzeba było pani Tekli. Zaczęła wyliczać usterki zakochanego, upajając się melodią własnego gderania. W przerwach dawała rozkazy przygluchemu Walentemu.

We framudze okna nikt jej nie słuchał. Kłębami wdzierała się upajająca woń bzów i śpiew słowików.

Mówili z cicha, niewiele co.

— I pani mi tego nie powiedziała! — skarżył się Wentzel z wyrzutem. — A jam ten wyrok na siebie nosił tyle miesięcy i tak rozpaczal<sup>308</sup>! I pani płakała po tym człowieku! Płakała!

— Babka ma bardzo bujną wyobraźnię — odparła ruszając brwiami. — Co prawda, podobne przejścia nie należą do najprzyjemniejszych, szczególnie z takim człowiekiem. Czy wie pan, co on teraz robi? Po całych dniach strzela z pistoletu. Podobno, że nikłowe pieniądze rozbija kulą w powietrzu.

— Więc cóż?

— Nic. Tylko w serce ludzkie łatwiej trafić niż w rzucony pieniądz.

Wymówiła to chłodno, na pozór zupełnie obojętnie, i dalej wyglądała w cienie wieczoru, jakby ją tylko zajmował powrót Jasia.

— A jakby i zabił kogo w pojedynku, to co? — zaczął po przerwie Wentzel ponuro, sądząc, że ona się lituje nad Głębockim. — Odsiedzi pół roku w fortecy i wróci.

— Ale zabity nie wróci — zamruczała.

— Zabity może będzie szczęśliwy.

— Jeśli nikogo po sobie nie zostawi, pewnie! — odparła.

— Pociesz się! — zaśmiał się ironicznie.

— Nie zgadzamy się w tym zupełnie, panie hrabio. Zazdroszczę panu łatwej pociechy i spokoju.

Oparła łokiec na uszaku i ukryła główkę w rękach. Brylanciki na jej palcu migotały tysiącem iskier. Wentzel przypomniał sobie, że ten pierścionek widział u Głębockiego. Zagryzł wargi.

Nie rozumieli się wcale. Serca biły do siebie, a słowa rozdzielały ich coraz bardziej. A swat gdzieś gruchał na drodze i zapomniał o swej roli.

— Cóż wy tam robicie na przeciągu! Chcecie dostać paraliżu! Herbata gotowa. Musicie być okropnie głodni po spacerze. Zamknij, Waciu, okno.

Zasiedli do posiłku, ale żadne nie tknęło przysmaków zastawionych przez starszkę na cześć powrotu wnuka. Potem gwarzyli, siedząc we troje na ogrodowym ganku, ale rozmowa się nie kleiła.

— Pewnieś zmęczony? Idź spać — rzekła wreszcie pani Tekla.

Zgodził się i na to, ale zasnąć nie mógł. Przewracał się na posłaniu i wzdychał, oczekując Jasia. Nareszcie, około północy, gończe psy faworyty zaczęły w sieniach skomleć radośnie. Chrzątkowski wszedł nucąc, w wysmienitym humorze.

— Śpisz, Waciu? — zagadnął.

— Diabła tam! Wyglądam ciębie. Spełniłem akuratnie twe polecenia. Przywiozłem wszelkie podarki, kufer złota, nawet obrączki! Ślub stanowczo w niedzielę?

— Stanowczo! A ty się zaręczyłeś?

— Ja? Z kim?

— Z kimże? Z Jadzią!

— Panna Jadwiga płacze po Głębockim. A ma trzech konkurentów rodaków, znajomych. Gdzie mnie próbować nawet!

— Co? Płacze po Głębockim? Czyż ty rozum postradał, człowieku? I to dowodzą, że zakochani mają przecucia! Aleś ty, Wacławku, ślepy jak kret! Pokaż no obrączki. Może za duże?

— W pugilaresie na stole. Dlaczegoż babka dowodzi, że płakała po Głębockim?

— Jeżeli ty w to możesz wierzyć, to czemuż nie babka? Oboje macie wiele daru spostrzegawczego! Doskonale obrączki, śliczne! Dziękuję ci!

— Nie ma za co. A ty co spostrzegłeś?

<sup>308</sup>jam (...) nosił (...) i (...) rozpaczal — konstrukcje z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: [ja] nosiłem i rozpacziałem. [przypis edytorski]

— Ja nic nie potrzebowałem obserwować, bo mi Jadzia sama powiedziała. Przecież ci pisałem.

— Nie odebrałem listu. Powiedz, co mówiła?...

— Najciekawszego nie wykrztusiła, schowała dla kogoś innego, na deser. Boże, Boże, że też wy sobie beze mnie rady nie umiecie dać! Oświadczyć się jutro.

— Nie mogę! Niewart jej jestem. Jak mi jeszcze raz odmówi, to w łeb sobie palnę!

— No, to lepiej oświadczać się po moim weselu. Gotówes<sup>309</sup> nie zrozumieć jej mrużenia, weźmiesz zgodę za odmowę i zrobisz mi nieszczęście i zły omen. Czy wiesz, ile zdobyłem buziaków przez ten cały czas? Zgadnij?

— Sto!

— Dwa tylko! Jeden piętnastego marca, a dziś drugi. A com prosił<sup>310</sup>, błagał, zaklinał!

— Bo nie zaklinaj. Sama ci ofiaruje.

— Doprawdy! Spróbuj no tego sposobu z Jadzią, filozofie. A czy są brylantowe kolczyki?

— Są. A ja przez ten czas nikogo nie pocałowałem... Nie spojrziałem nawet na kobietę!

— Gdzieżes podział hrabinę Aurorę?

— Admirał ją zabrał prawie przemocą na swą fregatę. Gdzieś żeglują szczęśliwie. Miałem scenę z piekła żywcem wziętą, nim jej wytłumaczyłem, żeby swe prawa przekazała ze mnie na męża. Słyszałem, że się mści na oficerach marynarki. *Vale*<sup>311</sup>!

— A Lidia?

— Kupiłem jej kamienicę w Berlinie, byle mi dała spokój. Zresztą, rozprawiłem się z tymi damami w trzy dni i uciekłem, bo Schöneich drwinami nie dał mi spokoju. Czego ten człowiek na mnie nie wymyślał! Uszy więdną! Obiecał odwiedzić mnie w Strudze. Tylko co patrzeć, jak ich tu się zbierze batalion cały. Jestem bajką modną w Berlinie.

— Więc dobijaj prędko targu. Wyszłes z miłości. Ale wiesz co, bardzo ciekawy tych klejnotów. Poślę zaraz po nie do Strugi.

— Dobrze. Dam kartkę do Urbana, żeby je przywiózł. Są u niego pod strażą.

— Jutro je zawieziemy Cesi i ogadamy detalicznie ceremonię. Ślub cichy, obiad u niej, wieczorem przeprowadzenie nas do Olszanki. Boże, Boże, i do tego jeszcze pięć dni! Ty družbujesz ze Stefanem, a Jadzia z małą Tesią, moją szwagierką.

— Żdźarskiego koń uniósł. Nie spotkał was?

— Nie. Uniósł? Broń Boże jeszcze pokaleczył! Znowu gotowi ślub odłożyć. Ach! Ja nieszczęśliwy! Pojadę go szukać.

Chłopak chwycił za czapkę i poleciał. Zapomniał o precjozach i o losie siostry i przyjaciela. Na pomoc jego nie można było liczyć. O! Jakże brakowało Wentzlowi teraz dawnej pewności siebie i zarozumiałości. Szalał, ubóstwiał — i milczał! A Jan, zamiast dopomóc, jeszcze przeszkadzał. Stefanowi, szczęściem, nic się nie stało, ale chłopak żył ciągle w gorączce i nie mógł się obejść bez przyjaciela. Raz tylko w ciągu tych pięciu dni znalazł hrabia chwilę rozmowy z Jadzią. Cesia wezwała koleżankę na dziewic-wieczór do pomocy w tysiącu drobnych szczegółów stroju i ceremonii. O zmroku panienki siedziały na ganku, wiążąc mirtowe bukietki dla gości. Drużbowie obydłaj i Jaś pomagali niby, przekomarzając się i dowcipkując.

— Dla kogo ten duży, Jadziuniu? Pewnie dla Adama — śmiał się Jan.

— Co? Pan go zaprosił, tę mumię? — zakrzyczała Cesia. — Ja zrywam słowo, nie chcę go widzieć!

— Za późno, panno Celino! Jużeśmy nawet po spowiedzi i spadła pani trzy razy z ambony<sup>312</sup>. Losy rzucone.

— Mój drogi — wtrącił Wentzel — panna Celina jeszcze u ołtarza może zaprzeczyć, że ma wolną wolę.

— A ty skąd tak znasz szczegóły tego sakramentu?

— Od ciebie, naturalnie! Nawet przez sen o tym mówisz.

<sup>309</sup>gotówes — skrócone od: gotów jesteś. [przypis edytorski]

<sup>310</sup>a com prosił (pot.) — tu w znaczeniu: a ile prosiłem. [przypis edytorski]

<sup>311</sup>vale (łac.) — bywaj zdrów, żegnaj. [przypis edytorski]

<sup>312</sup>spadła pani trzy razy z ambony — z ambony, tj. mównicy w kościele ogłaszano przez trzy tygodnie z rzędu zapowiedzi ślubu, wymieniając z nazwiska pannę i kawalera mających zawrzeć związek małżeński. [przypis edytorski]



— To jednak straszno tak przysięgać! — zauważył Stefan.

— Niby wy kiedy dotrzymujecie! — odąwszy usteczka, wygłosiła Cesia. Jadzia milczała. Wiązała gałązki mirtowe. Wentzel, siedzący u jej nóg na schodach ganku, brał je z jej rąk i ozdabiał złotą szpilką. Podniósł głowę na zdanie Cesi.

— Lepiej nie przysięgać niż łamać. Człowiek, co zdradza wiarę i zrywa słowo dane u ołtarza, nie ma sumienia, honoru i czci! — rzekł poważnie.

— Pan hrabia pewno dotrzyma! — odparła figlarka. — Nieprawdaż, Jadziu?

— Jeżeli to zależy od honoru, czci i sumienia, to sądzę, że je posiada.

— To zależy od żony, moje panie! — wymówił Jaś z powagą kaznodziei. — A ja, znając przedmiot miłości Wacława, rękę za nią i za niego, że oboje dotrzymają.

— Dziękuję ci za uznanie i prorocstwo. Obyź się prędzej ziściło! Jestem daleko od ślubu!

— Jak się kto do tego po niemiecku, *langsam*<sup>313</sup> zabiera, to nie dziw, że się spóźnia.

— I ty podobno starałeś się pięć lat.

— Ach, prawda! — westchnął Jan. — Żem nie osiwiiał, to szczególna łaska boża.

— Panie hrabio — przerwała Cesia — czy to prawda, że i pan dostał harbuza?

— Niestety, i niejednego!

— A od kogo?

— Powiem to pani w przeddzień swego ślubu.

— Aj, nie durz głowy, Cesi — ozwał się Stefan. — My z hrabią mamy coś ważniejszego do omówienia. Kto z nas nie dostał rekuzy<sup>314</sup>! Aż złość słuchać! Mnie chodzi o wyścig, hrabio.

— I owszem. Mówił pan z Głębockim?

— Z panem Głębockim... — bukiecik wypadł z rąk Jadzi. — Czyż się panowie nie obejdą bez niego?

Wentzel popatrzył na nią, krew buchnęła mu do twarzy. Coś mu świtało w głowie rozkosznego.

— Cały interes w pobiciu jego „Normy” — wytłumaczył Stefan.

— Czy ty się ścigasz na siwym? Winszuję! Każ w wigilię wypłoszyć z terenu zające — śmiał się Jan i zwrócił się do narzeczonej. — Chodźmy szukać pięciolistnego bzu. Jadzia dokończy bukieciki z hrabią. Ci państwo nie lubią spacerować. Będą sobie gadać o Głębockim i wyścigu.

Ruszyli, wzięwszy się pod rękę, w głąb ogrodu.

Śmiech Cesi brzmiał z daleka; jednocześnie pan Żdzarski zawołał syna do domu. Słowniki głużyły rozmowę pozostałych.

— Dlaczego pani nieprzyjemna obecność Głębockiego na wyścigu? — zagadnął Wentzel.

— Nieprzyjemna! Pan, co wierzy, że po nim płaczę, może myśleć, że to było radosne wrażenie. Czy nie lepiej o kim innym lub o czym innym mówić niż o nim? Nie cierpię śledztwa, a pan ma do tego wielki gust. Proszę pana, ostatni bukiecik.

— Zapasowy! Wezmę go sobie. Już nigdy nie wspomnę Głębockiego.

— Po co te wyścigi! — zamruczała. — „Bohater” niezawodnie wyprzedzi, a w końcu z zabawy może być awantura i nieszczęście.

— Jeśli pani zabrania, to się cofnę.

— Nie zabraniam, ale proszę — wymówiła ciszej.

— A w zamian ja o coś poproszę!

— Słucham.

— Niech mi pani powie, kto pani lepszy: on czy ja?

— Znowu śledztwo... Powiem panu w przeddzień pana ślubu.

— W takim razie nigdy... Od tej odpowiedzi zależy moje małżeństwo.

Zaśmiała się lekko.

— Pan Głębocki nie jest mi wcale dobry. Po cóż próżne pytania?

— Pani odpowiedzi nic nie mówią. Żeby raz posłyszał „tak” lub „nie”, tobym się więcej nie odezwał.

<sup>313</sup>*langsam* (niem.) — powoli. [przypis edytorski]

<sup>314</sup>*rekuza* — odrzucenie przez kobiety propozycji małżeństwa. [przypis edytorski]

— Żeby pan był domyślniejszy, obeszłoby się i bez tego. Czy pan nie uważa<sup>315</sup>, jak mi trudno bawić się słowami, a czasem nawet mówić? Czemu mnie pan męczy? Mam naturę nieznośnie skrytą i nieufną.

Stefan wrócił w tej chwili; miał głowę pełną wyścigu. Zdumiał się na odmowę hrabiego.

— Dam panu swego konia, wprowadzie nie „Bohatera”, bo ten się dosiąść nie da, ale równie pewnego. Proszę przyjechać do Strugi. Zobaczy go pan.

Jadzia wstała z miejsca i ruszyła powoli na spacer, nucąc z cicha. Młodzi ludzie zapalili cygara i gwarzyli o polowaniu i koniach. Żdzarski się zapalił, wpadłszy na swój ulubiony temat; nie znać było po nim, że przed paru dniami i on dostał rekuzę od pięknej siostry Chrzastkowskiego.

Wentzel opowiadał i słuchał roztargniony, zdenerwowany, zajęty jedną myślą, jednym pragnieniem.

W ogrodzie było gwarno od słowików, a potem z dala, zgłuszony szmerem wiatru i gęstwiną drzew i krzaków, przedarł się aż do ganku śpiew na dwa głosy — Jadzi i Cesi.

Było to coś z polskich, smętnych piosenek, słów nie słyszał hrabia, ale melodia wołała go, ciągnęła, rwała do siebie. Nie mógł pozostać w miejscu, wstał.

— Chodźmy bliżej posłuchać — rzekł.

— Śpiewu? Czy jest coś więcej nudnego<sup>316</sup>, jak te trele? — odparł Żdzarski, ruszając ramionami. — Wolę pójść upomnieć się o wieczerzę.

Wentzel sam poszedł. W ciemnej altanie siedzieli narzeczeni z Jadzią. Oni blisko siebie na darniowej ławce, ona opodał, sama. A śpiew wabił, wołał, nęcił.

— Kto tam? — zagadnął Jan na widok czarnego cienia. — A, to ty, drużbo; siadajże obok swej towarzyszki.

Panienci urwały śpiew.

— Przepraszam. Czy przeszkadzam? — spytał.

— Ależ nie. To ten pan nam przerywa — zawołała Cesia, uderzając narzeczonego po rękę gałązką bzu.

— Bardzom rad<sup>317</sup>, że go widzę — tłumaczył się Jan. — Nie lubię trójek. Para albo dwie. To przynajmniej prosty rachunek. Wiesz co, Jadziu: zaśpiewajcie z Wacławem duet z *Fausta*. Mam przecucie, że się wam uda wyśmienicie.

Cesia zachichotała jak psotny chochlik.

Oboje wezwani do śpiewu milczeli.

— Nie chcecie? — dziwił się Jan. — Szkoda. Wasze głosy muszą być bardzo odpowiednie.

— Czy pan słyszał hrabiego śpiewającego? — zagadnęła Cesia. — Mnie się widzi, że to się nie zgadza z jego powagą.

— Czy ja na pani robię wrażenie poważnego? — spytał hrabia z uśmiechem.

— Nie widziałam pana nigdy wesołego.

— Przy Jasiu niknie humor innych.

— Ja, szczęściem, nie mam w miłości twego usposobienia.

— Miłość miłości nierówna.

— Czemu ty nie siądziesz? To drzewo podpory nie potrzebuje. Czy tam koło Jadzi nie ma miejsca?

— Owszem, proszę pana — rzekła Jadzia, usuwając się.

Ławeczka była bardzo wąska. Usiedli tuż koło siebie, a Cesia ozwała się wesoło:

— To na pana miłość tak przygnębiające sprawia wrażenie? A ja słyszałam, że pan bardzo szczęśliwie trafił.

— Któż to pani skłamał?

— Jadzia — odrzekła figlarka. — To ty umiesz kłamać, Jadziuniu? Ładnie!

— Nie przypominam sobie — odparła zagadnięta — zdaje mi się, że w klasztorze ty nosiłaś niekiedy czerwony język na plecach podczas rekreacji<sup>318</sup>.

— Czerwony język to za ciekawość.

<sup>315</sup>uważać — tu: zauważać, widzieć, zwracać uwagę. [przypis edytorski]

<sup>316</sup>więcej nudnego — dziś popr.: bardziej nudnego. [przypis edytorski]

<sup>317</sup>bardzom rad — skrócone od: bardzo jestem rad. [przypis edytorski]

<sup>318</sup>rekreacja — tu daw.: przerwa lekcyjna; czas odpoczynku. [przypis edytorski]

— Może być. I tego ci nie brak.  
— Ciekawość, Jadziuniu, jest znakiem roztropności.  
— Niezawodnie. A powtarzanie cudzych zwierzeń lub własnych, niepewnych obserwacji czego jest znakiem?  
— Przychylności dla niedołęgów — odpowiedział za narzeczoną Jan.  
— Czy to i ja mam pani za tę przychylność podziękować? — spytał Wacław.  
— A naturalnie. Tylko pan.  
— Chociaż określenie niezbyt pochlebne, dziękuję. Odślużę się na weselu. Zdaje mi się, że tak mówią.  
— Ależ pan zna nawet polskie przypowieści. Musiał pan pilnie się uczyć.  
— Musiałeś wykraść Sperlingowi żonę — śmiał się Jan — przecież to ona cię uczyła.  
— Ona. Sperlingowie jeździli ze mną razem przez tych parę miesięcy. On mi pomagał w interesach, a pani Lili dawała mi lekcje. Mówiłem z nią zawsze po polsku.  
— Pewnie zbałamucileś biedną?  
— Czy ci się zdaje, że można każdą zbałamucić?  
— Teraz, mój drogi, wierzę, że żadna ci się nie ostoi.  
— Czas na wieczerzę, Cesi — wtrąciła Jadzia.  
— Czyś tak bardzo głodna? — żartował brat. — Sądząc po sobie, myślę, że zakochani nigdy nic nie jedzą. Nieprawdaż, Waciu, i ty nie masz apetytu?

Podczas tej rozmowy ręka Wacława spoczywała na poręczy ławeczki, za plecami panienki.

Po chwili ona się oparła o tę rękę, spojrzała na niego spod brwi i spuściła znowu oczy. Chciał cofnąć ramię, ale nie miał siły.

— Czy pani niewygodnie? — spytał cicho.

— Niewygodnie — odmruknęła.

Czy to było twierdzenie, czy ironiczne zaprzeczenie, nie można było zrozumieć.

— Śpiewać pani nie będzie? — badał dalej.

— Nie będę.

— Co nie będzie? — zagadnął, nie dosłyszawszy, Jan.

— Słuchać twoich conceptów. Pójdę do domu.

— Idźcie lepiej z Wacławem poszukać pięciolistnego bzu.

— Wyście z Cesią wszystko oberwali.

— Zostawiliśmy dla was. Słowo daję.

Na niebo wypłynął księżyc i srebrnymi smugami zaglądał do altanki, migocąc między liśćmi strzyżonych jesionów. Słowiki na chwilę pomilkły. Nawet swawolny Jan zdobył się na okrzyk zachwyty.

— Co za noc cudowna! Człowiek by życie tak przeżył, patrząc w niebo. W jakim to poemacie opisano taką chwilę? Pamięta pani?

Główka narzeczonej oparta była o jego ramię, zajął w jej oczy, może pocałował, kto wie; w przeddzień ślubu nawet Cesią robiła ustępstwa.

— *W Szwajcarii* — odparła, podnosząc wzrok ku niebu i zaczęła mówić półgłosem:

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,  
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą.  
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,  
I ciszej źródła po murawie dyszą...

Naprzeciw, w cieniu, na ławeczce, słuchano uważnie, tylko zamiast w niebo, patrzyli na siebie. Młody człowiek pochylił się nad dziewczyną, całe serce i dusza przeszły mu w oczy. A ona, niezdolna oprzeć się wyrazowi tego spojrzenia, bezwiednie podniosła źrenice i minutę stanęły im serca cicho w piersi, i minutę żyli tylko dla siebie, i tylko kochali.

I nie rzekli słowa, tylko po chwili on jej rączkę wziął w swoją i ucałował długo.

A dźwięczny głos Cesi deklamował z cicha, do wtóru z uciszoną przyrodą:

Ach, najszcześliwsi na świecie nie widzą,  
Gdzie duchy skrzydła na ramiona kładą...

A potem narzeczeni gdzieś zniknęli — i w altanie zapanowała cisza, długo...  
I tylko księżyc ich widział, i tylko ich słyszały słowiki...

## XII

Turkot i palenie<sup>319</sup> z bata spłoszyły nazajutrz panią Teklę ze snu. Zerwała się przestraszona, sądząc, że przespała ceremonię ślubną.

Po chwili ktoś zapukał do drzwi sypialni.

— Co tam? — zawołała, ubierając się spiesźnie.

— To ja! — ozwał się głos Wentzla. — Przyjechałem po babcię. Czas jechać.

— Powariowaliście wszyscy! Zaledwie siódma! To pewnie Jan cię zbudził tak rano.

— Wcaleśmy się nie kładli. Panienki poszły się stroić, a mnie panna Jadwiga przysłała do Mariampola.

— A do tej co znowu przystąpiło! Skaranie boskie z tą gorączką. Każ konie zaprzęgać.

— Nie trzeba, babciu. Są moje ze Strugi.

— Pewnie narowiste. Gotowe nas pokaleczyć.

— Łagodne jak dzieci. Niech mi babcia zrobi to szczęście i nie odmówi.

— No, dobrze już, dobrze. I ty coś dziś w gorączce. Marszałek prosił, żeby go zabrać po drodze. Może mały powóz? Czegóż stoisz pode drzwiami i głowę mi durzysz! Niech dają śniadanie.

Wentzel odszedł i po chwili usłyszała go staruszka, jak rozbijał fortepian Jadzi, grając bez ceremonii mazurka.

Wypadła nań z krzykiem.

— Co wyprawiasz? Struny popękają!

— A niech sobie pękają! — odparł, całując jej rękę.

Wystrojony, z bukietem mirtowym u klapy, promieniał jak jutrzeńka.

Tak rozradowanym nigdy nie był jeszcze. Aż się pani Tekla musiała uśmiechnąć do jego uszczęśliwionych oczu.

— Istna epidemia ten szal weselny! Czegóż ty się cieszysz? Chciałabym wiedzieć.

Poczerwieniał, jakby był panną młodą.

— Ja bym dziś, babciu, cały świat ścisnął i całował. Dusza mi się w piersi nie mieści.

— Osobliwość! — pokręciła głową. — Lepiej byś się przespał i zjadł cokolwiek.

Przecież zaraz jechać nie trzeba.

— Ależ trzeba, natychmiast! Nim się marszałek wybierze!... Jan tam klnie pewnie i płacze.

— Ach, ten Jan! No, to jedźmy, przyspieszymy jego opamiętanie. Jakże tam Jadzia? Wczoraj skarżyła się na ból głowy.

— Zdrowa, babciu, zdrowa i wesola! — powtarzał z uśmiechem, pomagając staruszce przykryć szaty godowe popielatym pudermantlem<sup>320</sup>.

Konie stały u drzwi, postrojone w pęki wstążek i wisiadełek. Powozik świecił jak cacko.

Pani Tekla umieściła się na safianowych poduszkach, hrabia wziął z rąk furmana lejce i ruszyli jak wiatr.

Nawet zły humor mariampolskiej dziedziczki nie ostał się wobec ślicznej pogody, słońca i wesołych oczu Wentzla, który co chwila zwracał się do niej z jakimś przelotnym słówkiem troskliwości lub zapytania.

Na zawrocie do marszałka stangret ośmielił się zrobić uwagę:

— Droga wypadnie przez dworek dawniejszego pana ze Strugi. Może bramy zamknięte?

— A to mu je wywalimy! — odparł zuchwale pan.

— Co on mówi? — spytała pani Tekla.

— Że nam Głębocki bram nie otworzy.

— Fe! Nie wiedzieć co! A zresztą, kto go wie! Furiat! Może zawrócić?

— Ja się nigdy z drogi nie wracam, babciu.

<sup>319</sup>palenie — tu: trzaskanie. [przypis edytorski]

<sup>320</sup>pudermantel (z niem.) — płaszcz chroniący przed kurzem. [przypis edytorski]

W tej chwili dworek wymieniony wyrósł tuż przed nimi w parowie. Konie dopadły bramy i stanęły. Była szczelnie zamknięta. Na wołanie stangreta stróż ukazał się z budy i dość opieszale wyjrzał na przybyłych.

— Otwieraj, trutniu! — krzyknął hrabia.

— Oho! A jakże otworzę, kaj<sup>321</sup> klucze u pana, a pon śpią! — odparł człek z mazurska.

— A to go obudź, twego pana!

— Oho! Jesce mię z pistoletu ustrzelą!

— Idź, Paweł, do niego i poproś o klucze — rozkazała pani Tekla stangretowi.

Poszli obydwaj ze stróżem. Wentzel to bladł, to czerwieniał. Gniew wzbierał w nim jak fala. Spojrzał na zegarek.

— Dziesiąta! — zamruczał.

Pani Tekla, dla której Głębocki nie był rywalem, traktowała tę kwestię dużo spokojniej.

— Podoba mi się taki rygor, podoba! — mruzczała. — Warto, żeby u ciebie w Strudze był taki sam. Chociaż wariat, ale porządniej u niego niż u ciebie.

W tej chwili wrócił stangret i stróż z kluczami; otworzył, uklonił się i rzekł:

— Pon prosą, żeby więcej nie jeździć bez<sup>322</sup> folwark, ino<sup>323</sup> gościńcem.

Wentzel się obejrzał.

— Powiedz twemu panu, że wieczorem będę wracał: niech mi nie każe czekać! — okrzyknął.

Na ganku stał Głębocki i może słyszał odpowiedź. Nie uklonił się i Wentzel również nie uchylił kapelusza, tylko jechał z wolna, jakby wyzywając przeciwnika.

Stadko gołębi, spłoszone, porwało się z dachu, mignęło nad głową hrabiego. W tej chwili Głębocki podniósł pistolet i strzelił. Jeden z gołębi zawirował i padł na koła powozu; konie spłoszone pomknęły bez pamięci na płoty i rowy; pani Tekla krzyknęła przeraźliwie.

— Nic, babciu, nic — uspokajał Wentzel borykając się z rozhukanym zaprzęgiem. — Ten pan strzela sobie gołębie, przecie to nic zdrożnego. Dobrze strzela nawet. Może być królem kurkowym. No, otóż jesteśmy znowu na drodze.

— A mówiłam ci: zawróć! Nigdy nie słuchasz! O cal ci kula przeleciała nad głową! Boże, Boże! Niby to wasza idealna policja! Taki człowiek swobodnie się obraca! Gdzież porządek! Ot, kryminał mógł być na gładkiej drodze, w jasny dzień! A mówiłam: zawróć!

— Czy widzi babcia? Marszałek jedzie przed nami. Spóźniliśmy się.

— A, prawda! Dzień dobry bratu! — powitała nejtyczanek<sup>324</sup> i jowialną twarz ciotecznego.

— Pi, pi! Siostrunię hrabiowie wożą! Jakie cugi<sup>325</sup> — śmiał się staruszek i mrugał znacząco.

Zaprzęgi stanęły. Obok pudermantla pani Tekli marszałek umieścił siebie i swój płaszcz z peleryną, dowcipkując dyskretnie z hrabiowskiego szyku i przepychu.

— Dajże brat spokój — zawołała pani Tekla. — Proszę lepiej posłuchać, co się tu u nas dzieje. Mordują ludzi po drogach!

— A słyszałem, słyszałem — potakiwał. — Dwie ofiary spalone! Ale policja już wpadła na trop.

— Co brat bredzisz! Jakie dwie ofiary? Jak to spalone?

— Ano ten Szwarz, co handluje wieprzami; zarżnięto go z żoną we wtorek.

— Co mi brat plecie o jakimś tam Szwarcu?

— A cóż mi siostra mówi o zamordowaniu?

Wentzel śmiał się jak szalony z tego nieporozumienia.

— Mówię, bo przed chwilą Głębocki omal nie zabił wnuka.

Marszałek aż podskoczył.

— Być nie może! — zawołał, oglądając Wentzla. — A to wariat kompletny! Hrabia powinien oznajmić to policji, podać na sąd.

<sup>321</sup>kaj (daw.) — kiedy, gdy; tu: skoro. [przypis edytorski]

<sup>322</sup>bez (gw.) — przez. [przypis edytorski]

<sup>323</sup>ino (gw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>324</sup>nejtyczanek — czterokołowy pojazd konny o wyplatanych nadwoziu, często na resorach, lekko podniesiony z tyłu. [przypis edytorski]

<sup>325</sup>cugi — zaprzęg składający się z sześciu lub czterech koni zaprzęzonych parami. [przypis edytorski]

Croy-Dülmen spojrział iskrzącymi oczami na mówiącego. Twarz jego zabarwiła się krwią.

— Ja moich honorowych spraw nie powierzam policji. Jest na to inny sąd! — rzekł z naciskiem.

Marszałek zatarł ręce.

— Pan mówi po naszymu — odparł, kiwając głową.

— Jam już dawno wasz, panie marszałku! — uśmiechnął się młody człowiek.

— Chwała Bogu! Bardzom rad! A siostrunia aż rośnie z dumy. Jakże to było z tym strzelaniem? Tak sobie, bez żadnej dobrej racji?

— Racja to by się znalazła — rzekł wesoło Wentzel.

— Aha, znalazłaby się! Rozumiem! Coś tam stoi zapisanego między wami *in libris amoris*<sup>326</sup>!

— A brata zawsze żarty się trzymają. Co za jakies *libris*! Nie *libris*, ale Głębocki jest furiat, i jeśli go nie zamkną do obłąkanych, to ja sama zaskarżę go do medycznego wydziału!

— Ho, ho, ho! Jaka z siostry gorączka! Załatwi się z nim hrabia bez naszej pomocy! Po co kłaść palce między drzwi? Nieprawda, kawalerze?

— Niezawodnie, panie marszałku. Ale oto i Braniszczce. Wszystkie powozy już przed kościołem. Słowo daję! Jan już piechotą idzie naprzeciw.

Niecierpliwy oblubieniec istotnie, bez względu na swój strój weselny, kroczył na spotkanie.

— Ty mnie w chorobę wpędzisz swym marudstwem! — krzyczał już z daleka.

— *Chi va piano, va sano*<sup>327</sup> — pocieszał go Wentzel, zajeżdżając przed kościół.

Pani Tekla triumfalnym pochodem, pod eskortą wnuka i wychowańca, zajęła swe miejsce. Wszyscy na nią czekali i natychmiast rozpoczęła się ceremonia.

U ołtarza przyklekli państwo młodzi, powtarzali za księdzem przysięgę powoli, wyraźnie, dobitnie. Mimo woli za nimi szeptał ją Wentzel, stojąc naprzeciw Jadzi i nie spuszczać wzroku z jej bladej, poważnej twarzyczki.

Spotkali się oczami. On spojrzaniem mówił, że ją ubóstwia; ona uśmiechnęła się lekko, łagodnie i zarumieniła się nieco. U ołtarza było czworo szczęśliwych.

Jadzi od wczoraj było jakoś dziwnie. Ostatecznie oddała mu serce i duszę i nie żałowała wcale, tylko ją strach zdejmował przed szczęściem.

I ona zamyślona powtarzała machinalnie słowa przysięgi i tak się zadumała, że ją jak ze snu zbudził dobrze znany głos:

— Służę pani.

Nie patrząc, wsunęła rękę pod jego ramię i poszła za nowożeńcami. Marszałek z panią Żdzarską dreptał tuż za nimi.

— Jadziu — ozwał się, ledwie przestąpili próg kościoła — czy wiesz, że zarzęli Szwaba Szwarcą?

— Wiem.

— A wiesz, że strzelali do hrabiego?

Rączka panienki drgnęła.

— Do jakiego hrabiego? — spytała jednak spokojnie.

— Nie udawaj naiwnej, figlarko! Znam, znam twoje sztuki! Do jakiego hrabiego! Dobra sobie!

— Jak to? Strzelano do pana? — zawołała pani Żdzarska przerażona.

— Marszałek żartuje — odparł.

Jadzia nie pytała słowem tylko oczami. Oczom tym nie umiał kłamać, spojrział w inną stronę.

— Czy widzi pani? — zawołał. — Jaś z żoną już się sprzeczą u drzwiczek powozu.

— A kawaler by się nie sprzeczał — żartował marszałek. — Będiesz pod pantoflem, młody człowieku. Co? Może chcesz tabaczki?

— Ślicznie dziękuję za prorocstwo i propozycję. Z kim pani jedzie?

— Z panią Ostrowską. Wzywa nas.

<sup>326</sup>*in libris amoris* (łac.) — w księgach miłości. [przypis edytorski]

<sup>327</sup>*chi va piano, va sano* (wł.) — kto idzie powoli, idzie zdrowo. [przypis edytorski]

Pani Tekli widocznie podobały się safiany. Już się w nich rozsiadła i kiwała na Jadzię. Wentzel, uszczęśliwiony z zaszczytu, gnał zaprząg z kopyta, wyprzedzając wszystkich. Staruszka daremnie wzywała do opamiętania.

— Apopleksja razi konie w taki upał. Popadają na drodze! Czyś oszalał?

— Niech padają! Co mi tam! — odpowiadał.

Na to monstrialne lekceważenie inwentarza pani Tekla miała już zacząć piorunujące kazanie, gdy Jadzia spytała nagle:

— Marszałek mi mówił, jakoby strzelano do hrabiego? Nie mówił nic babci?

— Jak to mówił? Na co miał mówić? Przecież to się działo w moich oczach. Kula o cal przeszła od głowy.

Tu nastąpiła detaliczna opowieść wypadku i trwała całą drogę. Jadzia nie ozwała się więcej. Oparła głowę w głębi powozu, przymknęła oczy i słyszała tylko swój ból w duszy.

Przyszła tedy nieunikniona katastrofa; już jej nic nie odwróci; ona już nie ma prawa go powstrzymać przed honorową rozprawą. Unikał jej wzroku, bał się prośby, której będzie musiał odmówić, lub bał się swej słabości względem niej. Nie, ona go nie będzie prosić, nie zatrzyma. Niech się dzieje, co sązione!

Czytała gdzieś, że szczęście to grzech, za który się śmiercią płaci. Aksjomat ten kołował w jej głowie, wbijał się w jej mózg jak ćwiek, bolał, szarpał, rozdzierał.

Miała ochotę komuś się poskarżyć, pożalić, jemu samemu najprędzej. Czy też jemu nie szkoda będzie ginąć? Czy nie jęczy w nim dusza jak w niej?

Spojrzała ku niemu. Jego cienki, piękny profil widziała tylko: uśmiechał się do swych myśli. Pojedynek dla niego to zabawka! Wczoraj w altanie mówił, że rad umrzeć, jeśli śmiercią dowiedzie swej miłości. Ha, otóż i dowiedzie! — Potem pytał: czy go lubi choć trochę? Pytał, prosił, zaklinał o odpowiedź, a ona milczała. Słowo nie mogło się wydrzeć ze skrytego serca; jej się zdawało, że on i bez tego wiedzieć powinien. A może on nic nie wie? Dręczyła go tyle czasu — może rad skończyć mękę? Może stracił nadzieję? Rękę jej, odchodząc, przycisnął do serca — kołatało szalenie. A ona nie pocieszyła go jednym słowem. A teraz go jej kula weźmie.

Przybyli na miejsce i wpadli w wesołe, rozbawione grono rodziny. Jan odzyskał humor i werwę. Marszałek prawił dowcipy, wszyscy się śmiali. Wentzel był też w podnieconym usposobieniu — żartował, bawił całe towarzystwo. Mało jadł, ale pił bez ustanku. Siedzieli obok siebie. Marszałek mrugał, Jan wznosił zdrowie druzek, pani Tekla nawet uśmiechała się łaskawie. Jedna Cesia spostrzegła troskę na twarzy Jadzi i po obiedzie spytała ją serdecznie:

— Co ci, Jadziu? Głowa boli?

— Boli — odparła niewyraźnie.

Oj, bo też ją bolało okropnie! Widziała, jak po obiedzie Wentzel coś szeptał ze Stefanem, posyłali jakieś kartki, umawiali się tajemniczo, potem jakby nic wrócili do salonu.

Pod wieczór nowożeńcy pożegnali rodziców i gości. Rozjeżdżali się wszyscy. Pani Tekli nie było już; miała Jasia i Cesię przyjąć w Olszance chlebem i solą. Konie mariampolskie czekały na Jadzię. Dla Wentzla i Stefana stały posiadłane wierzchowce.

Hrabia ją przeprowadził do powozu. Zdobyła się wreszcie na zapytanie:

— Pan dziś będzie u babki?

— Nie, pani, nie mogę.

— A jutro?

— Nie wiem, co będzie jutro.

— Zapewne, może lepiej nie żegnać się — zamruczała raczej do siebie niż do niego.

— Kto ma z kim żegnać się, to szczęśliwy — odparł, patrząc na nią błagalnie.

I znowu czarodziejskie słowo ugrzęzło w gardle — pokręciła głowę. Łez miała pełne oczy.

— Niech pan będzie jutro — wyszeptła.

Uklonił się, bo Stefan się zbliżył, powóz ruszył.

— No, to jedziemy? — spytał Żdźarski.

— Jedziemy! — zawołał z determinacją hrabia.

Skoczyli na konie i pognali w drugą stronę. Na trakcie spotkali Wolickiego i Jasienieckiego, zamienili parę słów i pojechali razem do dworku Głębockiego. Brama była tym razem na w pół otwarta i nigdzie stróża.

— Łotr, umyślnie urządził szykanę — ozwał się jeden.

Wentzel zatrzymał jakiegoś parobka.

— Gdzie wasz pan?

— W domu. Słyszają panowie? Strzela.

Istotnie rozlegał się głośny huk w miarowych odstępach czasu.

— Powiedz panu, oto masz moją kartkę, że ten pan chce się z nim widzieć.

Chłop wziął bilet i poszedł. Młodzi ludzie zsiadli z koni i weszli na ganek.

W tejże chwili stary sługa otworzył im drzwi i uklonił się.

— Pan prosi do siebie.

Weszli do pokoju dziwnie przystrojonego. Całe ściany obite były kartami, na których zamiast znaków świeciły dziurki od kul. Na drzwiach podobnie strzałami wypisany był rok i dwie daty, kilka obrazów po ścianach miało na sobie arabeski ołowiem kreślone. Zaduch prochu panował nieznośny. Głębocki stał u okna bez surduta, oczerniony sadzą, ohydny. Brodę zahodował<sup>328</sup> po pas, włosy zapuścił jak mnich, wychudł jak trzaska. Nie zważając na gości, nabijał pistolet.

Po minucie oczekiwania Wentzel wystąpił naprzód.

— Czy mogę prosić pana o chwilkę uwagi? — spytał.

Głębocki się obejrzał.

— Uważam — odparł.

— Przyjechałem tu spytać pana: z jakiego powodu strzelałeś pan dziś rano do mnie? Byłem bezbronny i mogłem odpowiedzieć panu tylko... biczem.

— Ja wcale do pana nie strzelałem, ale do gołębia. A że pan mi wlał pod strzał, to nie moja wina. Wolność Tomku w swoim domku.

— Ach, tak! Nie strzelał pan do mnie... Przyjmuję tłumaczenie za słuszne. Zrobię tylko panu jedną jeszcze uwagę: że człowiek dobrze wychowany i przy zdrowych zmysłach nie strzela na swoim dziedzińcu w chwili, gdy przejeżdża osoba starsza i szanowana. Są to obyczaje nieprzyjęte w Europie.

Głębocki stanął frontem, pistolet trzymał w ręku.

— Połóż pan broń na stole — rzekł zimno Wentzel.

— Gdzie jest czterech na jednego, tam broń powinna być blisko.

Wszyscy poruszyli się z oburzeniem.

— Cóż to! Masz pan nas za zbójów? — zawołał Stefan porywczo.

— Kto z kim przestaje, takim się staje. Wstyd wam kolegować z podłym Szwabem, z pruskim szpiegiem!...

Nie dokończył. Rękawiczka Wentzla uderzyła go po twarzy. Zaryczał, podniósł pistolet i wystrzelił. Kula świsnęła koło ucha hrabiego, zerwała mu trochę włosów i ogłuszyła zupełnie. Croy-Dülmen pierwszy oprzytomniał.

— Dwa razy strzelałeś pan do bezbronnego; może i o tym znajdziesz jakie przysłowie.

— I owszem! — zaśmiał się dziko Głębocki. — Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Każ pan sobie zawczasu dół wykopać!

— Nie omieszkać z rady skorzystać. Czekam pana sekundantów, bo wojować obelgami nie zwykłem. Chodźmy, panowie!

Wyszli bez pożegnania. Gdy wsiadali na koń, słyszeli znowu raz po raz huk strzałów. Były to grzmoty przed burzą.

### XIII

W Mariampolu raczej spodziewano się widoku Antychrysta niż Jana nazajutrz po ślubie. Pani Tekla, zajęta z ogrodnikiem około owych róż, tak doszczętnie zniszczonych przez „Bohatera”, aż oniemiała z podziwu, widząc przed sobą wychowanka konno na wierzchowcu zlanym potem i pianą.

— Co się stało? — zawołała wreszcie.

— Nie ma tu Wentzla? — zawołał zdyszany.

— Nie ma! Skądże ma być! Pewnie w Strudze.

— Jadę ze Strugi właśnie. Nie zastałem! A gdzie Jadzia?

— Czyś oszalał? Co się stało, pytam, że latasz konno od świtu zamiast z żoną siedzieć?

<sup>328</sup>zahodować — dziś raczej: wyhodować. [przypis edytorski]



— Alboż mi ten Wentzel da chwilę spokoju! Cesia mnie sama wyprawiła... może się da uratować...

— Co uratować?

— Życie Wentzla! — odparł zdławionym głosem i zeskoczył z konia, spostrzegając Jadzię na ganku.

Pani Tekla zatrzymała go za rękę.

— Cóż się stało z Waciem? Mów porządnie! — ozwała się, jak zwykle w chwilach ważnych, zupełnie serio i spokojnie.

— Pojedyнкуje się z Głębockim.

Jadzia podeszła do rozmawiających i słuchała.

— Było to tak — mówił Jan odsapnąwszy. — Wczoraj podobno była awantura, gdy Wentzel z babcią jechał do kościoła. Była to zaczepka, szykana. Po ślubie, gdyśmy się rozjechali, Wentzel wziął trzech świadków i ruszył do tego szaleńca. Stefan dowodzi, że hrabia był trochę podchmielony. Przyjechali, wpuszczono ich do domu. Głębocki strzelał do kart na ścianach. Wentzel go pyta, czemu strzelał do niego. Ten na to: „Wolność Tomku w swoim domku”. Wentzel mu tedy rzekł: „że trzeba być wariatem lub dzikim, żeby palić do gołębi wobec starej osoby, tuż nad jej głową”. Tamten do niego się rzucił, pistolet trzymał w ręku. „Połóż pan broń!” — mówi hrabia. „Broń potrzebna, gdzie jest czterech na jednego” — tamten odpowiada. Stefan się oburzył i reszta, a Głębocki mówi drugie przysłowie: „Kto z kim przestaje, takim się staje” i nazywa Wentzla Szwabem i pruskim szpiegiem! Wentzel mu rękawiczkę rzucił w twarz, a Głębocki palnął mu w łeb!

— Jezusie — szepnęła pani Tekla.

W Jadzi licach nie było kropli krwi, ale milczała. Jan trząsł się z wściekłości.

— Chybił, szczęściem — ciągnął dalej, ocierając pot z czoła — no i mają się bić z sobą. Stefan wpadł do mnie z tą wieścią, strwożył na śmierć Cesię. Oboje lubią bardzo hrabiego... W prośby do mnie, może się uda jako sprawę załagodzić. Wentzel zakazał mnie wtajemniczać i gdzieś się schował. Myślałem, że go tu znaję. Może mi panie dopomogą do pogodzenia ich. Hrabia był, mówią, nietrzeźwy...

— Więc cóż z tego! — zaczęła Jadzia powoli. — Wedle twej opowieści, hrabia, choć pijany, zachował się zupełnie stosownie: dopiero na obelgę odpowiedział obelgą.

— Cóż tam obelga znowu! Szwab... Babunia tysiąc razy go tak nazywała.

— Kiedy nim był — wmieszała się staruszka. — Teraz nigdy bym się nie ośmieliła użyć tego słowa. Wiesz dobrze, i on to już czuje, jak obraźliwą jest ta nazwa tu u nas. Cenię go od dziś jeszcze wyżej.

— No, kiedy tak, to go niedługo będziemy cenić. Z rąk Głębockiego żyw nie wyjdzie!

— Co Bóg da! — rzekła uroczyście staruszka. — Ja go nie mogę uczyć podłości. Niech broni honoru! To słuszne!

— A ty, Jadziu, tak samo myślisz? — spróbował Jan ostatniej apelacji.

— Myślę, że i ty byś nie zniósł nazwy pruskiego szpiega! Zgoda byłaby tylko możliwa w razie przeprosin pana Głębockiego.

Chrząstkowski ręką machnął.

— Zatem Wentzel zgubiony! Ach, Jadziu, Jadziu! — zaczął i urwał.

— Zgubiony jest ten, kto nie ma honoru i zasad — rzekła smutnie pani Tekla i odeszła powoli ku domowi.

Jan wsiadł na koń, podał rękę siostrze.

— Muszę go jednak odnaleźć! — westchnął. — Może ci go przysłać? Szkoda mi was okropnie.

— Kiedy pojedynek? — spytała.

— Nie wiem jeszcze. Ach, Boże wielki! Na czym to wisi żywot ludzki! Biedne chłopczysko, taki był wesół wczoraj. Ej, Jadziu, czemu ty nie zapłaczesz?

— Żebym mogła! — wyszeptwała.

— Może ci Cesię przywieźć na pociechę?

— Nie, Jasiu. Dziękuję ci!

Chrząstkowskiego dławily lzy. Zawrócił konia, ręką jej skinął i pojechał.

Wentzla nigdzie nie znalazł i Stefana nie można było spotkać. Obydwaj skryli się widocznie przed rodziną. Wolicki i Jasieniecki nie chcieli nic powiedzieć. Pojedynek miał

Pojedynek, Honor,  
Niemiec, Polak, Zdrada

się odbyć w największej tajemnicy. Dali na to hrabiemu słowo honoru. Był zgubiony ostatecznie na opinii.

Cały dzień zmarnowawszy na próżno, Jan pod wieczór wrócił do Olszanki. Nie czuł się na siłach dłużej pozostać z dala od Cesi — i po godzinie rozkosznego, pierwszego sam na sam z ukochaną, zapomniał o bożym świecie.

Tylko w Mariampolu czuwano i myślano o biednym Szwabie. Pani Tekla modliła się noc całą, wzywała łaski bożej na swą siwą głowę. Jednego jego miała tylko — czy i on ją opuści? Pójdzie do tamtych, do matki, do dziada — ona sama zostanie! Była to straszna noc.

Raniutko kazała zaprzęgać konie i poszła do Jadzi. Zgarbiła się, zestarzała o lat dziesięć.

— Pojadę na mszę — rzekła. — Jeżeli on się zjawi, to bądź dla niego dobra i ode mnie pożegnaj. Jeżeli będzie mógł, niech zaczeka mego powrotu.

— Powiem — odparła Jadzia całując ją w rękę.

Powóz zaturkotał — została sama. Po bezsennej nocy czuła się słaba i zdenerwowana okropnie; bolały ją oczy i głowa, w pokoju brakło płucm powietrza. Zeszła do ogrodu, daleko, aż w cieniu dzikiego parku, co się ciągnął między polami. Niski płot oddzielał go od łąków; oparła się wreszcie zmęczona o tę zagrodę i, zapatrzwszy się w falujące morze kłosów, dumiała.

Było to przeczucie, co ją zawiodło w to miejsce?

Ścieżką pod płotem zbliżał się jeździec na pysznym karym arabie. Dwór chciał ominąć, widocznie, i jakby się wahał i pasował z tą chęcią. Czasami ręka mu drżała na cuglach do zwrotu i hamował się. Głowę miał zwieszoną, ponurą zawziętość w twarzy.

O krok był od Jadzi, gdy się spostrzegli.

Smutek jego pierzchnął jak czarem — zeskoczył na ziemię, cugle zarzucił na gałąź i stanął naprzeciw niej, wyciągając z powitaniem rękę.

— Śliczny ranek, nieprawdaż? — rzekł swobodnie.

Popatrzyła nań z wyrzutem.

— Pan jedzie na pojedynek? — spytała

— Tak, pani — spojrział na zegarek. — Mam jeszcze pięć kwadransów czasu. Wyjechałem za wcześnie. Czy babka w domu?

— Wyjechała do kościoła.

— To dobrze. Wolę jej nie widzieć i nie żegnać — szepnął do siebie, przesuwając ręką po czole.

— Czy i przed Janem ukrył się pan dla tegoż powodu?

— Naturalnie. To wcale nie poślubny temat. Co ma sobie mącić spokój i szczęście.

— Tajemnica nie oszczędzi zgryzoty. Ja bym na miejscu Jasia miała żal do pana za usunięcie w takiej chwili.

Zamilkł i spuścił oczy. Pozorna obojętność była bardzo trudna do zachowania wobec niej.

Byli tak blisko siebie — a on tak blisko śmierci. Czuł w sobie odwagę skazańca.

— Jaś daruje — ozwał się. — Ot, nie wiem, co mi jest dzisiaj. Odbyłem tyle pojedyneków, nie czując nic podobnego. Ciekawym, czy to instynkt śmierci.

Jadzia zadrżała nerwowo. W oczach jej zamigotała jakby wściekłość.

— Jedź pan sobie stąd! — zawołała zmienionym głosem, odstępując o krok.

— Pani każe, pojadę! Czym obraził, broń Boże?

— Ach! — wyszło rozpaczliwie z jej ust.

Oparła się znowu o płot i ukryła twarz w dłonie.

— Co pani? — spytał cicho.

Długo nie było odpowiedzi. Śliczny letni ranek roztaczał wokół nich przepych barw, tonów i woni. Świat wołał ich do życia, do wesela, do kochania, a oni patrzyli w grób.

Nagle dziewczyna wyprostowała się żywo. Oczy miała pełne łez i bezbrzeżny smutek na twarzy. Spojrzała na niego rozpacznie<sup>329</sup>.

— Czy pan nic i nikogo nie żałuje na świecie? — zawołała. — Czy panu umierać nie żal? Nic pan nie traci? Och! To pan szczęśliwy!

<sup>329</sup>rozpacznie — dziś: rozpaczliwie. [przypis edytorski]

— Czegóż mam żalować?! — odparł pośepnie. — Dawne uciechy i stosunki minęły, a terazniejsze... Czy mnie pani pożałuje?... — spytał nagle.

— Idź pan już! Nie dręcz tymi pytaniami! — wybuchnęła.

Zbliżył się do niej.

— Proszę mi dać rączkę — poprosił.

Podawała mu obie.

— Jeśli żyw wrócę, one moje! — szepnął.

— Jeśli pan nie wróci, to będą niczyje! — odparła.

Zdjął z jej palca pierścioneł i swój wsunął na to miejsce. Milczeli oboje. Za wiele uczuć szarpało im dusze.

Nie wiadomo, kiedy znalazła się w jego objęciu, ale nie bronila się wcale, tylko usta uchylała od jego ust, kryjąc twarzyczkę na piersi. Płakała cicho.

— Czy lubisz mnie, ukochana? — spytał z cicha.

Wzdrygnęła się przed tym wyznaniem, ale zadała sobie gwałt niesłychany i odparła niewyraźnie:

— Bodajem tylko lubiła<sup>330</sup>!

— Więc kochasz?

— I po co panu słowa... i teraz... — szepnęła.

Przycisnął ją do piersi i po chwili zaczął:

— Czy pamiętasz dzień naszego poznania w Berlinie i twoją obietnicę? Pocałuj mnie teraz. Wygrałem!

— Na co? — bronila się żałośnie. — Idź pan już! Serce mi pęknie!

— Pójdę już, pójdę! Spełnij tylko mą ostatnią prośbę, ukochana! Może już się więcej nie zobaczymy.

Prosił tak serdecznie, że mu odmówić nie mogła. Podawała mu do pocałunku swe dumne, milczące usta — i ucałował je, oszalały szczęściem, powtarzając jej imię.

Szarpnęła mu się gwałtownie.

— Ach, idź pan już, idź! — powtarzała rozpacznie.

— Idę! O, już wielki czas! Spotkanie nasze w lasku, zwanym Młynarka. Jeśli chcesz, jedyna, to Jasiowi daj wiedzie<sup>331</sup>. Jeśli żyw wyjdę, będę tu za dwie godziny; jeśli nie, to...

Nie dokończył: żał go chwycił i rozpacz; jeszcze raz wrócił do niej, trzymając „Bohatera” za uźdę — u kolan jej przyklęknął.

— Jadziu, mój skarbie! — prosił — nie odstęp babki, jeżeli... Ach, może cię widzę raz ostatni! Och, ja nieszczęśliwy!

Porwał się, skoczył na konia, dał ostrogę. „Bohater” pognął na oślep — wszystko znikło sprzed oczu Jadzi. Została sama...

Tylko na ręku migotał brylant hrabiego, a usta drżały pierwszym pocałunkiem, a serce biło, rozsadało piersi.

A tymczasem na placu boju już dawno czekano na hrabiego. Czekal też i Jan, który wpadł na koncept śledzenia Głębockiego i w ten sposób trafił na miejsce zebrania.

Wszyscy w milczeniu palili cygara, od czasu do czasu spoglądając to na słońce, to na zegarki. Głębocki coś wspominał o tchórzostwie i zdradzie. Jan i Stefan kipieli złością.

Nareszcie tętent się rozległ i wpadł hrabia zmęczony na spienionym „Bohaterze”.

— Boże miłosierny! Konno na pojedynek! — krzyknął Jan, załamując ręce.

Wentzel zeskoczył i uściśnął serdecznie przyjaciela. Otoczyli go wszyscy: sekundanci, doktor — i Urban wylał jak spod ziemi na rozkazy.

— Możemy zaczynać — zawołał Głębocki. — Ja nie mam czasu! Już dziesięć minut po oznaczonej godzinie!

Uśmiech szczęścia drgnął na twarzy hrabiego — wierzył teraz w swoją gwiazdę, myślał teraz o Jadzi.

— Wyznaczcie metę, panowie! — zawołał. — Jestem gotów!

Sekundanci odeszli, a on Jana objął za szyję i ścisnął jak szalony.

— Moja Jadzia, moja Jadzia! — wołał zdławionym głosem. — Zwyciężyłem, Jasiu!

Chrzątkowski milczał, rękami strzepnął.

<sup>330</sup>bodajem tylko lubiła — skrócone: bodaj żebym tylko lubiła. [przypis edytorski]

<sup>331</sup>daj wiedzieć — dziś popr.: daj znać; zawiadom. [przypis edytorski]

— Owdowieje ona prędko, biedna! — wymówił ponuro.  
 I jakby w odpowiedzi na to smutne proroctwo rozległ się głos Stefana:  
 — A zatem na dwadzieścia kroków. Do pierwszej krwi.  
 — Nie, do ostatniej krwi! — poprawił Głębocki.  
 — Zgoda, hrabio? — spytał Stefan wzdrygając się.  
 — Zgoda! — odparł stanowczo Wentzel, postępując na oznaczoną metę.  
 Zwrócił się jeszcze do przyjaciela.  
 — Pożegnasz ją, jeśli zginę — szepnął.  
 Jan nie mógł mówić — głową skinął.  
 Sekundanci zmienili pistolety, hrabia swój spuścił — czekając strzału.  
 Była minuta strasznej ciszy.  
 Na wysokość serca Wentzla podniosła się błyszcząca lufa. On patrzył ponad głowy, w górę — zdawało mu się, że jeszcze czuje główkę ukochanej na ramieniu, na ustach jej koralowe wargi. Głębocki spuścił cyngiel.  
 — Piston<sup>332</sup> nie spalił! — zawołano wkoło z uczuciem niezmiernej ulgi. Wentzel ocknął się z zadumy.  
 — Jeśli nie spalił, to załóż pan nowy! — krzyknął.  
 — Co ty gadasz! — upomniał Jan przerażony.  
 — Nic. Tak się należy!  
 Głębocki podniósł drugi raz broń — i drugi raz zawiódł piston.  
 Zaczął kłąć i posądzać o oszukaństwo.  
 Hrabia znowu powtórzył:  
 — Weź pan jeszcze jeden! Do trzech razy sztuka!  
 — Wentzel! To mord taki pojedynek! — lamentował Jan.  
 Głębocki zaczął mierzyć raz trzeci. Strzał padł; hrabia jęknął, chwycił się za bok i runął na wznak — krew buchnęła strumieniem.  
 Rzucili się wszyscy do niego. Żył jeszcze; gdy Jan się pochylił do twarzy, wyszeptał niewyraźnie: „Do Mariampola” — i stracił przytomność...

## XIV

W malutkim saloniku panny Doroty von Eschenbach odnajdujemy szanowną ciotkę w pewien wieczór zimowy, zajętą, jak zwykle, jakimś złocistym kościelnym haftem.

W pokoju było ciepło, zacisznie, na ulicy dzwoniły sanie i rozlegały się tony skocznej, karnawałowej muzyki, haft wyglądał świetnie; nic pozornie nie brakło do szczęścia panny Doroty; a jednak co parę minut podnosiła nos nad robotę, spoglądała naprzeciw i wdychała.

Naprzeciw zaś, z książką w ręku, siedział jej dawny jawnogrzesznik, tak zatopiony w czytaniu, że nie uważał<sup>333</sup> owych spojrzeń rozpacznych, nie słyszał westchnień.

Co się z nim stało? Ciotca Dora dotąd nie mogła przyjść do siebie. Gdzie się podziały owe szalone czasy jego hulanki, gdy o podobny wieczór w domu błagała Boga jak o cud? Gdzie znikły dawne koncepty, swawola, pustota, które ją tak gorszyły?

Oto od tygodnia miała go tak co dzień naprzeciw, pochylonego nad książką; cały dzień pracował w biurze, ani jednego dnia nie obiadował w restauracji, nie uraził jej jednym słowem — a jednak ciotca Dora wdychała.

Wdychała, patrząc na jego mizerną, schorowaną twarz, na której wyrzeźbił się rys poważnej, surowej stałości i woli, obok dziwnie łagodnego uśmiechu milczących ust; wdychała na widok łacińskich liter czytanej książki; a ilekroć przerzucił kartkę, wdychała na blask diamentu w obcym pierścionku na palcu swego chłopaka.

Ach, nie był to już chłopak!

Tu panna Dorota, zamiast westchnienia, wydała z siebie prawie jęk tak przejmujący, że Wentzel drgnął nerwowo i podniósł wzrok na nią.

— Co to, ciotciu? — zagadnął.

<sup>332</sup>piston — część ładunku, w którą uderza iglica, wywołując zapłon i wystrzał w daw. broni pistonowej. [przypis edytorski]

<sup>333</sup>uważać — tu: zauważać, spostrzegać. [przypis edytorski]

— Nic, nic. Tak sobie. Myślałam, że ty bardzo źle robisz, zwlekając swój wyjazd do Włoch. Mizerniejesz w oczach i kaszel nie ustaje.

— Za tydzień wyjedziemy — odparł — jeśli już kto wierzy, że mi trzeba Włoch, by wyzdrowieć.

— Wszyscy to mówią. Doktor Voss...

— Niech mi go ciocia nie wspomina. Staje mi w pamięci scena wyjmowania kuli! Co ten rzeźnik wyprawiał ze mną! Brrr!

— Jednak wydobył. Wierz mi, on ma rację: jedź jutro do Włoch.

— Jutro, jakem to cioci już dawno oznajmił, jadę do narzeczonej. Przez tydzień, który mi pozostaje do ślubu, nie mogę odbyć klimatycznej kuracji.

— Ślub można odłożyć. Twoje zdrowie ważniejsze.

Wentzel podniósł oczy i popatrzył na mówiącą jak na obląkaną, potem zmarszczył surowo brwi.

— Czy ciocia była dziś w kościele? — spytał

— A jakże. Podczas karnawału słucham co dzień nabożeństwa. Ludzie tyle grzeszą!

— Otóż zaproponuję cioci: proszę przestać bywać w kościele...

— Jak to? Ja przestać... — nie mogła dokończyć.

— Tak, ciociu, ja w zamian odłożę swe małżeństwo.

— Brednie! Mieszać nabożeństwo z takimi rzeczami!

— Jak to z takimi rzeczami?... Zdaje mi się, że to sakrament, ciociu! Oj, oj, wietrzeją cioci zasady!

— No tak, sakrament, ale taki... z mniejszych.

— Nie uczono mnie miary w sakramentach. Kiedyś ciocia przedstawiała mi ten właśnie jako dla mnie najpotrzebniejszy...

— Dawniej! To co innego! Byłeś zdrow, młody, przystojny, miałeś karierę przed sobą! Ba, ba, byłbyś wysoko, żebyś mnie słuchał. At, wszystko przepadło!

— Bardzo nad tym cierpię — potwierdził ironicznie, zakładając ręce i opierając się wygodnie w fotelu. — Chory, stary, brzydki, bez przyszłości. No, no! W takim dziurawym garnku siedzi moja dusza!

— Ty zawsze mnie zbywasz drwinkami...

— Tak, niestety! Był to mój grzech w owym osławionym okresie młodości, krasny i zdrowia. Obecnie, gdzie mnie stać na koncept!

— Ach Boże! Tyle nieszczęść! W ciągu roku!

— *Primo*: w marcu Azorek zdechl! — podchwycił.

— To mniejsza, choć szkoda psiny! I ty go lubileś...

— Nadzwyczaj! *Secundo*: zarzęli w Chinach wychowańca cioci, ojca Matiasza!

— Biedny męczennik, bohater! — potakiwała.

— Jeśli bohater, to nie biedny — mruknął poważniejąc.

— Mógł jeszcze wiele zdziałać: tyle zdolności!

— *Tertio*: major miał atak apoplektyczny — ciągnął dalej swe wyliczanie.

— Ach, tak! Wzywał ciebie, chciał pożegnać, napisać testament, poruczyć sierotę... a ciebie nie było... Pisałam, nie odpowiadałeś!

— Ciocia doniosła, gdy niebezpieczeństwo minęło. Zresztą, nie czuję w sobie materiału na opiekuna wdów i sierot. Szczęściem, że major zdrowy i wesół, i może mnie przeżyć.

— Co ty wygadujesz! Nie czujesz się lepiej?

— Mniejsza z tym! Wracając do cioci nieszczęść: burza zvaliła kaplicę w Dülmen...

— To fatalny omen — wyrzekła posepnie, trzęsąc lokami — to palec losu!

— Odkądże to ciocia stała się zabobonna? Nie wiem, czy to ma być palec losu, ale to wiem, że trachit nadreński jest to fatalny materiał budowlany i że kaplicę odbuduję z cegły.

— Odbudujesz? — spytała z błyskiem radości. — A mnie mówił Sperling, że zamierzasz opuścić zupełnie rodzinną rezydencję...

— Mieszkać tam nie będziemy, ale to nie racja dać się zamkowi rozpaść w ruiny. Słono mnie ta burza będzie kosztowała...

— Nie żałuj grosza na taki cel...

Uśmiechnął się.

— Moja narzeczona powiedziała mi to samo.

— Doprawdy, powiedziała? Myślałam, że ci każe zrównać z ziemią Dülmen...

— Żeby kazała, toby go dotychczas nie było już na ziemi.

— Okropność! — jęknęła panna Dorota.

— Szczęściem, że ona nie ma wcale niszczących gustów — mówił dalej z błyskiem dumy w oczach. — Szanuje tradycje i wszystko, co stare. Jest to ogólna cecha słowiańskich charakterów.

— Nie znam! — westchnęła ciotka i zwiesiła nos nad haftem.

Był to widocznie temat niemiły.

— Więcej nieszczęść nie było? — uśmiechnął się Wentzel.

Aż podskoczyła na krześle.

— Jak to? A twój wyjazd w te dzikie strony?...

— Mój wyjazd spełnił cioci chęci i pragnienia: ustatkowałem się i żenię. Dogodziłem cioci.

— Nie pytałeś mnie o radę, jak twój ojciec, i jak on skończysz...

— To nie wiadomo, bo wcale nie myślę jak ojciec zaczynać. Żony nie zabiorę z kraju i od rodziny. Znam już tę straszną słowiańską tęsknotę, która zabiła mi matkę...

— Więc sam się dla niej wyrzeczysz<sup>334</sup> ojczyzny, narodowości, mowy, obyczajów, wszystkiego!

— Jeśli ona zechce, naturalnie. Mnie łatwiej to przyjdzie wykonać: jestem silny i przez pół ich swojak.

— Zgubiony jesteś w takim razie! — zaczęła popłakiwać panna Dora, doprowadzona do desperacji jego stanowczością i gotową decyzją.

— Ani rusz nie mogę zguby swej dojrzeć ani zrozumieć — odparł kręcąc wąsiki.

— Boś oślepl od ich czarów! Może to nie zguba zerwanie z całym światem stosunków?

— Co ciocia nazywa całym światem? Hrabinię Aurorę?

— Ach, fe! Wstydz się!

— Baronową Lizę?

— Słuchać nie mogę tej bezczelności. Ja mówię o panach, o restauracji...

— Jutro stu panów jedzie ze mną do Strugi na wesele. To dosyć jak dla mnie.

— Błazny, urwisze, hulaki! Ja mówię o poważnych ludziach.

— Nie mogę wymagać, by mi składali czołobitność dygnitarze i ministrowie. Jestem na te hołdy za młody i kawaler. Zresztą na tyle stosunków, ile ich ciocia wymaga, trzeba mieć czas i siedzieć w stolicy; ja zaś mam obowiązki rolniczo-przemysłowe, przeważnie wiejskie. Zresztą moja narzeczona nie cierpi pustej salonowej gawędy, powierzchownych stosunków, fałszu i próżności naszego wielkiego świata i pewnie w Berlinie nie będzie długo popasać. Po cóż mam sobie zadawać daremną fatygę?

— I ona ci zabroniła zostać posłem w Radzie! Cała opinia jest przeciwko tobie. Mają cię za złego patriotę!

— Moja ciociu, waszą wolą jest, bym jechał do Włoch. Jakże mogę posłować równocześnie? To już kompletnie niemożliwe. Zresztą, nie czuję się na siłach dobrze odpowiedzieć położonemu we mnie zaufaniu. Jestem zbyt jeszcze osłabiony i zbyt sobą zajęty. A przy tym nie chciałem robić przykrości majorowi. On się starał o tę godność. Miałbym na sumieniu drugi atak apoplektyczny! Niech szczęśliwie ujada się z kanclerzem...

— Major! Czy nie wiesz, że on jest wielbicielem twego geniuszu?

— Doprawdy? No, ja bym był jego zajadłym przeciwnikiem.

— *O, Herr Je!* Croy-Dülmen jest socjalista! Czego ja dożyłam. Żeby moi przodkowie wstali z grobu!

— A którzy, ciociu! Po ojcu, czy po matce?

Panna Dora poruszyła się niecierpliwie. Dobijał ją powagą i flegmą. Westchnęła tylko.

— Słyszałam od majora, żeś prosił o uwolnienie twego mordercy.

— Prosiłem i otrzymałem, ale ten nieszczęśliwy nie przyjął łaski ode mnie. Podobało mu się w Magdeburgu widocznie. Może co jeszcze o mnie mówił major?

<sup>334</sup>wyrzeczysz — dziś: wyrzekniesz. [przypis edytorski]

— Mówił, żeś pozbawił chleba kilkudziesiąt rodzin po twych dobrach. Biedacy, siedzą na bruku!

— Biedacy, siedzą na talarach kradzionych. Nie rozumiem, skąd się w tej naszej notliwej Germanii bierze tylu szubieniczników!

— Intrygi, plotki, kabały. Ofiary twego zaślepienia!

— Czy i to zdanie majora? Czy nie myśli ustanowić nade mną opieki obywatelskiej jak nad idiotą? Radziłbym staremu pilnować lepiej córki niż mnie i posłuchać trochę, co mówią o niej.

— O Milci? To nikczemna kalumnia! To wzór porządnej dziewczyny. Bywa co dzień u mnie, odkąd z ojcem zamieszkali w stolicy.

Zamilkła, niby obrażona; ale po chwili, widząc, że Wentzel sięga po książkę, spytała:

— Cóż wymyślają na nią? Twoim obowiązkiem jest ująć się za niewinną albo ostrzec.

— Moim obowiązkiem jest nie dbać o cały ród kobiecy, co też i czynię. Nie mam prawa ujmować się za panną Koop ani tym mniej ją ostrzegać. *Meinetwegen*<sup>335</sup>!

— Tak jej płacisz za wielkie uczucie!

— Nie znam się na podobnych uczuciach. Wiem zresztą, że się pocieszyła.

— Co wiesz, powiedz! Bądź uczciwy.

— Wiem, ciociu, że jest późno i czas spać. Zatem stanowczo ciocia i major nie będą na moim ślubie?

— Nie. Major zajęty, a ja...

— A ciocia haftuje. Czy to stuła znowu? Proszę ją śpiesznie dokończyć dla swej faworyty.

— Dałby to Bóg! — westchnęła, zaciskając usta.

Uklonił się i wyszedł. Za drzwiami spokój znikł mu z twarzy, przez oczy przeszła błyskawica wściekłości.

— Bodaj was piekło pochłonęło, podle Szwaby! — zamruczał idąc do siebie. — Niech przepada wasza głupia pycha i fałszywa pobożność, i wasza mowa, i obyczaje. Ja już nie wasz, chwala Bogu, i szczęśliwy. Mam swoją wiarę i kochanie, i kraj, i rodzinę! Ach, żebyż już jechać do swoich!

Rzucił się na fotel w gabinecie i odetchnął.

Po chwili zadzwonił i, nie oglądając się, spytał:

— Czy Urban wrócił?

— Jestem! — odparł on sam.

— Byłeś w Mariampolu? — zagadnął Wentzel, promieniejąc na widok kogoś, co wracał z jego raj.

— Byłem, jasny panie.

— Zdrowi wszyscy? Masz listy?

— Zdrowi. Jasna pani kazała powiedzieć, że gotowe wszystko i czeka pana hrabiego. Jasna panienska dała list. Młody pan...

— Gdzież list, ośle? — przerwał hrabia.

Lokaj podał złożoną tacę, a na niej elegancki bilecik. Ręka hrabiego drżała jak w febrze. Schował list na sercu i pytał dalej:

— Rozporządziłeś na jutro konie, ludzi, zaprzęgi?

— Dałem rozkaz rządcy. Młody pan...

Sądzone było, że polecenie Jana nie zostanie wymówione. Wentzel znowu przerwał:

— Zamówisz jutro ekstra pociąg w zarządzie kolei. Możesz iść tymczasem. Konie jutro od rana. Marsz!

Urban zniknął jak widmo. Młody człowiek otworzył pachnący bilecik i czytał z bijącym sercem:

„Za wiele złota i klejnotów. Wzdrygam się przed tą kaskadą pereł, oczy bolą od blasku brylantów i strach mnie bierze przed tym bogactwem i przepychem! Nie dziękuję za nie, ale dziękuję za list. Tamto było dla przyszłej hrabiny Croy-Dülmen — światowe kajdany, a karta dla mnie samej — serdeczna pamiątka. Do zobaczenia pojutrze...”.

I nic więcej! Dawne kochanki Wentzla były łaskawsze: szafowały bez miary frazesami miłosnymi, zapępniały całe foliały zapewnieniami dozgonnego uczucia, a jednak on ich

<sup>335</sup>*meinetwegen* (niem.) — dosł. ze względu na mnie; nawet, jednakże; tu: a niech tam. [przypis edytorski]

listów nie całował jak ten krótki, chłodny bilecik — nie chował na sercu, nie marzył po odczytaniu — jak teraz.

— Sen go nie brał. Zapalił cygaro i zatopił się w myślach. Rozmowa z ciotką przyszła mu na pamięć i całe to półrocze, od owej chwili cudnej u płotu w Mariampolu aż dotąd.

Był to okres największego szczęścia i najcięższych utrapień, ostateczny zwrotny punkt w życiu.

Ciotka Dora miała słuszość: dla Wentzla Croy-Dülmen nie było już świetnej kariery w Prusach: był wrogiem niemieckiej polityki, dążeń, kultury, przeszedł duszą i ciałem pod sztandar obcego ludu w biednej, skrzywdzonej prowincji. Rzucił wszystko bez żalu i wahania dla jednej dziewczyny i jednej starej kobiety. I one dwie zostały mu z rodziny. Niemiecka arystokracja usunęła się zgorszona, zawiedziona w wielkich nadziejach i planach na zdolnym milionerze. Usunęli się najbliżsi: ciotka i dawny opiekun, przyjaciel ojca, major. Znosił jawną niechęć i zobojętnienie ze stoickim spokojem. Uwagi zbywał stanowczym słowem. Czuć było, że z drogi obranej nie cofnie się nigdy.

Pamiętał ów moment przełomu. Był jeszcze trochę słaby po śmiertelnej chorobie od kuli Głębockiego, pieszczono go w Mariampolu.

Pewnego dnia byli we dwoje z Jadzią pod werandą ogrodową. Ona mu czytała głośno, a on niby słuchał, rozkochany, szczęśliwy, wpatrzony w nią.

Nagle przerwał zapytaniem:

— Czy ty byś mnie mogła zapomnieć, Jadziu?

Spojrzała nań przejmująco, uśmiechnęła się smutnie.

— Zapomnieć, nie! — odparła.

— A kochać byś mogła przestać? — badał dalej.

— Kochać, zapewne!

— Kiedy, jedyna?

— Jakby mnie pan skrzywdził.

— Ciebie, ja? To niepodobna!

— Bo pan nie rozumie, co myślę.

— To wytłumacz, żebym się mógł ustrzec!

Potrząsnęła głową.

— Tęgo uczyć nie trzeba. W danej chwili pan to sam uczuje. Jeżeli nie, to panu moja miłość wtedy nie będzie potrzebna. Nie będzie pan mnie już kochał.

— Jadziu! Nie wierzysz mi?

— Owszem, wierzę i dlatego się nie boję.

Oczy jej strzeliły iskrami zapału i dumy, potem złagodniały spotkawszy jego spojrzenie, i roztopiły się w bezbrzeżne uczucie. Oczy te on zawsze widział przed sobą na jawie i we śnie; panowały nad jego duszą.

Bezwiednie prawie osunął się do jej nóg i, całując jej ręce, coś szeptał niewyraźnie, urywanie, od czego płonila się lekko, wstrząsając przecząco głową i usuwając się od pieszczot.

W tej chwili otworzyły się drzwi i ukazała się pani Tekla z Janem, niosąc jakąś flaszeczkę z miksturą dla rekonwalescenta. Jan dźwigał za nią butelkę stuletniego węgrzyna. Chory tymczasem wcale nie wyglądał lekarstw i wzmacniających trunków. Miał ochotę żyć całą piersią, był już zdrow i pełen młodości.

Na widok wchodzących nie mieszała się wcale, nie mieli nic na sumieniu — nie lękali się oczu babki i brata, i Wentzel znajdował, że był na swoim właściwym miejscu u nóg ukochanej.

Jan uśmiechnął się przyjaźnie. Staruszka zasępiła się — spojrzała na wnuka z goryczą.

Wiedziała już o ich miłości, ale milczała. Czyż był czas gniewać się i opierać, gdy on miesiąc borykał się ze śmiercią, gdy co dzień czekali końca? Teraz niebezpieczeństwo minęło — czuła się w obowiązku krytyki. Milcząc, dała wnukowi łyżkę mikstury i usiadła naprzeciw nich.

— Dziękuję, babuniu — rzekł — okropnie gorzkie! Może już dość tej trucizny. Zdrow jestem!

— Uważam. Cóż myślisz robić dalej?

— Co babunia i Jadzia zechcą — odparł, patrząc w jej stare oczy całym sercem.

— A cóż Jadzia chce? — spytała pośpiesznie.



— Aj, babciu — wmieszał się Jan — jakby to jeszcze trzeba pytać... i to... tego mruka. Od niej i Wacław nic się porządnie nie dowie. Proszę ich pobłogosławić i kazać szyć wyprawę.

— Byłeś i zostaniesz lekkomyślny! — upomniała surowo. — Tu, w tym domu takie małżeństwo źle błogosławić. Błogosławiłam już jednej na zgubę, na poniewierkę, na śmierć. Czy i drugiej mam na to samo błogosławić?

Wentzel wstał — poczerwieniał jak żar.

— Dwa lata przeżyłem z wami. Com złego zrobił? Powiedźcie. Za co mi obelgą i krzywdą babka płaci? Jeśli zasłużył, wypędźcie... pójdę; ale jeśli niewinny, to po co mnie ranić? Nie kradłem serca, zapracowałem je sobie ciężko; nie oszukiwałem babki, a jeśli kiedy zrobił przykrość, przeprosiłem. Jednej złej myśli nie miałem względem was i za co babka tak mówi jej o mnie?... To ja, wasza krew...

— Rodzona krew tamtego — zamruczała ponuro.

Wentzel zadrżał cały i stłumionym głosem odparł, spuszczać oczy:

— Tamten popełnił kryminal i krzywdę.

Zamilkł. Rozmowa z Jadzią stanęła mu w myśli — zrozumiał, jak ją mógł skrzywdzić.

Jan tymczasem kręcił się na krześle. Z introdukcji wnosił, że się odbędzie scena familijna, dla nikogo niemiła, a dla Wentzla arcynieprzyjemna. Wmieszał się znowu do rozmowy łagodząco.

— Najlepiej zrobi babcia, jak się podda losowi — rzekł. — Ja Wacławowi wierzę jak bratu, on nasz sercem i duszą. Da sobie Jadzia z nim radę!...

— A jeśli nie da? — rzekła pani Tekla. — Jeśli za parę lat szal jego minie, a obudzi się krew ojcowska, niemiecka, samolubna, despotyczna, zawzięta?... Ty sam pierwszy żal uczujesz do mnie za krzywdę siostry i pomyślisz, żem poświęciła ją Niemcowi dlatego, że los zrządził być mu moim wnukiem.

— A to by dopiero była szczególna pretensja! Cóż babunia winna, że i tych dwoje się pokochało, a ja dopomogłem? Czy babcia wołała Głębockiego?

— A mnie co babka ma do zarzucenia? — przerwał hrabia. — Czemu mi bronicie serca, domu, rodziny? Sierotą jestem... wyrwaliście mnie stamtąd, a nie przyjmujecie tutaj. Gdzież pójdę? Uczyliście mnie myśleć i kochać... zohydziłem dawne życie, a nowego założyć wzbraniacie! Żebym był włóczęgą, więcej doznałbym u was litości, niż że jestem synem waszego dziecka!

Po tej skardze usiadł nachmurzony, pochylił głowę i patrzył w ziemię.

Staruszka zamilkła. „Sierota”! Tak go nazywała matka w snach i takim samym smutnym głosem prosiła o pamięć nad nim, by nie zmarniał. Sumienie, serce, dawna nieufność i wstręt rasowy toczyły walkę w pani Tekli.

Jan spojrzął na hrabiego, wstał i usiadł przy nim.

— Daj mu wina, Jadziu! — szepnął do siostry.

Obejrzała się i podeszła. Z rąk jej wziął kieliszek i wypił w milczeniu. Zatrzymała się chwilę.

— Co panu? Słabo? — spytała serdecznie.

— Spodziewam się! — zawołał Jan. — Wy, kobiety, i Herkulesa doprowadzicie do spazmów! I po co te korowody! Śmiech i złość słuchać! Jakbyś mogła żyć bez niego! Pójdiesz za nim, czy Turek, czy Cygan, i nikt cię nie powstrzyma, choćby tu do pomocy babuni zstąpiła sama twoja patronka.

Zarumieniła się na znak twierdzenia.

— Nie chodzi tu o moją, ale o babki zgodę — odparła. — I nie dziw jej: dość płakała po zawodzie. Ona mnie kocha, a nie wierzy jemu — wskazała wzrokiem narzeczonego.

— Należało ją uspokoić, nie narażać go na podobne sceny. Wpędzicie go znowu w chorobę. Ot, przeprosz za tę hecę melodramatyczną. Człowiek się mieni cały.

Tu Jan złapał ich gorące spojrzenie i dodał:

— Tylko nie wiem, czy to z obrazy na babkę, czy z ochoty do ciebie. Jedno i drugie warte przeprosin.

Wentzel rozchmurzył się zupełnie.

— *Pia desideria*<sup>336</sup>! Tyle łask nie jestem wart. Wspomnij, Jasiu, na swą żonę przed rokiem... i westchnij.

— Niby to pan wzdycha! — mruknęła z wyrzutem. — Szanuję pańskie zdrowie aż nadto.

Jan zerknął na panią Teklę i uśmiechnął się.

— Oto babka sumuje. Ciarki mnie przechodzą. Wspomnisz moje słowo: nie da Jadzi, będziemy ją wykradać.

Hrabia na to prorocstwo oburącz targnął czuprynę.

Panienska spojrzała na zamyśloną staruszkę.

— Biedna! — szepnęła. — Ciężko jej rozstawać się.

— Jak to rozstawać się! — zawołał Wentzel. — Alboż chcesz gdzie wyjeżdżać?

— Ja nie, ale pan może zechcieć, a ja będę musiała słuchać. Są zbójce zamki nad Renem...

— Gdzie mnie chyba gwałtem odstawią!

— Są wielkie kariery militarne i dyplomatyczne dla młodych magnatów w Prusach.

— Nie dla mnie! O, nie! Nie dla malkontenta. Widziałem militarizm na cmentarzu we Fröschweiler, a dyplomację ot tu, na wschodzie. Dość mi na tym nauki i sławy.

— Są świetne parentele i stosunki w Berlinie.

— Ach, Jadziu, Jadziu! — zaczął Wentzel, a Jan podchwycił:

— Otóż i wylazło szydło z worka! Mamy sekret. Siostrunia boi się stosuneków, zabawy... uhm, uhm... hrabiny Aurory na przykład...

— Mylisz się, ja niczego się nie boję — odparła hardo — mówię o babce. Niech hrabia naszą rozmowę powtórzy jej, ja wierzę mu i...

— I kochasz! — dorzucił niepoprawny Jan. — No, powiedz śmiało, dam ci absolicję. Pewnie nigdy tego od ciebie nie słyszał?

— Uchowaj Boże! — uśmiechnął się Croy-Dülmen.

— Pan jednak wie! — mruknęła niewyraźnie.

— Ha, ćwiczysz, najdroższa, w domysłności.

Tu pani Tekla przerwała im rozmowę:

— Jadziu, chodź tu bliżej!

Wezwana podeszła, rumieniąc się.

— Czy ty chcesz iść za niego?

— Oho, wpadła Jadzia! — szepnął Jan do przyjaciela. — Pani Tekla nie zadowolni<sup>337</sup> się, jak ty, domysłami.

— Chcę, babciu — odparła spokojnie dziewczyna.

— Choć cię świat okrzyczy, żeś zdradziła swą narodowość dla pieniędzy i świetnej partii?

— Choćby, babciu.

— A jak cię czeka los jego matki?

Zmarszczyła brwi i rzekła równie spokojnie:

— To umrę jak ona.

Zapanowała minuta milczenia.

— Więc wolisz to nad to, co dotąd kochałaś?

— Nie, umarłabym po stracie kraju i swoich, żeby tak było — odparła posepnie.

— A do mnie żalu mieć nie będziesz potem?

— Nie, babciu! Nic, prócz bezmiernej wdzięczności i przywiązania.

Pochyliła się i przyklękła u kolan opiekunki; tylko nie płakała jak tamta — kiedyś.

— Twoja kolej śledztwa, Wentzel! — zauważył Jan. — No, spraw się gracko!

Ale hrabia nie czekał wezwania. Poskoczył z miejsca, ukląkł obok narzeczonej, przestoczony zapalem.

— Choćby mi tam dawano cesarską koronę, nie odejdę od was, babciu. Zostanę waszym do śmierci. Będę razem cierpieć i pracować. Nie brońcie mi szczęścia, pobłogosławcie. Słowa i wiary nie złamię, na pamięć matki wam przysięgam!

<sup>336</sup>*pia desideria* (łac.) — pobożne życzenie. [przypis edytorski]

<sup>337</sup>*zadowolnić* (daw.) — dziś: zadowolić. [przypis edytorski]

Staruszcze zabrakło głosu. Drżącymi rękami objęła obie głowy i modliła się wśród łez. Była spokojna o wnuka, o wychowankę i o swą starość.

Od tej chwili Wentzel publicznie został przyjęty w grono rodziny, za domowego, za pana Mariampola. Służba nazywała go dziedzicem, Jaś Poznańczykiem, marszałek obywatel, a znajomi sąsiadem.

Pani Tekla, mając się za cudotwórcę, patrzyła z dumą na nawróconego Szwaba, a rzeczywista czarodziejka milczała po swojemu i pozwalała hrabiemu wszystkiego się domyślać.

Bruk berliński i powietrze Brandenburgii stało się wstrętne dla Wentzla. Z rozkazu babki, na miesiąc przed ślubem odbył, jak ciężką pokutę, lustrację dóbr przed podróżą do Włoch.

Mieli zimować nad jeziorem Como, w świeżo nabytym pałacyku: „między Eufratem i Tygrysem” — mawiał Jan mrugając do siostry...

Nazajutrz po rozmowie z panną Dorotą cała młodzież arystokratyczna przeprowadzała koryfeusza do Strugi. Dworzec kolei wrzał toastami, roił się tłumem eleganckich oficerów i cywilnych, rozbrzmiewał conceptami Schöneicha i głośnym śmiechem Herberta.

Oblubieniec biegał od biura do biura, nagłąc o pociąg. Do jego zakochanej głowy nie trafiały uwagi o rozkładzie jazdy itp. ceregielach.

Śpieszył się — i basta.

W to grono rozbawione nie wiadomo jakim cudem wpadł major Koop, apoplektyczny, zajęty, z olbrzymią teką w objęciu. Poselska godność pomieszała w głowie szanownego męża. Zaczął się kłaniać znajomym jak swoim nadreńskim wyborcom. Binokle Schöneicha odkryły go natychmiast jako nieopatrzoną ofiarę drwin. Rude faworyty znalazły się przed czcigodnym posłem.

— Moje uszanowanie, majorze! — pozdrowił. — Winszuję zaszczytu! W tak godne ręce dostało się przewodnictwo okręgu! Wszak pan ma w tej tece jakiś projekt przeciw wrogom winnic?

— Przeciw filokserze<sup>338</sup>. Wiem, wiem! — potakiwał poseł, nadymając się dumnie.

— A na lisy, majorze, co psują zielone grona i młode latorośle?

— Na lisy? Nie, nic nie mówili. Kwestii polowań nie będzie. Gdzież to panowie jadą? Może jaki kongres międzynarodowy? Jubileusz?

— Ach, niestety! Ruszamy na pogrzeb!

— A czyżże, czyj? Nie czytałem dziś depesz. Może kto sławny?

— I jak jeszcze! Znakomitość, majorze, dzięki waszemu wychowaniu i opiece. Król młodzieży, półbożek pięknych pań, mój przyjaciel, Wentzel Croy-Dülmen!

Major podskoczył i poczerwieniał, jakby mu groził nowy atak apoplektyczny.

— Ten, ten... wariat! Umarł! *O! Herr Je!* Aż mi lżej oddychać! Z jego powodu znoszę wiele! Bo, widzi baron, on ostatnimi czasy nosił się z okropną myślą...

— Samobójstwa? — spytał naiwnie Schöneich.

— Gorzej, baronie, gorzej!

— Mordu?

— A tak! Mordu narodowego!

— Co? Chciał podminować może posąg Germanii?

— Nie, baronie, chciał ożenić się z Polką!

— No, i rozmyślił się?

— Przecież pan mówi, że umarł.

— Jeżeli pan nazywa małżeństwo mordem, to ja nazywam śmiercią.

— Co? Co? Jak pan mówisz?

— Śmiercią, majorze. Ale oto i sam nieboszczyk. Wiesz, Wentzel, że twój opiekun podaje cię na sąd boży za mord narodowy.

— Podawać na ten sąd łatwo, ale wygrywać nierychło — uśmiechnął się zagadnięty, śpiesznie witając posła. — Mamy wdzięczność za te kompromisy. Majorze, bądźmy cierpliwi. Tymczasem, wracając do doczesności, wyjeżdżam na całą zimę. Pałac mój stoi na pańskie rozkazy. Wygodniej tam będzie jak w dotychczasowym mieszkaniu.

<sup>338</sup>filoksera winiec (*Phylloxera vastatrix*) — gatunek mszycy niszczącej winnice, przywieziony z Ameryki Północnej do Europy Zachodniej w latach 60. XIX w. [przypis edytorski]

— *So, so!* Dziękuję ci. A gdzie to wyjeżdżasz?  
 — Z żoną do Włoch.  
 — Ach, jak to brzmi melodyjnie! — zauważył wdychając Schöneich. — A żeby pan wiedział, jaka ona piękna, ta żona! Pokaż fotografię, Wentzel.  
 — *Zum Henker*<sup>339</sup>! — oburzył się major. — Dla brzydkiej nie robi się takich monumentalnych głupstw. Wstydzilibyś się!  
 — Wstydzilibyś się dla brzydkiej! Ach, majorze, żebyś ją widział!  
 — At! — strzepnął rękami stary. — Desperacja z tym naszym wschodem. Ale zgnieciemy go, zgnieciemy. Będzie nasz. Poczekajcie!  
 — Uhm!... — zaśmiał się Wentzel. — Poczekajcie na to coś około wieczności. No, szczęście wam losie! Ach, otóż nareszcie pociąg. Żegnam, majorze!  
 — Moje uszanowanie — dodał Schöneich — i ukłony ślicznej córeczce — dołączył czyn do słów i ruszył za przyjacielem.  
 Z okna wagonu jeszcze raz wyjrzał, a potem zwrócił się do kogoś siedzącego w głębi i rzekł:  
 — Herbert, bądź konsekwentny. Ukłoń się teściowi. Schowałeś się, aż mi wstyd było.  
 — Wolę córce — mruknął elegant. — Ten stary wygląda mi na grubianina! Ja lubię delikatnych ludzi.  
 — Niezawodnie, bezpieczniejsi dla naszych pleców. Nieprawdaż, Wentzel?  
 Ruch pociągu zagłuszył dalszą rozmowę.  
 Struga nigdy nie widziała tyłu i takich gości jak następnego wieczora. Pani Tekla, otrzymawszy od wnuka kartkę z zawiadomieniem i listą przybyłych, załamała ręce.  
 — Najście barbarzyńców! — wyrzuciła z siebie z bezmiernym wstrętem i pogardą.  
 Barbarzyńcy tymczasem w najlepsze obsiedli stoły, podnieceni stuletnimi winami, wyborną kuchnią i dźwiękami orkiestry. Biesiadowali jak za czasów Lukullusa. Wśród dobranego wykwiutnego towarzystwa Jan i kilku Polaków czuli się jak u siebie.  
 Z oczu „Papryki” wzywał szampan — uwziął się na gospodarza.  
 — Jakże to tam z tym zakładem o „Scherza”? Po sprawiedliwości, czyj on teraz? Twój, mój czy Herberta?  
 Wentzel aż zzieleniał na wspomnienie dawnego głupstwa.  
 — Dam ci jeszcze czwórkę, ale milcz, gaduło! — zawołał.  
 — Aha, wstyd ci teraz! Pamiętaj, rozkładaj odtąd swe chęci na dłuższe terminy! Między ustami a brzegiem pucharu wiele się przytrafić może. Tak, tak... Ja „Scherza” już mam, nawet Herbert już coś ma, a ty... Wiem tylko, że wiele straciłeś.  
 — Tego, com stracił, ty niestety nigdy nie zyszczesz<sup>340</sup>. Pohamuj swą pychę.  
 — Hamuję. Cóż z tego tobie przyjdzie?  
 — Oto dam ci to, com zyskał: stuletniego miodu polskiego puchar. Życzę, by ci się nic nie przytrafiło między ustami a jego brzegiem.  
 — Oho! Od czegoż jestem dyplomata? Czyje zdrowie wypijemy? Może twoich nowych cnót czy starych występków? To pierwsze coś mi zalatuje letejską wodą<sup>341</sup>.  
 — To drugie coś zalatuje twoją zawiścią.  
 — Uchowaj Boże! Lubię być widzem tylko, a masz tak godnego następcę, że mi nie zbraknie studiów. Jakiż toast, panowie?  
 — Zdrowie dam! — wyrwał się Herbert patetycznie.  
 Schöneich coś szepnął w ucho sąsiada Jana, w mgnieniu oka zmienił swą ruchliwą fizjonomię. Oczy wytrzeszczył, nos skrzywił, usta przeciągnął w melancholiczny grymas. Z włosów ułożył grzywkę nad czołem, a szyję wyciągnął.  
 — *Ich danke*<sup>342</sup>! — zapiszczał przeraźliwym dyszkantem, mrugając na Herberta załotnie.  
 Śmiech homeryczny wstrząsnął salą.  
 — *Vivat Emilia Koop!* — wołano.

<sup>339</sup>*zum Henker* (niem.) — tam do kata. [przypis edytorski]

<sup>340</sup>*zyszczesz* (daw.) — dziś: zyskasz. [przypis edytorski]

<sup>341</sup>*letejska woda* (mit. gr.) — woda pochodząca z rzeki Lete w Hadesie; po jej wypiciu zmarli zapominali o przeszłości. [przypis edytorski]

<sup>342</sup>*Ich danke* (niem.) — dziękuję. [przypis edytorski]

Baron dumny z uznania, uśmiechnął się wabnie i zaśpiewał, mizdrząc się do Herberta, głosem najfalszywszym, jaki mógł istnieć:

*Ich schnitt es gern in alle Rinden ein,  
Ich grub es gern in jeden Kieselstein.  
Ich möcht es säen auf jedes frische Beet.  
Mit Kressensamen, dass es schnell verräth.  
Dein ist mein Herz, und dein soll es ewig.  
Ewig bleiben<sup>343</sup>!*

— To dopiero miłość efektowna! — śmiał się Jan. — Nawet rzeżuchą nie pogardza. Będzie dobra gospodyni z tej panienki.

— Nieprawdaż? — podchwycił Schöneich. — Co ona ma zalet! Tuziny! Miła, dobra, pobożna, rozumna, ładna! Same kontrasty Herberta. I wiesz, co ci dodam pod sekretem: Wentzel ginął za nią i dostał odkosza. Sza, nie paplaj... On się wstydzi i zapiera, ale tak jest. Otóż, wierz mi, puść na salatę hrabinę Aurorę, bo ta się i potem znajdzie: jedź nad Ren, tęp filokserę i pracuj dla dobra i rozwoju ludzkości!

— Kogóż będziesz obserwować, jak i on zniknie z berlińskiego horyzontu? — zauważył Wentzel.

— Turków, mój drogi, bo i ja się eklipsuję<sup>344</sup>. Jadę z ambasadą do Stambułu. Ot, maluczko, a poginiemy sobie z oczu. Szkoda, była nas dobra kompania, same zuchy! Ach, żeby nie te kobiety! Myślałem, że Wentzla uratuję od zatury. Nic nie pomogło. Nikt mi nie chce wierzyć, że nie ma życia nad kawalerską swobodę. Zostanę sam. Choć z rozpaczny mnichem być!

— Z rozpaczny żeń się pan — rzekł Jan.

— A ma pan drugą siostrę? Zgoda! Zniosę cierpliwie wszelkie perypetie, jak Wentzel.

— Nawet sentencję o ustach i pucharze?

— Wszystko. Cóż, kiedy pan nie ma drugiej siostry, a ta, co jest, może już mnie nie zechce. Godzę się z losem. Niech żyje młodość i swoboda!

— Niech żyje „Papryka”! — wznosił toast Wentzel.

— I ty! — podchwycił Schöneich. — Żyj, używaj, kochaj i bądź zdrow! Miałeś dla nas otwarte serce, dom i często kieszeń. Trzeźwi mówią, żeś zamknął te skarby, ale ja, pijany, nie widzę różnicy. Szczerość siedzi w kieliszku. Bądźmy szczerzy! Dajmy każdemu żyć, jak chce, a kogo warto, kochajmy i cenimy. Szlachetnych ludzi mało znajdziemy, więc ty, Wentzel, zostaniesz nam zawsze w pamięci. Uczyliśmy się razem, służyliśmy razem, bawiliśmy się razem. Nie rozwiązujemy tych węzłów i pożegnajmy się dawnym naszym okrzykiem studenckim: *fest, froh, frei*<sup>345</sup>!

Sto piersi powtórzyło toast. Niemiecki on był, ale prawdziwy, wielki i szczerzy: toteż i Polacy powtórzyli go chórem, i nawet pani Tekla nie zgorszyłaby się jego treścią.

Bohater nasz znalazł się w wieńcu otwartych ramion, uśmiechniętych twarzy, wyciągniętych rąk. Mimo woli powtórzył za nimi:

— *Fest, froh, frei!*

A potem na myśl mu przyszła inna, posępna, i dodał w duszy:

— I nie daj Boże stać kiedy z ostrzem naprzeciw kolegów i bronić swobody.

A toast mieszał się z tonami orkiestry i ogarniał salę: *Fest! Froh! Frei, frei, frei!*

## XV

Zapomnieliśmy o jednym...

On był im wszystkim bliski zarazem i daleki, kochany i oplakany, a nie wymagał od nich ni szczęścia, ni zabawy, ni im towarzyszyć mógł w życiu. On leżał spokojny, cichy i czekał, aż o nim wspomną; on się nie bał czasu i lat, ani wypadków, a nie weselił się i nie cierpiał: czekał, aż przypomną i przyjdą po niego...

<sup>343</sup>*Ich schnitt es gern (...) bleiben* — pieśń *Niecierpliwłość* (niem. *Ungeduld*) z cyklu pieśni (pierwsze wyd. 1824) skomponowanego przez Franza Schuberta do poezji Wilhelma Müllera. [przypis edytorski]

<sup>344</sup>*eklipsować* — znikać, usuwać się. [przypis edytorski]

<sup>345</sup>*fest, froh, frei* (niem.) — silny, wesoły, swobodny. [przypis edytorski]

I przyszedli razem, gromadka najbliższych, w odwiedzinach do niego, i w pewien wieczór wiosenny odnaleźli jego mieszkanie w obcym kraju i pozdrowili w ojczyściej mowie modlitwą za zmarłych. Czy on ich słyszał?... Zapewne rodzinna mowa i ducha zwoła, a on jej tak dawno nie słyszał, tak tęsknił...

Pięcioro ich było: czworo młodych, których dziećmi i wyrostkami pożegnał odchodząc, i biała jak gołąb staruszka, co go kiedyś uczyła pacierza i tej miłości, którą życiem opłacił.

I teraz jej głos przodował:

— „Który chwałą wieczną koronujesz wybrane Twoje”!

A tamci odpowiadali:

— „Wysłuchaj nas, Panie”!

Jakby wiankiem kochających serc otaczali jego mogiłę, nie śpieszyli się z odejściem. Po modlitwie dumali długo w milczeniu, wpatrzni w napis grobu.

Na płowe wąsy Jana zbiegały jasne łzy; otarł je niezgrabnie swą okaleczoną prawicą. Spojrzał na Cesię — płakała także.

Naprzeciw nich Wentzel z brwią ściągniętą rozmyślał o tej krzywdzie wieczystej, która jednym drugim oddaje na wyzysk i poniewierkę. W oczach mu stało pole bitwy, jak było przed laty. Wzdrygnął się ze zgrozą...

A obok niego Jadzia oparta o żelazne ogrodzenie mówiła w myśli, odpowiadając na jakąś, jej tylko zrozumiałą, pozagrobową skargę:

„Zabierzemy cię, biedaku, zabierzemy do swej ziemi. Nie wrócimy bez ciebie. Długo czekałeś... Byłam zanedo szczęśliwa. Myślałam tylko o sobie”.

Pani Tekla wstała pierwsza. Słońce zachodziło i przedarłszy się zza chmurki, rzuciło złoty promień na napis grobowca:

„Wacław Chrzęstkowski, porucznik pułku piechoty poznańskiej. Zginął w boju jak bohater!”.

Staruszka skinęła na swe dzieci — ręką wskazała litery na marmurze:

— Boże, daj dzieciom naszym inną dolę! — wymówiła uroczyście. — Inną śmierć i inne bohaterstwo. Daj im, Boże, być wolnymi ludźmi. Jak ginąć, to nie marnieć!

— Amen! — wymówił Jan z Wentzlem, pochylając głowę.

A Jadzi się zdało, że tego słowa nie mówił tylko mąż i brat, ale że powtarzał za nimi cały chór z grobów rozrzuconych po całym świecie.

Amen, Amen, Amen!...

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rodziewiczowna-miedzy-ustami-a-brzegiem-pucharu>

Tekst opracowany na podstawie: Maria Rodziewiczówna, *Między ustami a brzegiem pucharu*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1987.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Marty Niedziałkowskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Anna Nowicka, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0814-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.